

ARTUR KAWKA

# NIEBEZPIECZNE SĄSIEDZTWO



•P

**Artur Kawka**

**NIEBEZPIECZNE  
SĄSIEDZTWO**

Kraków 2022

Projekt okładki:  
Małgorzata Biendara

Wydawca:  
Witold Gadowski

Korekta:  
Monika Wysocka  
Monika Jaremko  
Adam Kuras

Redakcja techniczna:  
Jarosław Leszczuk

© Copyright  
Wydanie drugie: Witold Gadowski, 2022,  
pierwsze wydanie: Artur Kawka, 2018

Prace nad książką "Niebezpieczne sąsiedztwo" zostały rozpoczęte w 2018 roku.

Co ciekawe temat utworu jak i opis książki sprzed 4 lat jest dziś jeszcze bardziej aktualny niż wtedy... Także cała problematyka przedstawiona w tym utworze jest dziś bardziej na czasie niż kiedykolwiek. Dlatego też zdecydowaliśmy się na drugie, uaktualnione wydanie książki.

Na prowincji polska mafia miewa się świetnie, bezkarnie korumpując lokalnych urzędników, decydentów, policję, prokuraturę i sądy. Ba! Jej kontakty i wpływy sięgają znacznie wyżej i daleko poza polskie granice.

Na drugim biegunie jest Rosja, coraz bardziej dociskana amerykańskimi i unijnymi sankcjami, coraz biedniejsza i coraz bardziej zdesperowana. Do czego się posunie, by odzyskać niedawną świetność i wpływy? Wielomilionowy lobbing, skorpupowani dyplomaci, świetnie wyszkoleni agenci udający terrorystów - to tylko narzędzia, które być może pozwolą jej wrócić na pozycję światowego lidera. Stawka jest wysoka.

W dobie sporów o Nord Stream 2 i ścierania się światowych mocarstw fabuła tej powieści jest niezwykle aktualna.

Częstochowa, 2018

## Przedmowa Witolda Gadowskiego

### Śmierć nadchodzi ze Wschodu?

Czy w Polsce może dojść do zamachu terrorystycznego, czy czeka nas lawina - montowanych na Wschodzie - aktów sabotażu i dywersji....?

Czytając Artura Kawkę możecie uprzedzić wypadki, które nadejdą!

\* \* \*

Był czas gdy w Polsce w dobrym tonie było mówić o pojednaniu z Rosją. Daniel Olbrychski, Bronisław Komorowski czy Andrzej Wajda prześcigali się w poddańczych - wobec Rosji - deklaracjach. Wtedy powstawała fabuła powieści „Niebezpieczne sąsiedztwo” i z pewnym podziwem odkrywam, że autor - Artur Kawka był kierowany jakimś niesamowitym natchnieniem bowiem w tej z pozoru konwencjonalnej powieści zawarł sytuacje, które wydarzyły się dokładnie za trzy lata. Pisząc „Niebezpieczne sąsiedztwo” Kawka wyprzedził więc czas o trzy lata! Skąd wiedział?

W tamtym czasie fabuła nakreślona przez Artura Kawkę wydawała się przesadzona, na dodatek pojawił się w niej wątek broni jądrowej. Wielu więc pukało się w głowę i twierdziło, że autor co prawda napisał bardzo sprawną fabułę, jednak poważnie oderwał się od realiów naszego życia, od stosunków panujących na naszej wschodniej granicy.

Dziś jego powieść jest dowodem na to jak pisarz może wyprzedzić czas i odkryć to...co naprawdę się wydarzy.

Czytając tą powieść odkryłem w niej pewien wątek, który nieco połechtał moja próżność. Zdradzę więc, że pewna postać w tej opowieści nosi cechy - Witolda Gadowskiego.

Która?, zagadka jest prosta do rozwiązania, ale jej nie zdradzę.

Przedstawiam Państwu debiutancką powieść Artura Kawki, który przecież od kilku lat raczy nas coraz lepszymi thrillerami, opowieściami z dreszczem mocno jednak osadzonymi w smutnej rzeczywistości Polski przepoczwarczającej się z PRL w Trzecią Rzeczpospolitą.

„Niebezpieczne sąsiedztwo” nabrało jednak tak profetycznego charakteru, że gdybym nie znał kalendarium powstawania powieści Artura Kawki, to nie uwierzyłbym że powstała przed trzema laty. Teraz wydajemy tą powieść ponownie nabrała bowiem niemal dokumentalnego charakteru, stała się prawie zapisem naszych doświadczeń z ostatnich tygodni.

Wojna Rosji z Ukrainą spowodowała, że bardzo wzrosło napięcie na naszej wschodniej granicy. Zaangażowanie naszego kraju w pomoc — także militarną — dla napadniętej Ukrainy rodzi zupełnie nową sytuację. Niestety musimy liczyć się z działalnością rosyjskich dywersantów w Polsce.

Chętnie polecam więc przeczytanie „Niebezpiecznego sąsiedztwa” oficerom i funkcjonariuszom naszych służb specjalnych, pogranicznikom czy też osobom, które na co dzień odpowiadają za bezpieczne życie tysięcy Polaków. Kawka - ze sporym znawstwem - opisuje mechanizmy działania rosyjskich siatek szpiegowskich i dywersyjnych. Widać, że autor musiał spędzić długie godziny na rozmowach ze specjalistami od działań specjalnych, sztuk walki, uzbrojenia i wreszcie ukrytych technik stosowanych przez terrorystów i dywersantów.

Jak na powieściowy debiut macie tu Państwo całkiem pokaźny warsztat ekspercki...

Czy w Polsce może dojść do zamachu terrorystycznego, czy mogą być bezkarnie mordowani ludzie? Nie, jeśli - tak jak w powieści Kawki — znajdzie się kilku odważnych ludzi dobrej woli.

Jeśli lubicie nie tylko precyzyjnie opisane intrygi ale także galopującą akcję i jędrnie, realistycznie nakreślonych bohaterów to powieść Artura Kawki będzie dla was smacznym kąskiem.

## ROZDZIAŁ I

Białystok, 1 października 2016 roku, godz. 9.30.

Detektyw Arkadiusz Zgoda wszedł do swojego biura mieszczącego się w Białymstoku przy ul. Mickiewicza, nieopodal siedziby sądu. O godzinie 10.00 umówiony był z klientką, 50-letnią żoną znanego białostockiego biznesmena z branży budowlanej. Kobieta wynajęła Zgodę, bo podejrzewała, że jej mąż ma romans ze swoją sekretarką. Historia klasyczna i stara jak świat. Dzisiaj detektyw miał jej ujawnić wyniki dwutygodniowej obserwacji męża, które potwierdziły jej przypuszczenia. Mążonek istotnie spotykał się ze swą sekretarką, 30-letnią ponętą blondynką. Arek wyjął z kasy pancерnej teczkę ze zdjęciami mężczyzny wychodzącego z bloku, gdzie mieszkała jego „wybranka”, oraz w czasie spaceru w jednym z podmiejskich lasów. Parę na zdjęciach najwyraźniej łączyło coś więcej niż sama praca. Mążonek biznesmen, 55-letni, łysawy jegomość z widocznym, dość dużym mięśnieniem piwnym przytulał młodą blondynkę. Być może przechodził drugą młodość, chorobę wielu klientów Arka. O dalszych losach zebranych fotografii i materiałów miała jednak zdecydować klientka. Większość takich spraw kończyła się w sądzie, rozwodem. W takim przypadku każdy skład niezawisłego sądu, widząc te zdjęcia, orzekłby winę męża pani Haliny.

Arek włączył ekspres, zamierzał poczęstować kobietę kawą i spokojnie przedstawić całość zebranego materiału. Nie umiał przewidzieć dalszych losów małżeństwa. Z doświadczenia wiedział, że niekiedy zdradzeni i upokorzeni małżonkowie przemawiali drugiej stronie do rozumu i wszystko kończyło się potulnym powrotem na łono rodziny. Zwłaszcza gdy w grę wchodził podział majątku. A w przypadku wiarołomnego biznesmena do podziału były grube miliony.

Zgoda układał w głowie plan rozmowy, gdy ktoś zapukał do drzwi. Spojrzył na zegarek, 9.40. „Spieszno jej do poznania prawdy” - pomyślał. Jednak w drzwiach, zamiast pani Haliny, ujrzał mężczyznę w sile wieku, w czarnym garniturze i płaszczu z przyczepioną żałobną wstążką.

- Dzień dobry. Nazywam się Witold Jagielski — przedstawił się mężczyzna. - Moje nazwisko nic panu nie powie, przychodzę do pana z polecenia mecenasa Mariana Czerwca.

- A, skoro z polecenia mecenasa Czerwca, to od razu pan zniżkę na moje usługi — Arek gestem zaprosił gościa do środka. — Za kwadrans mam umówioną klientkę. Pańska sprawa będzie krótka czy wymaga dłuższej rozmowy?

- Moja sprawa... - westchnął mężczyzna - moja sprawa wymaga chwili. Chciałem się zorientować, czy podjąłby się pan wyjaśnienia pewnych okoliczności.

- Proszę, niech pan siada. - Detektyw wskazał na małą kanapę ze stoliczkiem. - Napije się pan kawy?

- Nie, nie - podziękował przybysz. - Nie chcę niepotrzebnie zabierać panu cennego czasu.

- Więc proszę, niech pan mówi - Arek usiadł obok.

- Mecenas Czerwiec reprezentuje moją firmę od 15 lat i mam do niego pełne zaufanie - zaczął gość. - Zapewnił mnie, że panu też mogę zaufać. Jeżeli powie pan „nie”, chcę, by cała sprawa została między nami.

- Jak u księdza na spowiedzi - pospieszył z zapewnieniem detektyw. Było oczywiste, że gdyby opowiadał postronnym o klientach, byłby spalony na mieście i w branży. - Zresztą w umowie, o ile ją podpiszemy, ma pan odpowiedni paragraf o konieczności dochowania tajemnicy.

- Rozumiem. Lecz ta sprawa jest bardzo, ale to bardzo... mężczyzna zrobił przerwę, tak jakby szukał odpowiedniego słowa - niebezpieczna.

- A czego dotyczy? — zapytał Zgoda.

- Śmierci mojej córki i zięcia, do których doszło w wyniku wy-



padku drogowego — odparł Jagielski wyraźnie drżącym głosem.

- Takie rzeczy się zdarzają - odparł Zgoda.

- Tak. Ale mój zięć Tomek był policjantem pracującym w komendzie w Białej Podlaskiej, w wydziale kryminalnym i odkrył coś, co wpędziło go do grobu - oświadczył Jagielski.

- Skąd pańskie przypuszczenia, że to nie był zwyczajny wypadek? - zapytał detektyw.

- Ciężarówka, która staranowała samochód mojej córki Kasi i Tomka, została skradziona poprzedniego dnia z miejscowej firmy, a po wypadku porzucona. Świadek, który widział zdarzenie twierdzi, że ciężarówka celowo zjechała na przeciwny pas ruchu i na łuku z całą siłą wjechała w samochód moich dzieci — wyjaśnił mężczyzna.

- Kiedy to się stało? — zapytał Arek.

- Dwa tygodnie temu.

- Niech pan słucha, lada chwila nadejdzie tu moja klientka, lecz na dole jest otwarta kawiarnia. Byłby pan tak uprzejmy i chwilę tam zaczekał? Zejdzie mi tutaj z pół godziny.

Jagielski wstał, kiwnął głową i bez słowa wyszedł z gabinetu.

Po pięciu minutach zjawiała się pani Halina, elegancka 50-letnia blondynka o miłej aparycji. Uważny obserwator mógł dostrzec na jej twarzy z trudem skrywany niepokój.

- Proszę, proszę siadać. Napije się pani kawy? A może kieliszek koniaku?

- Nie, nie, dziękuję. I tak nie śpię od paru dni. Udało się panu coś ustalić? - kobieta szybko przeszła do konkretów.

- Tak. Oto zdjęcia i raporty z obserwacji pani męża - Arek podał kobiecie teczkę. Wzięła do ręki zdjęcia i rozplakała się na widok męża. - Ten bydlak zaczynał pracę jako pomocnik mojego ojca. Nawet ślubny garnitur dostał od moich rodziców. A dziś, po 31 latach małżeństwa, taka zapłata...

Detektyw, przyzwyczajony do takich reakcji, pozostał niezruszony.

- Wie pani, z zawodowego doświadczenia wiem, że takie historie mogą skończyć się albo rozwodem, albo poważną i szczerą rozmową między małżonkami i propozycją podarowania drugiej szansy.

- Pan na serio uważa, że mogłabym dać temu łajdakowi drugą szansę?! - oburzyła się kobieta.

- Pani Halino, co trzecia para godzi się po takich trudnych przejściach. Ale prawdą jest, że dwie na trzy rozstają się definitywnie.

Zaległa cisza. Kobieta wyjęła z torebki staromodne batystowe chusteczki.

- A co pan by zrobił na moim miejscu? - zapytała po chwili, starannie ocierając łzy.

- Porozmawiałbym rzeczowo z mężem, pokazał mu te zdjęcia i poczekał na reakcję. Może pani sprawdzić: będzie skruszony czy nie?

- Myśli pan, że mogłabym mu to wszystko wybaczyć?

- Myślę, że tak. Do sądu może pani pójść w każdej chwili. Mam nawet godnego polecenia adwokata, ale myślę, że on również doradzałby pani rozmowę z małżonkiem.

- Może... Ale muszę to wszystko spokojnie przemyśleć. Mogę zabrać te zdjęcia?

- Naturalnie. Zdjęcia są pani własnością. W myśl umowy, w razie konieczności potwierdzę w sądzie okoliczności, których byłem świadkiem. - Arek podał kobiecie protokół zakończenia sprawy. Po przeczytaniu pisma kobieta pokwitowała je i zapytała:

- Ile mam panu zapłacić?

- Jako zaliczkę dała mi pani 2500 złotych, więc pozostało drugie 2500.

Kobieta wyjęła portfel, odliczyła należną sumę, podała Arkowi, a ten schował gotówkę do kieszeni.

- Nie przeliczy pan? — spytała.

- Ufam pani. Jeśli zajdzie potrzeba, jestem do pani usług.

- Dziękuję - odpowiedziała pani Halina i skierowała się do wyjścia.
- Jeszcze jedno, pani Halino. Mam do pani prośbę...
- Tak?
- Czy byłaby pani tak uprzejma i polecała moje usługi innym? Byłbym zobowiązany.
- Ależ naturalnie - odparła kobieta. - Co zaś do mojej sprawy, wszystko zostaje między nami? Wolę się upewnić...
- Szanowna pani Halino, już zapomniałem, w jakiej sprawie pani u mnie była - zapewnił Arek.

Po pięciu minutach Zgoda wszedł do kawiarni. Znalazł Jagielskiego przy stoliku, pijącego kawę. Detektyw przysiadł się bez słowa. Kawiarnia o tej porze była wyludniona, jedynie obok baru cicho grało radio.

- Jeżeli pan chce, możemy porozmawiać tutaj. Niech pan spokojnie dopije kawę.

- Nie, nie. Wolałbym rozmawiać u pana w gabinecie - odparł mężczyzna.

Już po chwili ponownie siedzieli na kanapie w biurze.

- Proszę kontynuować. Zakończył pan na świadku, który widział nadjeżdżający samochód. Ten, który wjechał w pana córkę i zięcia...

- Tak. Jak już wspominałem, pewien mężczyzna widział, tuż po wypadku, jak kierowca ciężarówki wyskakuje z kabiny i przesiada się do samochodu, który zatrzymał się za samochodem Kasi i Tomka. Było to czarne BMW na warszawskich numerach. Niestety, świadek albo nie chciał, albo rzeczywiście nie zapamiętał numerów - wyjaśnił Jagielski.

- Ale za co ktoś chciałby zabić pana zięcia? - zapytał Arek.

- Tydzień przed wypadkiem była u nas mała impreza rodzinna. Po niej moja świętej pamięci córka pokłóciła się z mężem.

Mieszkali u nas w domu, więc słyszałem wszystko. Córka mówiła podniesionym głosem o jakichś pieniądzach wchodzących w grę, o ludziach, którzy mogą posunąć się nawet do morderstwa, o jakichś zabójstwach. Błagała zięcia, by zostawił tę sprawę w spokoju.

- Ciekawe. Opowiedział pan to wszystko policji? - zapytał detektyw.

- Nie, nie opowiedziałem, moja żona zabroniła mi tego.

- Dlaczego?

- Została nam wnuczka. Antosia ma sześć lat i po śmierci rodziców jej świat się zawalił. Zresztą mój także — skończył Jagielski, a łzy napłynęły mu do oczu. - Mamy ją jedną i musimy ją bezpiecznie wychować.

- Rozumiem pana. Ale dlaczego chce pan mnie wynająć, skoro boi się pan rozmawiać z policją? - dopytywał Zgoda.

- Ja... Widzi pan, domyślałam się, kto za tym stoi. Tylko ktoś musiałby posklejać to w całość. Odkryć to, co musiał odkryć mój zięć - odparł Jagielski.

- Mogę trochę powęszyć, ale zanim podpiszę z panem umowę, muszę zrobić wstępne rozeznanie. Dopiero wtedy będę mógł podjąć decyzję, czy podejmę się tego zlecenia.

- Rozumiem. — odparł Jagielski i dodał po chwili: - A o pieniądze pan nie zapyta?

- Nie. Najpierw wolałbym podjąć decyzję, czy podejmę się pracy dla pana. Ale skoro pan zaczął, to proszę o propozycję?

- 100 tysięcy złotych. 50 tysięcy, jeśli pan się zdecyduje, drugie 50, jeśli dowie się pan, dlaczego musiała zginąć moja córka i zięć - zakończył łamiącym się głosem Jagielski. W jego oczach znowu pojawiły łzy.

- Kusząca propozycja, ale powtórzę: najpierw rozeznanie, potem decyzja. Sprawa wygląda na bardzo poważną. Muszę na koniec zapytać, czy kogoś konkretnego pan podejrzewa?

- Wiem, że w sprawę zamieszany był partner Tomka, niejaki Krystian Borkowski.

- Skąd taka informacja?
- W czasie pogrzebu Kasi i zięcia ktoś włamał się do naszego domu. Nie zginęło nic oprócz laptopa, twardego dysku i jednej teczki, którą zięć zawsze trzymał w swoim biurku.
- A ta teczka, widział ją pan? - zapytał Arek.
- Ja nie. Ale moja żona kiedyś sprzątała dom i zajrzała przez kłobocę ciekawość do biurka. W szufladzie była teczka, a w niej zdjęcia osób opisanych jako zaginione w ostatnich kilku latach oraz jedno zdjęcie mężczyzny, który żyje, a na dodatek trzęsie całą okolicą.
- Kto to taki? - zapytał zaciekawiony Zgoda.
- To Andrzej Fryst. Słyszał pan to nazwisko? - Jagielski bezwiednie przyciszył głos.
- Słyszałem. Gość ma wiele interesów, jest dobrze ustawiony. Nieraz pisały o nim lokalne gazety, ale jedynie w superlatywach.
- Wie pan, że za pieniądze można wszystko?
- Jasne - potwierdził Arek. - Ale wróćmy... co z tym Borkowskim, partnerem z pracy pańskiego zięcia? Dlaczego podejrzewa pan akurat jego?
- No cóż, ten osobnik wypytywał moją żonę po śmierci Tomka, czy rodzina coś wie na temat prowadzonych przez niego spraw.
- I co? Powiedziała mu coś?
- Nie, nie. Ale widzi pan - ciągnął swoją opowieść Jagielski ja na to wtedy nie zwróciłem uwagi, byliśmy pogrążeni w żałobie. Lecz ludzie powiedzieli nam później, że ten Krystian opuścił ceremonię pogrzebową w połowie jej trwania, a właśnie mniej więcej w tym czasie doszło do włamania do naszego domu.
- To bardzo ciekawe co pan mówi, ale to jeszcze żaden dowód, że dokonał tego właśnie partner pańskiego zięcia - powiedział Zgoda.
- Tyle, że mnie jeszcze jedna rzecz zastanawia. Do czasu wypadku jeździł starą skodą. A teraz ma dwuletnie audi A4. Skąd wziął na to pieniądze? I to akurat teraz? Z pensji 2500

złoty? Jego rodzice nie prowadzą żadnej działalności, żyją bardzo skromnie.

- Może wygrał w lotto - zażartował Arek.

- Niech pan nie będzie dzieckiem, za darmo w dzisiejszych czasach nawet nie obiją panu gęby.

- Znam takie miejsca, gdzie obiją - uśmiechnął się Arek.

Wróćmy do tematu...

- No właśnie! Więc co pan o tym wszystkim sądzi?

- Proszę dać mi tydzień. To jest moja wizytówka, a pan niech poda numer telefonu do siebie - odparł Arek.

Mężczyzna podyktował numer komórki, po czym dodał:

- Mam małą prośbę. Moja żona o niczym nie wie i nie może się dowiedzieć. Rozumie mnie pan?

- Oczywiście. Jeżeli będę dzwonił do pana, powiem, że jestem... Jaką działalność pan prowadzi?

- Hoduję pieczarki - odparł Jagielski.

- O, to będę dzwonił jako potencjalny odbiorca i zapytam o cenę. Jeżeli będzie pan mógł rozmawiać, niech pan powie, że jest pan sam, natomiast jeżeli będzie w pobliżu żona lub inna osoba, niech pan mi odpowie, że na razie ma pan wszystko zakontraktowane i żebym zadzwonił za pół roku. Może być?

- Oczywiście — odparł mężczyzna i wstając popatrzył pytająco na portret syna Arka.

- To mój syn, ma 21 lat i obecnie studiuje pożarnictwo w Warszawie - odparł Arek z dumą.

- Gratuluję, ale niech pan na niego uważa. Strażak to bardzo niebezpieczny zawód - zauważył Jagielski.

- To prawda. Odezwę się do pana za tydzień.

Arkadiusz Zgoda pożegnał interesanta i wyjął telefon, zamierzając skontaktować się ze swoim przyjacielem, emerytowanym oficerem Komendy Miejskiej Policji w Białymstoku, Jackiem Siarczyńskim. Wiedział, że będzie to najlepsze źródło informacji na temat wydarzeń w S. oraz działalności niejakiego Andrzeja Frysta.

## ROZDZIAŁ II

40-letni więzień zakładu karnego w Sztumie, Mariusz Słaboń, pseudonim Godzilla, siedział w pomieszczeniu izolatki więziennej. Doskonale zdawał sobie sprawę, że za chwilę w drzwiach celi ukaże się klawisz, który zaprowadzi go na zaplanowane spotkanie. To miała być jego ostatnia szansa na uniknięcie długoletniego więzienia. Słaboń odliczał dni, godziny i minuty do tej chwili. Nie wystarczyło się jednak dogadać w sprawie odsiadki. Chodziło o bezpieczeństwo poza murami więzienia, zarówno dla niego, jak i jego bliskich.

Nagle usłyszał kroki na korytarzu, a po chwili chrzęst otwieranego zamka i zasuw. W drzwiach stanął klawisz, ale nie był to żaden ze znanych mu funkcjonariuszy. Godzilla poderwał się z pryczy i chwilę się zawahał. Nie znał tego człowieka.

- Nie bój się. Nie przyszedłem, abys popełnił samobójstwo - szyderczo roześmiał się nieznajomy klawisz. — Jesteś proszony na gabinety - wskazał ręką na drzwi.

Godzilla ruszył przodem, znał drogę do pomieszczeń, gdzie przesłuchiwano więźniów, ale gdy do nich doszli, nieznajomy klawisz wydał polecenie:

- Idź dalej.

Po chwili doszli do kraty. Klawisz wyjął klucz, otworzył ciężkie drzwi, przepuścił Godzillę, zamknął kratę, po czym ruszył przodem. Kiedy minęli zakręt, oczom Godzili ukazał się korytarz z drewnianymi drzwiami. Klawisz zapukał, po chwili otworzył. W pokoju za biurkiem siedział ponad 40-letni mężczyzna w eleganckim, granatowym garniturze i okularach. Kiedy klawisz i Godzilla weszli do gabinetu, mężczyzna odwrócił wzrok od ekranu laptopa i przemówił: - Dzięki! A teraz przypilnuj, żeby nikt nam nie przeszkadzał — Przeniósł wzrok na Godzillę. - Niech pan siada.

Godzilla usiadł na krześle i zaczął wpatrywać się w go-  
dło państwowe, które wisiało na ścianie. Jego pseudonim był  
uzasadniony: ogromna sylwetka sprawiała wrażenie mon-  
strum, na którego widok każdy normalny obywatel poczułby  
się nieswojo. A co dopiero człowiek znający jego kryminalną  
przeszłość. Lecz tutaj karty rozdawał mężczyzna w eleganc-  
kim granatowym garniturze i to on decydował o przyszłości  
groźnego bandyty.

- Napije się pan kawy? Albo wody? - zagał uprzejmie.

- Nie, ale zapaliłbym - odparł Godzilla.

- Niestety, nie palę. I nie znoszę zapachu nikotyny - odrzekł  
elegancki jegomość.

- To może jednak poproszę tę kawę - odparł gangster.

Mężczyzna podszedł do stolika, po chwili zapach aroma-  
tycznego napoju wypełnił pomieszczenie. Gangster delektował  
się kawą, a nieznajomy tylko zamieszał w filiżance i pełną od-  
stawił na stolik.

- Czy zastanowił się pan nad naszą propozycją? — zapytał  
wprost.

- Zgadzam się, ale pod pewnym warunkiem...

- Nie ma warunków z pańskiej strony — ostro uciął tamten.

- Warunki ustalamy my. 10 lat więzienia i nadzwyczajne zła-  
godzenie kary w zamian za współpracę i pomoc w naszej ope-  
racji.

- Ale ja tylko chcę gwarancji... - zaczął tłumaczyć Godzilla.

- Niech pan mi tu nie pierdoli o żadnych gwarancjach. Wie  
pan, że jeżeli prokurator wskaże pana jako przywódcę gangu,  
organizatora napadu i porwania tego gościa spod Łodzi... Jak  
on się nazywał? - zapytał retorycznie.

Godzilla zaczął nerwowo kręcić się na krześle, jakby usi-  
łował zaprzeczyć temu, co zaraz usłyszy.

- Nafciarz? - zapytał mężczyzna w garniturze. Nie czekając  
na odpowiedź dodał: - Nafciarz, tak, taką miał ksywę. Więc je-  
żeli przybijemy ci przywództwo grupy przestępczej, porwanie



i pobicie ze skutkiem śmiertelnym, to najbliższe 15 lat masz jak w banku do odsiadki.

W pokoju nastąpiła cisza, tylko tani zegar na ścianie odmierzał spokojnie czas.

- Co pan proponuje? - zapytał zrezygnowany Godzilla.

- Proponuję ci 10 lat więzienia. Za dobre sprawowanie masz szansę wyjść po siedmiu. Później wyjedziesz. Daleko. Na przykład do Londynu. Twój brat ma firmę budowlaną, a z tego, co wiem, dałeś mu kasę na maszyny i start. Chyba cię nie wykiwa?

- Dużo pan wie - mruknął Godzilla.

- Owszem, dużo. I potrzebuję twojej pomocy - uśmiechnął się mężczyzna w garniturze.

- Ok. Zgadza się - westchnął Godzilla.

- Teraz więc wyjdiesz stąd, a jutro wyślesz gryps o tej treści

- podał kartkę więźniowi. Ten przeczytał ją uważnie i oddał.

- Zapamiętałeś?

Godzilla pokiwał głową.

- Tylko nie próbuj nas wykiwać. Proces rozpocznie się po zakończeniu operacji - zakończył elegant i wskazał drzwi.

Godzilla wstał z krzesła, haustem wypił resztę kawy, po czym bez słowa skierował się do wyjścia.

- Jeżeli operacja wystartuje po mojej myśli, odwiedzi cię twój syn i żona. Zadbam, abyś dostał cztery godziny na widzenie - dodał jeszcze przybysz.

Godzilla odwrócił się w drzwiach i po namyśle rzucił:

- Dzięki.

- A, jeszcze jedno.

Godzilla nerwowo przestąpił z nogi na nogę.

- Ile pieniędzy oddałeś Korkociągowi?

W oczach gangstera pojawił się strach.

- Dlaczego pan pyta? - nie zdołał ukryć niepokoju w głosie.

Przybysz uśmiechnął się i podszedł bardzo blisko do bandyty.

- Z protokołu zeznań twoich i twoich kolegów wynika, że pie-

niędzy u Nafciarza było 4 miliony - powiedział, nie spuszcza-  
jąc wzroku z Godzili. - A ludzie Korkociąga rozpowiadają po  
Białymstoku i okolicach, że pojechaliście po 12 milionów, które  
winny był Nafciarz. Nie obchodzi mnie, ile zwinąłś  
Nafciarzowi, ale wiedz, że jeżeli mnie zawiedziesz, twoi  
niedawni mocodawcy dowiedzą się, że przytuliłś osiem  
milionów. Wtedy nie tylko ty będziesz miał przejebane, ale  
twoja rodzina za tymi murami również. Czy obaj to  
rozumiemy? Godzilla bez słowa skinął głową.

Przybysz wyjął telefon i wysłał sms: „Zgodził się. Możemy  
zaczynać”.

### ROZDZIAŁ III

Było późne, piątkowe popołudnie, kiedy rozklekotany do-  
stawczy żuk podjechał pod bramę prowadzącą do magazynu  
dyskoteki „Klepisko” w S. Po chwili z budynku wyszedł bar-  
czysty młody mężczyzna w czarnej koszulce i spodniach bojów-  
kach. Mimo chłodu na dworze rażno otworzył zamkniętą klapę  
samochodu i zaczął rozpinać plandekę. Z samochodu wysiedli  
dwaj mężczyźni. Kierowca, który przywitał się z pracownikiem  
dyskoteki, i mężczyzna około 35-letni, wysoki, o wysportowa-  
nej sylwetce i czarnych kręconych włosach. Na jego lewym  
policzku widoczna była blizna, wyglądająca na pozostałość po  
spotkaniu z ostrym przedmiotem. Kierowca żuka wskazał na  
mężczyznę z blizną i zwrócił się do pracownika dyskoteki:

- Przywiozłem wam gościa, chce gadać z Tołdim.

Pracownik dyskoteki zlustrował przybysza uważnie, zatrzy-  
mując wzrok na jego twarzy:

- To od kosy? - wskazał palcem bliznę.

- Nie, od golarki - odparł z sarkazmem przybysz i poprawił  
ręką włosy. - Pomóc wam? - zapytał.

- Byłoby miło — odparł pracownik dyskoteki.

Po chwili mężczyźni przystąpili do rozładunku kontenerów z winem. Kiedy skończyli, mężczyzna zapytał:

- Na długo starczy ta ilość?

Pracownik i kierowca ryknęli śmiechem.

- Na długo. Aż do jutra. Jeżeli masz dobre serce, możesz jutro o tej samej godzinie tu czekać i nam pomóc - rzucił kierowca, nie przestając się śmiać.

- Nieźle, to jakiś miejscowy specjał? — zapytał przybysz.

- Specjał, specjał, znany od 20 lat na tym rynku - odparł pracownik dyskoteki.

Kiedy skończyli, chłopak pracujący w dyskotecę zapytał:

- Chcesz gadać z Tołdim?

- Tak - odparł przyjezdny.

- To chodź za mną.

Przybysz pożegnał się z kierowcą żuka, zarzucił worek na ramię i ruszył za rosnącym pracownikiem. Kiedy byli już w budynku, zaczął dopytywać:

- Pracujesz tu?

- Tak - odparł chłopak.

- Co tu robisz?

- Wszystko.

- To znaczy?

- No, wszystko. Pomagam w knajpie, w restauracji i generalnie wyrzucam śmieci - objaśnił.

- Śmieci? Lejesz niegrzecznych klientów? - zapytał przybysz.

Pracownik dyskoteki uśmiechnął się tajemniczo i zapytał:

- Wiesz, ilu ludzi bawi się tu w każdy piątek i sobotę?

- Nie mam pojęcia. Przyjechałem z odległej części Polski - odparł nieznajomy.

- Jeżeli przyjeżdża tu jakaś gwiazda disco polo, to potrafi być nawet 4000 gości.

- Nieźle - gwizdnął z uznaniem nieznajomy mężczyzna.

Po chwili stali przed solidnymi, drewnianymi drzwiami.

Pracownik dyskoteki zapukał. Z wnętrza dało się słyszeć okrzyk:

- Wlazł!

Pracownik zostawił przybysza za drzwiami, a sam wszedł do środka.

- Szefie, jakiś gość do szefa. Mówi, że go szef wysłucha.

- Niech wejdzie - odezwał się głos z pomieszczenia.

Pracownik machnięciem ręki przywołał przybysza do środka. Kiedy ten wszedł do pokoju, jego oczom ukazał się mężczyzna lat około czterdziestu, o długich, przeredzonych, kręconych blond włosach, z łysiejącym czołem, z twarzą uzbrojoną w krzywy nos, noszący ślady wielokrotnego złamania, i z nienaturalnie dużymi wargami, spotykanymi często u Murzynów. Osobnik ten siedział na skórzanym fotelu, z nogami wyciągniętymi na biurku. Ubrany był w skórzane, znoszone spodnie, buty kowbojki z metalowymi szpicami i kwiciastą koszulę. W jednej ręce trzymał papierosa, w drugiej szklankę z brązowym płynem, wyglądającym na whisky. Przybysz popatrzył na gospodarza i omal nie parsknął śmiechem. W myślach nagradzał Oscarem człowieka, który nadał mu przydomek. „Przecież ten gość wyglądał jak stwór z bajki, wypisz wymaluj, jak Tołdi z Gumisiów” — pomyślał i ruszył w jego stronę.

- Jestem Zderzak - przedstawił się i wyciągnął rękę w stronę gospodarza. Zorientował się, że tamten nie reaguje na wyciągniętą dłoń, więc szybko dodał: - Od Godzilli.

Gospodarz spuścił nogi ze stołu, poprawił się w krześle, spojrział w stronę pracownika dyskoteki i ryknął:

- A co ty kurwa jeszcze tutaj robisz!

- Przepraszam, już się zmywam.

- Wypierdalaj i nie waż się podsłuchiwać.

Kiedy został w pomieszczeniu tylko z gościem, zapytał już spokojniej:

- Co u naszego przyjaciela Mariusza słychać?

- Nic ciekawego. Grozi mu nawet ćwiartka - odparł Zderzak.

Gospodarz napił się łyk whisky, skrzywił się i odparł z politowaniem:

- Mógł żyć jak człowiek, ale zachciało mu się kurwa brylować. Mówiłem, skończ robotę dla tych od paliw, bo prędzej czy później pójdziesz z nimi siedzieć. Ale on zawsze był kurwa mądrzejszy. No i się doigrał - zakończył wywód, zaciągając się papierosem.

- Kazał ci podziękować za kasę dla rodziny i poprosił o regularne comiesięczne wpłaty - powiedział Zderzak. Na te słowa człowiek siedzący za biurkiem poderwał się i zbliżył do przyjezdnego:

- Nie przeszliśmy na ty - warknął. - Dla ciebie jestem pan Tołdi. Rozumiesz gnoju?

Mężczyzna pokiwał potakująco głową.

- Ogłuchłem? Bo nie dosłyszałem „przepraszam”.

- Przepraszam pana - odparł grzecznie Zderzak.

Tołdi zaciągnął się papierosem, usiadł na fotelu i z pogardą popatrzył na przybysza:

- Jak się nazywasz? - zapytał.

- Mówią mi Zderzak.

- Ile kiblowałeś?

- Osiem lat.

- Słyszałem, że za trzy napady na jubilera w Niemczech? - powiedział Tołdi. Zderzak kiwnął potakująco głową.

- Wiem z grypsu, że współnicy cię wystawili - dopytywał Tołdi.

- Jeden współnik - odparł przybysz.

- A drugi?

- Drugi dostał ćwiartkę i wcześniej niż za 7 lat nie ma szans na wyjście.

- Ile miałaś zamelinowane?

- Na nasze, około miliona peelenów.

- W czym to było?

- W kamieniach szlachetnych i złocie.

Tołdi podszedł do przybysza, zaciągnął się papierosem i po chwili zastanowienia zapytał z cicha:

- Ile odpalisz, jeżeli pomogę ci znaleźć twojego niewiernego kolegę?
  - Nie będzie to proste, zwiął gdzieś na zachód - odparł Zderzak.
  - Ma rodzinę?
  - Ma matkę, ale siedziałem tam miesiąc, bieda aż piszczy. Olał ją i nie dał znaku życia - wyjaśnił Zderzak.
  - Ale jakby mamusia była chora, zachorowałaby znaczy się? No to może synek chciałby pomóc - dedukował Tołdi.
  - Może, choć uważam, że spróbuje wpaść na święta i wtedy go dorwę — oznajmił Zderzak.
  - Spróbujemy go dorwać - odparł Tołdi. - Ile odpalisz mi z tych kamieni?
  - Nie potrzebuję współnika!
- Tołdi zaśmiał się i spokojnie odparł:
- Mam ludzi związanych z pewnymi służbami i w ciągu paru dni namierzą mi tego twojego kolegę, choćby schował się w czarnej dupie. Nie trzeba czekać do świąt. Proponuję ci spółkę, pół na pół, zastanów się.
  - Pomyślę - dyplomatycznie odparł chłopak.
  - A właściwie to co ty umiesz robić? - zapytał Tołdi.
  - Mogę pracować na bramce.
  - Naprawdę? No to chodź do chłopaków, pokażesz co potrafisz.

Zderzak zarzucił worek na plecy i ruszył w ślad za Tołdim. Po chwili znaleźli się w salce gimnastycznej, gdzie kilku mężczyzn ćwiczyło na przyrządach siłowni. Jednak Zderzakowi od razy wpadł w oko ogromny, dwumetrowy olbrzym o posturze atlety, ogolony na łyso, z rudą brodą, który sparował na macie z mężczyzną o głowę od siebie niższym. Na widok wchodzącego Tołdiego i przybysza olbrzym ruszył na sparingpartnera i zaczął aplikować ciosy na jego twarz i tułów. Wkrótce atakowany padł przed olbrzymem, klepiąc ręką o matę, że ma już dość.

- Brawo, brawo! - krzyknął Tołdi, przywołując olbrzyma do siebie ręką. Dokonał prezentacji:

- Poznaj, to jest Zderzak. Gość chce pracować dla nas na bramce. Sprawdzisz go?

Olbrzym wypluł ochraniacz na zęby i warknął:

- Włóż, a wy chłopaki dajcie mu rękawice i ochraniacz.

- Co jest niedozwolone? - zapytał Zderzak.

- Tu wszystko jest dozwolone, oprócz sypania piachem po oczach — roześmiał się olbrzym.

Zderzak zdjął worek i położył na drewnianej ławce, zdjął kurtkę, buty i bluzę i zaczął się rozgrzewać, ale Tołdi ryknął na niego:

- To nie jest balet! Tu jest ulica! Tu musisz być gotowy w każdej chwili. Zapierdalaj za liny i poznaj pana Żubra - zaśmiał się Tołdi i wskazał ręką na matę.

Reszta ćwiczących mężczyzn przerwała zajęcia i stanęła przy linach. Jeden zaśmiał się do Zderzaka:

- Dobrze jest posiedzieć przy żubrze!

Wszyscy wybuchli gromkim śmiechem, tymczasem Zderzak przeżegnał się i wszedł za liny. Chłopak podał mu rękawice i ochraniacz na zęby, ale ten odsunął jego rękę.

- Nieźle, zaraz zalejesz się krwią, a później zlejesz się w majty! — krzyknął Żubr i ruszył rażno w stronę Zderzaka. Kiedy był trzy metry od niego, stało się coś, czego się nie spodziewał. Chłopak wyskoczył w górę i z półobrotu wyprowadził cios prawą nogą, która wylądował na twarzy Żubra. Akcja była tak zaskakująca, że Żubr, oszołomiony kopniakiem, na chwilę opuścił gardę. To wystarczyło, aby przybysz wyprowadził lewy sierp na jego szczękę. Żubr znieruchomiał jak rażony prądem, a potem próbował zasłonić twarz ręką. Zderzak błyskawicznie założył kastet na lewą dłoń i wyprowadził nią cios na wątrobę. Olbrzym zawył i odruchowo chwycił się za prawy bok. Sekundę później dostał następny cios, na szczękę. Mężczyzna przyklęknął na prawe kolano, podpierając się prawą ręką. W tym

momencie Zderzak, nie czekając, chwycił błyskawicznie Żubra za głowę od tyłu i uderzył go kolanem w twarz. Olbrzym runął na matę zalany krwią.

- Dość! - wrzasnął Tołdi. — Masz kurwa na rękach obrączki!

Zderzak odwrócił się i warknął:

- Sam powiedziałeś: żadnych zasad!

W salce zapanował grobowa cisza.

- Bierz rzeczy i wypierdalaj! — wrzasnął Tołdi.

Zderzak przeszedł za liny. Za jego plecami Żubr zwijał się z bólu, nie mogąc dojść do siebie po nokaucie.

- Jak sobie życzysz! A Godzilla w tydzień dowie się, że mi nie pomogłeś - powiedział Zderzak i zaczął się ubierać.

- Co, kurwa?! Grozisz mi?!

- Nie! Ale twój kumpel gwarantuje za ciebie, a ty masz w dupie jego przyjaciół. - Zderzak podszedł do Tołdiego. - A jeżeli dorwiemy tego gościa, co mnie wykołegował, 1/3 kasy jest twoja, 1/3 jest moja, a 1/3 dostanie rodzina Godzilli - oznajmił dobitnie i ruszył do wyjścia. Wyszedł na zewnątrz. Był już koło bramy, gdy dogonił go jeden z mężczyzn ćwiczących w salce i krzyknął:

- Tołdi prosi, abyś przyszedł do jego gabinetu. Chce spokojnie pogadać.

- Powiedz mu, że jeżeli chce, to niech przyjdzie tutaj - odparł Zderzak.

Po pięciu minutach mężczyzna z siłowni pojawił się ponownie i stanowczo oznajmił:

- Tołdi zaprasza się do biura! Więcej zaproszeń nie będzie.

Zderzak splunął przed siebie, chwilę postął i ruszył w kierunku dyskoteki.



## ROZDZIAŁ IV

Była godzina 17.00, gdy w klubie Las Vegas zjawił się Arek Zgoda. Lokal był o tej godzinie pusty, ale jak zawsze hałaśliwie grała muzyka dance. Kiedy przekroczył próg, zauważył rosłego ochroniarza, który usiłował rozmawiać przez telefon, wykrzykując przekleństwa. Arek podszedł i sam musiał wrzasnąć, aby być słyszany:

- Gdzie jest Siarczyński?!

Zamiast odpowiedzi usłyszał nieprzyjemne:

- Nie widzisz kurwa, że rozmawiam!

- No to kurwa przerwij rozmowę albo za chwilę porozmawiamy na komendzie - wrzasnął Arek i pokazał kaburę z bronią. Osilek zmierzył go ponurym wzrokiem i bez słowa wyłączył telefon. Ruszył do środka lokalu, a Arek udał się za nim.

Klub składał się z przestronnego baru, ciągnącego się przez całą salę, i skórzanych kanap. Na środku znajdował się wybieg dla tancerek z rozgałęzieniami, na których w klatkach dziewczyny mogły bezpiecznie pokazywać klientom swoje wdzięki.

Po chwili osilek stanął z Arkiem przed solidnymi drzwiami. Zapukał. Oczom Arka ukazał się elegancki gabinet wyposażony w drewniane biurko, stół oraz skórzane fotele i kanapy. Przy stoliku siedziało trzech mężczyzn i grało w karty. Na widok osiłka i Arka dwóch wymieniło spojrzenia, tylko trzeci, łysiejący brodac z rozbudowanymi rękami i widocznym mięśniem piwnym, po sprawdzeniu kątem oka, kto wchodzi, zareagował:

- Spokojnie, ten gość jest do mnie.

Podał rękę Zgodzie, który również przywitał się z dwoma mężczyznami i zapytał:

- Przeszkadzam?

- Nie, gramy o jakieś drobne, daj nam pięć minut.

Arek kiwnął głową i wyszedł z pomieszczenia. Rzeczywiście po paru minutach zjawił się Jacek z uśmiechem od ucha do ucha.

- Dorabiamy na emeryturze? - zapytał Zgoda.

- Ty śledzisz niewiernych i robisz im zdjęcia, a ja patrzę na napitych baranów, którzy oglądają to, czego nie mają w domu, i tracą na to przeokrutną kasę - roześmiał się Siarczyński. Arek pogładził go po brzuchu:

- Tak, ale ja mam ruch, a tobie od tego siedzenia i patrzenia rośnie bęben. Nie dziwię się, że chłopaki z komendy przewalili cię Boberek.

Siarczyński zachnął się, widocznie pseudonim nie przypadł mu do gustu.

- Który kurwa? Powiedz, a zapewniam cię, że osobiście zrobię mu kręcenie wora — zapytał wkurzony.

- Spokojnie. Pogadamy na zewnątrz? - zaproponował Zgoda. Siarczyński założył swoją zieloną kurtkę z kapturem, przypiął do paska spodni kaburę z pistoletem i wyszedł na zewnątrz.

- Oplaca się? - zapytał Zgoda.

- Trochę zawsze wpadnie - odpowiedział dyplomatycznie Siarczyński, nie chcąc ujawniać zarobków w nocnym klubie.

Kiedy wyszli na zewnątrz, Zgoda zaproponował kawę w pobliskiej kawiarni. Tam w ciągu godziny streścił koledze problem dotyczący zlecenia Jagielskiego. Siarczyński spojrzął na zegarek i powiedział:

- Musimy podjechać do mojego kolegi. Pracuje w komendzie w Białej Podlaskiej - mówiąc to, wyciągnął telefon. Po paru sekundach rozpoczął rozmowę, z której kontekstu wynikało, iż za trzy godziny mają się spotkać na stacji benzynowej przy wjeździe od strony Białegostoku.

- Masz do niego zaufanie? - zapytał Arek.

- Inaczej nie trułbym dupy. Ten gość opowiadał mi o tym Fryście. Mówił, że jest mocno obstawiony. Maczał palce w lewym spirycie i paliwie oraz przemycie na Białoruś, ale nigdy dziw-

nym trafem nie poszedł za to siedzieć. Zawsze wsadzali jego ludzi. Zalegalizował interesy i trzęsie całą okolicą - odparł Jacek.

- Nie sprzedasz cię? — powoził pytanie Arek.
- Nie. Uratowałem mu kiedyś dupę.
- A nie wiesz, czy znał zięcia Jagielskiego? - zapytał Arek.
- Na pewno - odparł Siarczyński i dodał: - Spokojnie, jeżeli powie, że nie będzie się w nic mieszał, to na pewno nie zaszkodzi.

Po trzech godzinach byli na umówionej stacji benzynowej. Tam, w zielonym Fiacie Punto, czekał już znajomy Siarczyńskiego. Okazał się nim naczelnik wydziału kryminalnego, Andrzej Góral. Po przywitaniu się mężczyźni przesiedli się do auta Arka, jego BMW 5 było przestronniejsze. Siarczyński wyłuszczył problem, jaki ich sprowadził do Białej Podlaskiej. Kiedy doszedł do wątku śmierci policjanta w wypadku samochodowym, naczelnik gwałtownie przerwał:

- Chcesz wyjaśnić śmierć tego chłopaka?
- Tak. Rodzina zabitego uważa, że nie był to wypadek. Chcą wyjaśnić, dlaczego musiał zginąć wraz z żoną - odparł Siarczyński.
- Masz jakieś punkty zaczepienia? Podejrzanych? — dopytywał naczelnik.
- Nie, zupełnie nic, oprócz nazwiska Fryst i partnera nieżyjącego policjanta.

W samochodzie zapanował cisza. Przerwał ją Góral:

- Wiesz, ja chcę dożyć spokojnie 30 lat służby. Facet jest kurewsko mocny i to nie tylko tu, ale i w Warszawie, i na Wschodzie. Wiesz, na czym dorobił się fortuny?
- Na lewej wódzie i paliwie - odparł Siarczyński.
- Nie, to były drobne — kontynuował Góral. - Dorobił się na sankcjach dla Rosji.
- Jak to na sankcjach? — zapytał, milczący do tej pory, Zgoda.
- A tak. Gość miał tu zakłady mięsne, firmę transportową,

fabrykę mebli. Część sprzedał, a resztę przeniósł na Białoruś. Tam dogadał się z władzą i pośredniczy w wysyłce towaru do Rosji. Kasa ogromna. Wyrobił sobie niesamowite układy na Wschodzie. Spokojnie byłby w setce najbogatszych w Polsce, tyle że on nie lubi się ujawniać z dochodami — zakończył Góral.

- Pomożesz? - zapytał Siarczyński.

- Posłuchaj. Wiem, że pomogłeś mi w życiu i nie odmówię ci, ale tylko tak, żeby nikt się nie dowiedział, rozumiemy się?

- Jasne. Od czego byś zaczął?

Naczelnik zamyślił się i najwyraźniej szukał czegoś w myślach.

- Pojedźcie do S. Tam zapytacie o niejakiego Marchewkę, który był nadleśniczym. Pogadacie z jego synem, Mateuszem.

- A dlaczego nie z nim samym? - zapytał Arek.

- A dlatego, że Marchewka senior od 10 lat gnije w więzieniu za zabicie szwagra siekierą, natomiast od 12 lat poszukiwana jest jego córka, która w wieku 17 lat zaginęła bez śladu - powiedział Góral.

- A co to ma wspólnego ze śmiercią zięcia Jagielskiego? — zapytał Arek.

- Wszystko w S. ma ze sobą związek. W S. i w okolicach ponoć nikt nawet nie pierdnie głośniej bez zgody gospodina Frysta - oznajmił dobitnie Góral.

- A sprawa wypadku samochodowego? — zapytał Siarczyński.

- Tydzień temu przyjechali kołesie z BSW z Warszawy, wzięli wszystkie papiery, przesłuchiwali przez dwa dni partnera świętej pamięci Tomka, tego Krystiana Borkowskiego. Wszyscy w komendzie mówią, że Borkowski ma coś za uszami, ale co konkretnie, nikt na razie nie wie.

- Pomożesz nam? - zapytał jeszcze raz Jacek.

- Powiedziałem, że pomogę, to pomogę. Tyle, że nie możemy spotykać się na widoku. Nikt ma o tym nie wiedzieć. Jeżeli ci ludzie dowiedzą się, że wam pomagam, to mogą nie doczekać emerytury. Wam też radzę uważać i patrzeć za siebie. Jedźcie

do S. i pogadajcie z młodym Marchewką. Jakby was nie chciał słuchać, to powołajcie się na mecenasa Falangę. To gość, który bronił starego i wie, że go wrobili. A to mój dobry kumpel. Zadzwoń jutro zresztą do niego, żeby was zaanonsował — zakończył naczelnik. Pożegnał się i wysiadł z samochodu, rozglądając się uważnie.

- Jagielski obiecał mi 100 tys. zł za rozwiązanie tej sprawy. Bez ciebie mogę jedynie pomarzyć o tym. Fifty-fifty? - zaproponował Arek i wyciągnął rękę do Siarczyńskiego. Ten uśmiechnął się, po czym odparł:

- Mam dość patrzenia na przygłupów w klubie. Chętnie ci pomogę.

## ROZDZIAŁ V

Zderzak wszedł do pokoju Tołdiego. Gospodarz siedział w fotelu i palił papierosa. Wyglądał na bardzo zdenerwowanego. Mężczyzna stanął naprzeciw i zmierzył przenikliwym wzrokiem gospodarza.

- Nie podskakuj. - powiedział dobitnie. - To, że garowałeś z Godzillą, nie znaczy, że będziesz zadzierał nosa. - Wstał, wyjął zza paska pistolet, przeładował go, wymierzył w Zderzaka i powiedział: - Jeżeli jeszcze raz mi podskoczysz, to cię zabiję. Zderzak patrzył w oczy Tołdiego bez cienia strachu:

- To zabij.

- Taki jesteś kurwa twardy?! - ryknął Tołdi i zbliżył się do przybysza, nie spuszczać go z muszki pistoletu. - Wkurwiasz mnie, nie lubię przemądrzalców!

- Lubisz sługusów. Tępych pokornych sługusów - powiedział hardo Zderzak.

- Jesteś jeszcze głupi i naiwny - kontynuował Tołdi. Wiesz, na ile nasz przyjaciel wykiwał mafię paliwową?

W pokoju zapanowała cisza. Na twarzy Zderzaka odmalowało się szczere zdziwienie.

- Co, kolega spod celi nie powiedział o swoich osiągnięciach?  
- zapytał Tołdi.

Zderzak pokręcił przecząco głową.

- Widzisz, jesteś jeszcze młody i głupi. Oddałbyś swoje cacka rodzinie Godzilli, a nie wiesz, że ten cwaniak zwinął osiem milionów paliwowcom - powiedział z kpina w głosie. - Osiem baniek! Więc tę kasę, co ją dostaje ode mnie, traktuje jak zasiłek dla bezrobotnego. A jego stara jest cwana i udaje biedną.

- Co proponujesz? - zapytał Zderzak po przetrwaniu rewelacji Tołdiego.

- Proponuję, abyś siadł na dupie, przestał fikać i przyjął moją propozycję. Moi przyjaciele są w stanie znaleźć każdego na kuli ziemskiej, ale jeden warunek. 50 na 50. I miej w dupie Godzillę, on nie wyjdzie jeszcze przez wiele lat. Może dostać nawet ćwiartkę — powiedział z powagą Tołdi.

Po chwili zastanowienia Zderzak odparł:

- Zgadzam się.

- Widzę, że mądrzejesz. Może jeszcze będą z ciebie ludzie. — Tołdi schował pistolet.

- Mam prośbę. Dałbyś mi parę złotych zaliczki, jutro kupię sobie jakieś ciuchy, w tym wyglądam jak śmieciarz - Zderzak spojrzał na swój ubiór i buty.

Tołdi wyjął z kieszeni plik banknotów stułotowych, odliczył 2500 zł i podał chłopakowi.

- Kup sobie dezodorant, strasznie śmierdzisz pierdłem. Od dzisiaj będziesz pracował w kuchni i dyskotecy. Chłopaki z bramki są na ciebie wkurwieni, nie chcę, żebyś dostał od nich po ryju - powiedział Tołdi.

Zderzak schował kasę:

- Dzięki. A gdzie mógłbym spać?

Tołdi otworzył drzwi i krzyknął. Po chwili pojawiła się szczupła blondynka z wiadrem i szczotką do sprzątania.

- Zaprowadź go do kuchni. Od dzisiaj będzie wam pomagał. Dajcie mu coś zjeść i zaprowadźcie do wolnego pokoju, tam gdzie spali Ruscy. Jutro pojedziesz z Lalusiem do Białej Podlaskiej, to sobie kupisz coś na dupę - zwrócił się Tołdi do Zderzaka.

- Dzięki - powiedział Zderzak i wyciągnął rękę.
- Spierdalaj. Żebyś podał ci rękę musisz na to zasłużyć.
- Rozumiem - odparł Zderzak.

Dziewczyna zaprowadziła go do pokoju po Rosjanach pracujących w dyskotecie. Jedynym umeblowaniem były tu piętrowe łóżka i szafy na ubranie. Ściany były brudne, dawno nie odnawiane. Zderzak położył na łóżku worek z ubraniami i rozejrzał się po pomieszczeniu, które było w opłakanym stanie.

- Zjesz coś? - zapytała blondynka.

Teraz dopiero obrzucił ją spojrzeniem. Miała około dwudziestu kilku lat, miłą twarz z zadartym nosem, na którym widać było liczne pęgi. Dobre wrażenie robiło pogodne spojrzenie i rozpuszczone włosy sięgające do ramion.

- Chcesz coś zjeść? - ponowiła dobrotliwie propozycję.
- Jasne, nic nie jadłem od rana - odparł zadowolony i zapytał:
- Jak masz na imię?
- Dorota, a ty?
- Mówią na mnie Zderzak.

Po chwili szedł za dziewczyną do kuchni, poznając po drodze ludzi pracujących w lokalu, a przedstawianych przez dziewczynę. Po kwadransie jadł podwójnego hamburgera z frytkami, popijając piwem. Dorota wyjaśniła, na czym ma polegać jego praca. Kiedy zjadł, nie zamierzał poświęcić się pracy w kuchni. Wziął kubeł ze śmieciami i ruszył do przejścia na zaplecze lokalu. Na zewnątrz znalazł kącik, gdzie stały pojemniki z odpadami. Opróżnił kosz i postawił go na ziemi. Upewnił się, że nie jest obserwowany i ruszył do kojca ogrodzonego siatką, gdzie znajdowały się sprzężarki chłodnicze,

centrala klimatyzacyjna oraz ogromny agregat prądotwórczy. Szedł wzdłuż ściany budynku, aby nie znaleźć się w polu widzenia kamer. Wejście do kojca zamknięte było na kłódkę, znalazł więc duży kamień i poczekał, kiedy sprężarka agregatu włączy się. Jej hałas zagłuszył uderzenia kamienia. Kłódka po chwili ustąpiła. Mężczyzna wszedł do środka i skierował się do agregatu prądotwórczego. Odnalazł jego wtyczkę i wyjął śrubokręt schowany w kieszeni, po czym rozkręcił ją i odłączył jeden z kabli we wtyczce. Skręcił ponownie wtyczkę i odłożył ją na poprzednie miejsce. Upewnił się, że nikogo nie ma w pobliżu, i opuścił kojec. Rozbitą kłódkę wyrzucił do śmieci i z pustym pojemnikiem ruszył w stronę kuchni. Kiedy zbliżał się do wyjścia, w oknie ukazała się Dorota i zaczęła mu dawać znaki, wskazując ręką na drzwi wejściowe. Zderzak zorientował się, że to ostrzeżenie. Przesunął kubek od śmieci przed klatkę piersiową i otworzył gwałtownie drzwi. W tym momencie otrzymał potężne uderzenie kijem bejsbolowym. Na szczęście cios, zamiast zgruchotać żebra chłopaka, rozwalił przednią ścianę kubła. Uderzenie odrzuciło Zderzaka kilka metrów do tyłu. W tym momencie zza drzwi wyskoczyło kilku mężczyzn. Wśród napastników był kuśtykający Żubr i trzech mężczyzn ćwiczących w salce. Zderzak, odrzucony ciosem, ledwie utrzymał się na nogach. Kolejny mężczyzna uzbrojony w drewnianą pałkę, ruszył na niego, wykonał zamach i wyprowadził cios w głowę. Zderzak błyskawicznie zasłonił się resztkami kosza na śmieci. Cios był tak silny, że plastikowy pojemnik rozpadł się na kilka kawałków, ale spełnił zadanie, zamortyzował uderzenie. Napastnik ponownie wykonał zamach i chciał uderzyć Zderzaka w tułów, ale ten błyskawicznie ruszył do przodu i zanim napastnik ponownie wyprowadził uderzenie, zdołał go chwycić za rękę. Następnie błyskawicznie uderzył kolanem w jądra, aż napastnik zawył z bólu, a Zderzak wyprowadził cios z główki w nos. Kiedy napastnik zachwiał się, błyskawicznie chwycił go za rękę, odwrócił i założył nelsona, zasłaniając się jego ciałem



przed ciosami kolejnych mężczyzn. Pozostali dwaj napastnicy rzucili się w jego stronę, ale nagle stanęli jak sparaliżowani. W rękę Zderzaka błysnął nóż sprężynowy, który ten przyłożył do oka trzymanego mężczyzny.

- Jeden krok do przodu, a wy dłubię mu oko! - warknął ostrzegawczo.

Mężczyźni jak na komendę obrócili się w stronę Żubra, jakby oczekiwali na dalsze rozkazy, ale ten stał jak skamieniały. Nagle otworzyły się drzwi od zaplecza i stanął w nich Tołdi.

— Co kurwa, mało wam wrażeń?! — ryknął do Żubra. Zapomniałeś, kto tu rządzi?

Żubr pokręcił przecząco głową.

— No to jeszcze raz któryś wystartuje do niego, to wypierdala.

Tylko najpierw przeprosuje mu gębę żelazkiem, jasne?! - za grzmiał Tołdi.

Żubr i dwaj napastnicy potulnie wycofali się do tyłu. Zderzak po chwili puścił trzymanego mężczyznę i schował nóż. Kiedy mężczyźni zniknęli w dyskotece, Zderzak podszedł do Toldiego.

- Dzięki.

Szef tylko odburknął:

— Podziękuj dziewczynie, to ona ocaliła ci dupę.

Kiedy Tołdi wrócił do budynku, Zderzak usiadł na małej ławce, na której pracownicy siadywali w przerwach na papierosa. Chciał chwilę odsapnąć. Wiedział, że będzie musiał dać sygnał o rozpoczęciu akcji. Kiedy ochłonął, wszedł do kuchni. Zobaczył Dorotę, która zdążyła się już przebrać w uniform kelnerki. Widok chłopaka, całego i zdrowego, wywołał uśmiech na jej twarzy. Zderzak podszedł do niej i szepnął:

- Dziękuję, kiedyś zaproszę cię na kolację do prawdziwej knajpy. Dziewczyna uśmiechnęła się jeszcze serdeczniej, poprawiła krótką sukienkę i włosy. Teraz dopiero Zderzak przypatrzył się jej dobrze. Spodobał mu się jej piegowaty nosek. Jej twarz miała delikatny, dziewczęcy urok.

Dochodziła 23.00. Dyskoteka wypełniła się ludźmi. Zderzak opróżniał pojemniki ze śmieciami z całego lokalu. Kiedy przechodził obok głównego baru, jego uwagę zwróciła dziewczyna o rudych, długich kręconych włosach, ubrana w skórę i obcisłe dżinsy. Piła powoli drinka i wyraźnie szukała kogoś wzrokiem. Kiedy mijał ją, nagle wstała ze stołka i gwałtownie ruszyła w jego stronę, zawadzając przy tym ręką o szklanekę i oblewając chłopaka. Zderzak odskoczył instynktownie.

- Przepraszam! - powiedziała dziewczyna.
- Nic się nie stało, wszystko ok.
- Na pewno? - upewniła się dziewczyna.
- Tak, w stu procentach - odparł chłopak i wymownie przytaknął głową.

Dziewczyna odstawiła szklanekę na bar i po chwili opuściła lokal.

## ROZDZIAŁ VI

Przed wizytą w S. Jacek Siarczyński postanowił pogadać ze swym starym przyjacielem Witkiem Padowskim. Padowski był jednym z najlepszych dziennikarzy śledczych w Polsce. Zajmował się głównie powiązaniem służb specjalnych ze światem przestępczym. Znał kulisy wszystkich afer gospodarczych, które przetaczały się przez kraj, oraz ludzi, którzy byli w nie zamieszani, ich powiązania i koneksje.

Siarczyński wstał wcześniej rano, wyciągnął telefon i zadzwonił do przyjaciela. Po chwili usłyszał zaspány głos:

- Cześć.
- Obudziłem cię? - zapytał Jacek.
- Tak, pisałem do późna w nocy - odparł dziennikarz.
- Kolejna książka? Kraj czy terroryści?
- ISIS, ale cały czas uzupełniam materiał. Wydaje się, że je-

stem na finiszu, a wtedy pojawiają się nowe wątki.

- Możemy pogadać przez jakieś bezpieczne łącze? - zapytał Siarczyński.

- Jasne, daj mi pół godziny. Zadzwońię do ciebie - odparł Padowski.

Po dwudziestu minutach rozdzwoniła się komórka Siarczyńskiego. Kiedy odezwał się w niej głos dziennikarza, ten podał mu numer telefonu na kartę, którego do tej pory nie używał. Po chwili prowadzili rozmowę. Siarczyński streścił problem, a dziennikarz przez chwilę się zastanawiał i zapytał:

- O której masz być w S.?

- Po południu. Planujemy wyjechać z Białegostoku o 14.00.

- W porządku, zjem śniadanie, wezmę prysznic i wyjeżdżam do ciebie. Będę do 14.00 - zdecydował Padowski.

- Jesteś w stanie nam pomóc?

- Pogadamy na miejscu. Jak coś przeczytasz, to z wrażenia wyrosną ci kręcone, czarne włosy - odparł Padowski.

- Nie zalewaj! - wycedził ze śmiechem Siarczyński, głaszcząc się po łysej głowie.

Po trzech godzinach w mieszkaniu Jacka pojawił się Arek Zgoda uzbrojony w notes i dyktafon.

- Dzwoniłem do Jagielskiego. Chce, abyśmy podjęli wyzwanie. Umówiłem się z nim dziś około 21.00 na stacji benzynowej, 50 kilometrów od S..

- Ja też się do kogoś dodzwoniłem - odpowiedział Siarczyński.

- Do kogo?

W tym momencie usłyszeli dzwonek do drzwi i po chwili do mieszkania wszedł Padowski.

- Oto człowiek, do którego dzwoniłem - Jacek przedstawił gościa.

Bez wstępów Padowski wręczył Siarczyńskiemu kopertę. Ten wyjął kartki i zaczął czytać. Z każdą chwilą jego twarz zaczynała zdradzać coraz większe zainteresowanie. W pewnej chwili przerwał i zapytał:

- Dlaczego kurwa nic nie zrobiłeś w tym temacie?
- Dostałem ten list, kiedy byłem w Syrii. Przeczytałem po powrocie. Facet siedzi 10 lat, pomyślałem... - Padowski szukał usprawiedliwienia.

Zgoda przerwał milczenie:

- Możecie powiedzieć, o co chodzi?
- Gość dostał list od niejakiego mecenasa Falangi, w którym ten prosił go o pomoc w sprawie Marchewki odsiadującego wyrok. Prosi o nagłośnienie sprawy i pomoc w rewizji wyroku - wyjaśnił Siarczyński.
- No, to co tu robimy? Ruszamy do S. spotkać się z młodym Marchewką i poznać relację od bezpośredniego świadka - rzucił Zgoda.

Po trzech godzinach jazdy byli w S. Po drodze Padowski zapoznał się ze sprawą tajemniczej śmierci zięcia i córki Jagielskiego. Kiedy Zgoda i Siarczyński skończyli opowiadać, stwierdził:

- Słyszałem o tym Fryście. To niezły cwaniak. Potrafi się ułożyć ze wszystkimi politykami. Jest hojny dla dziennikarzy, ale mnie najbardziej zastanawiają jego kontakty na Białorusi. Znam jednego gościa, który stamtąd nawiał - mówiąc to, wyjął komórkę i po chwili wybrał numer. Po minucie ktoś odebrał telefon:  
- Cześć Borys, możesz swobodnie rozmawiać? - zapytał. - Czy mówi ci coś nazwisko Fryst. Andrzej Fryst?

Po chwili ciszy odezwał się głos w słuchawce:

- Tak, ale musielibyśmy się spotkać.
- Ok. Jutro o piątej, tam gdzie ostatnio - zaproponował Witek.
- Ok. To do jutra - odparł rozmówca i się rozłączył.
- Zna gościa, ale boi się gadać przez telefon - wyjaśnił Padowski.
- To pewny człowiek? — zapytał Jacek.
- Pewny, nie rzuca się w oczy. Wie, że ci ze Wschodu mają długie łapy.

Byli blisko celu, ale by znaleźć leśniczówkę musieli zapytać jakiegoś przechodnia o drogę. Po kwadransie stali przed

drewnianym domem, ogrodzonym wysokimi sztachetami, za którymi ujadaly dwa wilczury. Z domu wyszedł wysoki, barczysty chłopak o krótkich włosach przystrzyżonych na jeża, ubrany w mundur leśnika:

- Kogo panowie szukacie? - zapytał zza płotu.
- Szukamy pana Marchewki, syna leśniczego - wyjaśnił Siarczyński.

Chłopak otworzył furtkę i zlustrował przybyłych:

- Miało was być dwóch.
- Tak, ale niespodziewanie rozmnożyliśmy się - rzekł Siarczyński, podając list chłopakowi.
- To mecenas Falanga poprosił o pomoc naszego znajomego dziennikarza, Witka. I dlatego postanowiliśmy wziąć go ze sobą, żeby dwa razy nie jeździć.

Chłopak rzucił okiem na list:

- Czytałem. Proszę za mną, tylko zamknę psy.

Psy znalazły się w kojcu, a chłopak uchylił furtkę i zaprosił przybyłych do domu. Wnętrze było skromne. Stare meble, zdjęcia rodzinne na komodzie, a wśród nich portret kobiety lat około 30-tu i młodej, ładnej dziewczyny o blond kręconych włosach. Witek podszedł do zdjęć, wziął portret do ręki i zapytał:

- To siostra?
- Tak - odparł chłopak. — Zaginęła równo 12 lat temu. Dzisiaj miałyby 29 lat - głęboko westchnął. Widać było, że upływ lat nie zatarł bolesnych wspomnień.
- To jak to było? Niech nam pan opowie od początku — zaproponował Zgoda i dyskretnie włączył dyktafon.
- A co tu mówić... To wszystko przez tego gnoja Frysta — powiedział wzburzony chłopak.
- Znał twoją siostrę? - zapytał Siarczyński.
- Znał ją, znał też ojca, wiele razy był u nas gościem, razem polowali — wyjaśnił chłopak.
- Skąd wiadomo, że on miał coś wspólnego ze zniknięciem pana siostry? - zapytał Padowski.

Chłopak nic nie odpowiedział, zaproponował herbatę. Usiedli na starych kanapach w pokoju myśliwskim, podziwiając trofea nieobecnego gospodarza.

- Pana ojciec to upolował? - zapytał Zgoda.

- Tak, to jego zdobycze - wyjaśnił chłopak. - Żaneta, moja siostra zaginęła 12 lat temu w listopadzie, między domem a szkołą, a dokładnie między domem a przystankiem PKS odległym o 500 metrów od leśniczówki.

- Skąd wiadomo, że nie dotarła na przystanek? - zapytał Siarczyński, jakby prowadził przesłuchanie.

- Jej koleżanki, z którymi jeździła codziennie do szkoły, potwierdziły, że nie dotarła na przystanek - wyjaśnił młody Marchewka.

- Skąd pewność, że Fryst maczał w tym palce? - kontynuował przesłuchanie Siarczyński.

- Jeden z pracowników leśnych, który podążał na zręb, widział Frysta, który siedział w swoim samochodzie terenowym, 200 metrów od naszego domu. Stał schowany na bocznym leśnym dukcie, niewidoczny z głównej drogi — powiedział gospodarz.

- Ale to żaden dowód dla sądu - stwierdził Padowski.

- Żaden, ale ten człowiek mijał się z moją siostrą i widział ją jako ostatni. W ciągu pięciu minut powinna dojść do przystanku - wyjaśnił mężczyzna i dodał: - Ale to nie wszystko. Na drugi dzień po porwaniu Jasiak Kołda, miejscowy kłusownik, który sprawdzał w nocy wnyki obok bagien, widział jak Fryst ze swoim gorylem wynosi jakiś pakunek z bagażnika terenówki, a następnie jak wypływa pontonem na bagna. Po pół godziny wrócili, spakowali ponton i odjechali.

- Czy ktoś przesłuchał tego człowieka? - zapytał Siarczyński.

- Niech pan nie żartuje. Ojciec jeździł po policji, po prokuratorach, prosił o przesłuchanie lub przeszukanie samochodu Frysta i bagien. Kiedy zaczął pisać do ministra sprawiedliwości 1 gazet, został wrobiony w zabójstwo swojego szwagra, Edka Mroza - powiedział Marchewka.

- Z listu obrońcy wynika, że policja znalazła siekierę z odciskami palców pana ojca i kurtkę pochłapaną krwią ofiary — kontynuował Padowski.

- Tak, znalazła siekierę, którą ktoś wcześniej ukradł z szopy, i starą kurtkę, której ojciec nie używał od paru lat - wytłumaczył Marchewka.

- A świadek, niejaki Marian Kędziora? — zapytał Siarczyński.

- Marian? Świętej pamięci Marian, o zmarłych źle się nie mówi, ale to wiejski menel, który dwa dni przed śmiercią wujka Edka pił na umór z gorylem Frysta. Później wozili go na zeznania na policję i do sądów. W sądzie, kiedy mecenas Falanga zapędził go w kozi róg i Maniek zaczął plątać się w zeznaniach, sędzia prowadzący rozprawę zaczął się wtrącać. Przerywał Falandze, jakby był stroną w postępowaniu albo prokuratorem, a nie niezależnym sędzią. Gdy pojawiało się jakieś niewygodne pytanie, to przerywał. Później okazało się, że ktoś usunął pewne fragmenty protokołu rozprawy, pewnie niewygodne dla kogoś — zakończył chłopak.

- A co stało się ze świętej pamięci Marianem? - dopytywał Zgoda.

- Marian zrobił to, co najlepiej potrafił, czyli się zapił. Z rok po pogrzebie, jak ojciec już siedział, nagle pojawiła się matka Mariana. Przyszła zapłakana i powiedziała mi, że Marian jej wyznał przed śmiercią, że dostał pieniądze za fałszywe zeznania, żeby zrobić mojego ojca — kontynuował chłopak. — Powiedział jej, że wujka Edka zabił goryl Frysta, a Maniek pomagał mu przenieść zwłoki. Widział, jak krwią nieżyjącego już wujka ubrudził siekierę i kurtkę ojca.

- Czy można przesłuchać matkę Mariana? — zapytał Padowski.

- Babcia ma 75 lat. Jest jeszcze sprawna fizycznie i umysłowo - odpowiedział Marchewka i po chwili namysłu dodał niepewnie: — Ale to nie jest ostatnia rzecz, o jakiej powiedziała mi matka Mariana...

W pomieszczeniu zapanowała cisza. Po chwili Marchewka kontynuował opowieść:

- Powiedziała mi, że goryl Frysta zabił wujka młotkiem, który wyrzucił do pobliskiego lasu. Marian pomógł mu przenieść do lasu zwłoki, a potem już sam wrócił na miejsce zbrodni, odnalazł młotek i schował go. Matce wyznał, że młotek wraz z listem, opisującym zbrodnię, przekazał jakiemuś mieszkańcowi miasta, do którego miał zaufanie, i kazał mu ujawnić w momencie, kiedy układy Frysta osłabną.

- Czy staruszka domyślała się, kto jest tym człowiekiem? - zapytał Zgoda.

Chłopak pokręcił przecząco głową i stwierdził:

- Niestety, świętej pamięci Marian nie powiedział matce, kim jest ta osoba.

- A co stało się z kłusownikiem? - zapytał Siarczyński.

- Jasiek Kołda został znaleziony w lesie z przestrzeloną głową. To była egzekucja, pięć kul w głowę - wyjaśnił chłopak.

- To już wszystkie wiadomości na temat tego sielskiego miasteczka? — zapytał Siarczyński z przekąsem.

- Nie - odparł chłopak. - Dwa miesiące temu przyjechał do mnie gliniarz pracujący w kryminalnej, w Białej Podlaskiej.

- Niech zgadnę, nazywał się Tomasz Wieczorek? - wtrącił Zgoda.

- Tak - potwierdził trochę zdziwiony gospodarz.

- Wiemy, co się z nim stało. Tylko nie wiemy, dlaczego musiał zginąć wraz z żoną - oznajmił Siarczyński.

- Przyjechał dwa miesiące temu i zaczął wypytywać o miejsce, gdzie Jasiek Kołda widział na bagnie Frysta z gorylem... no... jaką on ma ksywę... Tołdi...? Tak, Tołdi - stwierdził chłopak i kontynuował: - Widział, jak pontonem wywozili duży ładunek. Pokazałem mu to miejsce. Kiedy zapytałem, po co mu to, odparł, że podejrzewa, iż to miejsce może służyć Frystowi i jego ludziom do pozbywania się zwłok.

- Ale czyich zwłok? - zapytał podnieconym głosem Padowski.



- Nie wymienił nazwisk. Powiedział tylko, że parę osób za ginęło ostatnio w okolicy i łączy ich jedna sprawa — wyjaśnił chłopak.

- Mówił, o co chodzi? - dopytywał Zgoda.

- Nie, ale raz zorganizowałem ponton i szpikulec do poszukiwań. Wypłynęliśmy, ale za dniówkę udało nam się spenetrować może ze sto metrów kwadratowych bagien. To robota dla kompanii strażaków na miesiąc. Dawno temu szukałem siostry na bagnach, ale nie udało mi się nic znaleźć — wyjaśnił ze smutkiem w głosie Marchewka i dodał: - Uważam, że ciało włożyli do jakiegoś worka i obciążyli je kamieniami. Tylko metoda systematycznego penetrowania całego bagna dałaby efekt.

- I nie wyjaśnił, czyje ciała miał na myśli? Kto jeszcze może spoczywać na bagnach? — zapytał Siarczyński.

- Nie. Był tajemniczy. Może nie był pewien, czy ci ludzie na pewno tam się znajdują? - odparł Marchewka.

- No, panowie, to mamy miasteczko Twin Peaks - skwitował z sarkazmem Zgoda.

- Raczej miasteczko Frystopol. Tylko słuchając tej opowieści, nie wiem, po której stronie Bugu ono leży - odpowiedział ironicznie Padowski. Wyciągnął z kieszeni niewielki dyktafon i dodał, podając go Marchewce:

- Zaczynamy grzebać, jak coś ustalimy, będziemy się kontaktować. Tylko nikomu ani słowa o naszej wizycie. Dam panu dyktafon. Pójdzie pan do matki tego Mariana, spróbuje ją pan wypytać i nagrać. Niech pan spróbuje wyciągnąć z niej wszystkie rzeczy, które usłyszał pan wcześniej. Niech pan weźmie dla babci jakieś słodczyce, starsi ludzie lubią prezenty. - Padowski krótko objaśnił gospodarzowi, jak ma obsługiwać dyktafon i zostawił swój numer telefonu, obiecując raz jeszcze przystąpić do działania.

Po niecałej godzinie znaleźli się na stacji benzynowej odległej o 50 kilometrów od S. Byli godzinę przed czasem, ale

na parkingu w czarnym Mercedesie klasy E, Zgoda rozpoznał Jagielskiego. Wysiadł i ruszył do samochodu przedsiębiorcy.

- Witam pana - przywitał się z przedsiębiorcą.
- Nie jest pan sam - Jagielski nie krył niepokoju.
- To moi współpracownicy - odparł Zgoda. - Dzięki temu, że jest nas trzech, będzie można od jutra zająć się sprawą trójpoziomowo. Tylko mam pytanie: Czy nadal jest pan gotów poznać prawdę?

W samochodzie nastąpił cisza. Jagielski szukał odpowiednich słów.

- Tak, jestem zdeterminowany, chcę poznać prawdę. Chcę, aby ludzie odpowiedzialni za śmierć mojej córki i zięcia ponieśli karę. Wie pan, że moja wnuczka pyta codziennie, kiedy wróci tata z mamą? - wyszeptał.

Zgoda pokiwał głową ze zrozumieniem:

- Musicie być silni, właśnie dla niej. Wstępnie rozpoznałem sprawę, chcę spróbować ją rozwikłać.

Jagielski wyjął małą reklamówkę i podał ją Zgodzie.

- Proszę przeliczyć, to 50 tysięcy. Na początek. Jeżeli znajdzie pan tych zbirów i doprowadzi do ich skazania, dołożę 100 tysięcy premii - powiedział twardym głosem.

- Spokojnie, panie Witoldzie. Tu jest umowa, proszę przeczytać i podpisać jeden egzemplarz. Może mi pan go podwieźć później do biura.

Jagielski nie potrzebował czasu do zastanowienia. Nic nie mówiąc, wyjął długopis, odszukał miejsce na podpis zleceniodawcy, położył kartkę na podłokietniku i złożył podpis.

- Niech pan działa. Zdaje sobie pan sprawę, że nie będzie panu łatwo? Że całe to miasteczko to jedno wielkie szambo? - zapytał Jagielski.

- Zgadza się, straszne szambo - odparł Arek - dlatego musimy uderzyć wyżej. Sami nie damy rady.

- Ma pan jakieś informacje? - zapytał Jagielski.

- Mam. Pana zięć niemal na pewno odkrył coś niebezpieczne-

go, za co musiał umrzeć. Spróbuję ustalić, co było tego przyczyną. Na razie nie mogę zbyt wiele mówić, zanim nie sprawdzę pewnych poszlak - odparł tajemniczo Zgoda i pożegnał się z Jagielskim.

Kiedy wracali do Białegostoku, ustalili, że Padowski próbuje się czegoś dowiedzieć na temat Frysta od Białorusina. Jacek z kolei miał poszukać na komendzie informacji na temat ostatnich tajemniczych zaginięć, zwłaszcza tych dotyczących młodych kobiet z ostatnich 15 lat. Zgoda miał węszyć na miejscu w S., szukając punktów zaczepienia.

## ROZDZIAŁ VII

Zderzak zakończył pracę w sobotę o szóstej rano. Pomógł obsłudze posprzątać salę dyskoteki, a kiedy już miał udać się do pokoju, podszedł do niego szczupły szatyn średniego wzrostu, o zaczesanych do tyłu i wyżełowanych włosach, ubrany w elegancką czarną skórę, dżinsy tego samego koloru i lakierki.

- Ty jesteś ten nowy?

- Ja, a co?

- A to, że masz jechać ze mną na zakupy do Białej Podlaskiej

- odpowiedział szatyn o wyglądzie żigolaka.

- Jestem Zderzak - odparł chłopak i wyciągnął rękę na powitanie. Elegancki jegomość dość obojętnie podał mu rękę i odpowiedział:

- Mówią na mnie Laluś. O dziewiątej czekam na ciebie przed wejściem.

Zderzak ruszył do baru, gdzie barmanki i kelnerki kończyły pracę. Wśród nich wypatrzył Dorotę, już bez służbowego uniformu.

- Zrobisz mi jeszcze kawę? - poprosił. Dziewczyna odpowie-

działa uśmiechem i odwróciła się do ekspresu.

Po chwili siedzieli przy barze, popijając aromatyczny napój. Dorota przyglądała się chłopakowi uważnie. W pewnym momencie pogładziła go po ręce i zapytała wprost:

- Wpadłbyś do mnie jutro po pracy na kolację?
- A o której kończymy prace w niedzielę? - zapytał Zderzak.
- O 21.00 wszyscy się zmywają, muszą wytrzeźwieć - wyjaśniła dziewczyna.

Zderzak pogłaskał ją po twarzy i powiedział:

- Skoro zapraszasz mnie na kolację, chętnie skorzystam. Mogę obiecać ci, że stawię się porządnie ubrany.
- Zamierzasz przyjść w garniturze? - zaśmiała się.
- Nie znoszę garniturów. Raczej nowe dżinsy, koszula, buty... Dziewczyna nachyliła się nad chłopakiem i pocałowała go w policzek.

- Będę czekać na tę kolację - uśmiechnął się Zderzak.

Równo o 9.00 Lalus z Zderzakiem wyruszyli z S. do Białej Podlaskiej. Wyjeżdżając z miasteczka, minęli pracujących geodetów, którzy wytyczali drogę.

- To będzie obwodnica? - zapytał Zderzak, ale Lalus zrobił obojętną minę i wzruszył lekceważąco ramionami. Po drodze Zderzak jeszcze raz usiłował nawiązać rozmowę, ale elegancik konsekwentnie go ignorował. Nie pozostawało więc nic innego, jak wykorzystać podróż na sen. Rozłożył siedzenie i zasnął.

Było po 10.00, kiedy dotarli do galerii w Białej Podlaskiej. Lalus obudził Zderzaka, zaparkowali na parkingu i ruszyli w stronę butików.

- Masz ochotę na kawę i coś do zjedzenia? - zaproponował Zderzak.

- Ok, chodź do McDonalda - odburknął Lalus.

Wkrótce siedzieli w restauracji, jedząc kanapki i popijając kawą. Rozmowa nadal się nie kleiła, więc Zderzak postanowił więcej nie narzucać się Lalusiowi. Gdy skończyli, wstał i ruszył w kierunku pasażu. Kiedy wszedł do butiku znanej firmy

odzieżowej, zobaczył kątem oka, że Luluś szedł tuż za nim. Zderzak wybrał spodnie, koszulę i kurtkę. Ruszył do przymierzalni. Kiedy znalazł się w środku, zasunął zasłonę, ale dostrzegł, że Luluś wymienia spojrzenie z podążającym do przymierzalni obok mężczyzną. Mężczyzna dość szybko opuścił przymierzalnię, do której natychmiast wszedł Luluś z parą spodni, które najwyraźniej zamierzał przymierzyć. Po chwili wyszedł i oddał spodnie, przecząco kręcąc głową, jakby był niezadowolony. W sklepie obuwniczym, gdzie Zderzak kupił parę skórzanych butów, Luluś też nie odstępował go na krok.

Kiedy skończyli zakupy, Zderzak wszedł do środka, a Luluś otworzył bagażnik z tyłu i coś w nim chował.

- Co chowałeś? Prochy? - zagadał Zderzak, gdy Luluś usiadł za kierownicą. Luluś obrzucił go wrogim spojrzeniem.

- Gówno ci do tego, co chowałem - rzucił ostro.

Zderzak błyskawicznie chwycił Lulusia za tył głowy i uderzył nią o kierownicę na wysokości nosa.

- Może i gówno mnie to interesuje, ale nie będziesz mnie palancie olewał! - ryknął.

Luluś zalany krwią wybełkotał:

- Pojechało cię? Nie wiesz, kim jestem dla Maksy?

Zderzak chwycił go za ucho i wycodził:

- Nie wiem, kim jest Maks, ale wiem, że jak mnie wkurwisz, to tak ci obję ryj, że zmienisz wygląd na młodszego brata twojego szefa.

- Dobra, puść mnie - zażądał chłopak - bo jak nie, to będziesz zapierdalał na piechotę.

Zderzak błyskawicznie nachylił się, otworzył drzwi od strony kierowcy i krzyknął:

- Wypierdalać! Sam wróć do S.!

Luluś był solidnie przerażony:

- No co ty! Odpierdoliło ci? Szef ci tego nie daruje! Wiesz, ile jest wart towar z tyłu?

Zderzak puścił go:

- Jedź, ale jak mnie wkurwisz, to pożałujesz.

Do samego S. mężczyźni nie zamienili ani słowa, ale kiedy stanęli przed dyskoteką, Zderzak wyciągnął błyskawicznie nóż sprężynowy i przyłożył do gardła Lalusia:

- Pamiętaj, spróbuj jeszcze raz mnie wkurwić albo cwaniakować! - Wyskoczył z samochodu i otworzył bagażnik BMW. Z bocznej ścianki wyjął paczkę, naciął ją nożem i wyjął trochę białego proszku. Przyłożył do nosa i wciągnął. Lalus stał obok samochodu jak skamieniały. Zderzak po chwili wciągnął działkę do drugiej dziurki. Kiedy skończył, otrząsnęło go:

- To nie jest kurwa towar! To jest syf!

- Ale nikt nie narzekał... - odparł przestraszonym głosem elegancik.

- Nie narzekają, bo nie ma konkurencji — odparł Zderzak i pogroził Lalusowi nożem. A potem wyjął zakupy z samochodu i ruszył w stronę dyskoteki.

## ROZDZIAŁ VIII

Zderzak spał do 17.00. Wziął prysznic, odświeżył się, założył nowe ciuchy i ruszył do pracy. Kiedy zszedł do kuchni, trwała tam duża krzątanina. Dzisiejszy wieczór miał obfitować w imprezy okolicznościowe. Osiemnastki, wieczory panieńskie i kawalerskie. Wszyscy ci goście oprócz zabawy i picia potrzebowali również przekąsek. Staął za Dorotą, która zajęta była przygotowywaniem posiłków i zapytał cicho:

— Jak ci się, złotko, podobam?

Dziewczyna odwróciła się, obejrzała go od stóp do głów i stwierdziła:

—Nieźle, masz gust. Wydałeś na to chyba ze dwa patyki?

—Zgadza się, bez stowy. Masz niezły przelicznik w oczach! — zaśmiał się chłopak.

- Pomożesz mi? - zapytała.
- Jasne, tylko daj mi jakiś fartuch, nie chcę się wysmarować majonezem.

W odpowiednim stroju Zderzak w najlepsze przystąpił do pomocy w kuchni, od czasu do czasu degustując ukradkiem przekąski, które miały czekać na gości.

Dyskoteka startowała o 20.00, ale ludzie zaczęli wypełniać ją dopiero po dwóch godzinach. Zderzak wyszedł na salę, ale o tej porze nie było zbyt wielu pijanych. Większość gości bawiła się na parkiecie. Chłopak zobaczył rudą dziewczynę, którą spotkał dzień wcześniej, kiedy ta nieopatrznie oblała go alkoholem. Na jego widok uśmiechnęła się, przywołała skinieniem głowy i zapytała:

- Przepraszam, nie ma pan wolnej popielniczki?

Chłopak rozejrzał się po barze i wkrótce wrócił do dziewczyny z popielniczką. Ta spokojnie wyjęła gumę z ust i wyrzuciła do popielniczki wraz z pudełkiem po zapalkach.

- Dzięki, jakbyś był uprzejmy wyrzucić to....
- Naturalnie. Czymś jeszcze mogę służyć?
- Może kiedyś wypijemy drinka?
- Przykro mi, ale jestem w pracy.

Na zapleczu podszedł do dużego kosza, ostentacyjnie opróżnił popielniczkę i odstawił do zmywaka. Poszedł w stronę męskiej ubikacji. Kiedy był w kabinie, otworzył pudełko po zapalkach: zgodnie z planem w środku było urządzenie podsłuchowe. Schował je do kieszeni spodni i ruszył z powrotem na salę.

Dochodziła 22.00, dyskoteka wypełniła się młodymi ludźmi. Ochrona przy wejściu miała pełne ręce roboty. Jedną z imprez był wieczór kawalerski, około czterdziestu młodych mężczyzn, kibiców miejscowego klubu ekstraklasy piłkarskiej, którzy zachowywali się głośno i agresywnie. Na nic się zdały parokrotne upomnienia ze strony ochrony. W pewnym momencie interweniował nawet sam Tołdi, co poskutkowało

spokojem trwającym może z pół godziny, po czym hałas zaczął się na nowo.

Kiedy Tołdi przechodził obok baru, rzucił do Zderzaka:

- To kibole, jedyna grupa, która ma wszystkich w dupie. Jak przyjeżdżają, zawsze trzeba się z nimi łąć. Masz kastet?

- Mam.

Tołdi popatrzył na niego i rozkazał:

- Zmień buty i czekaj w pogotowiu. Jeżeli dam ci znać, trzeba będzie kilku obić. Inaczej nie zrozumieją.

- Ok, skoczę na górę i zaraz wracam - odparł Zderzak.

Po pięciu minutach znowu był na sali. W kieszeni miał nóż sprężynowy i ochraniacz na zęby, a na nogach buty specjalnego przeznaczenia.

Nagle zgasło światło. Zderzak spojrzął na zegarek, była 22.30. „A więc wszystko idzie zgodnie z planem” — pomyślał. W dyskotecie świeciły tylko lampy awaryjne i świeczki. Ktoś z obsługi dzwonił do elektrowni. Zderzak zobaczył, że jeden z chłopaków z ochrony udaje się na zaplecze. Ruszył za nim, ale ten po chwili wrócił wściekły:

- Kurwa, o mało mnie coś nie zajebało! Coś pierdolnęło,

z wtyczki posypały się iskry. Potrzeba elektryka! — powiedział przerażony.

Tołdi wyjął telefon, ale już po chwili stwierdził, że coś musiało stać się z zasięgiem, bo nie mógł się nigdzie dodzwonić.

- Macie latarkę? - zapytał Zderzak.

- Mamy - odparł Tołdi, wyjmując zza baru wielkiego „halogena”. - Umiesz coś zrobić przy prądzie?

- Umiem, potrzebny mi tylko śrubokręt.

Wkrótce Zderzak rozkręcał wtyczkę agregatu prądotwórczego, a Tołdi podświetlał mu latarką. Nagle stanął obok nich zdyszany chłopak z ochrony:

- Szefie, ci kibole strasznie się awanturują.

- Powiedz Żubrowi, że jak skończymy, to dostaną wpierdol.

Teraz niech ich obstawi i zabezpieczy gości naokoło! Jasne? -



zapytał Tołdi.

Chłopak bezzwłocznie pobiegł na salę. Zderzak rozkręcił wtyczkę, wyciągnął luźny kabel, przyciął go nożem i mocno przymocował do bolców. Złożył wtyczkę, wpiął ją do gniazda, przekręcił i po chwili agregat ruszył, krztusząc się niemiłosiernie. W dyskotecie zapaliło się światło.

- Ot, cały ojcy bigos - powiedział Zderzak.

- Nieźle. Elektrykiem jesteś, siedziałeś w pierdłu, to może na prezydenta? - zaśmiał się Tołdi.

- To co? Idziemy uciszyć kiboli?

- Na początek wybierzemy z tłumu parę największych mend.

Po paru minutach było już jasno na całej sali. Ciągle jednak nie grała muzyka. DJ miał problem z uruchomieniem sprzętu. Grupa kibiców awanturowała się. Piętnastu ochroniarzy, z Żubrem na czele, usiłowało odgrodzić w jednej z łóż najbardziej agresywnych mężczyzn, ale ci świadomie zaczepiali gości i obsługę. Już krótka chwila obserwacji dała Zderzakowi pewność, że całą grupą dowodzi osobnik o posturze kulturysty, łysej głowie i czarnej, gęstej brodzie.

- To Czeczen - powiedział Tołdi. - Były zapaśnik, ciężki gość do ubicia.

- To co z nim? - zapytał Zderzak.

- Trzeba wyciągnąć ich na zewnątrz, żeby mi nie zdemolowali lokalu. Później wyjmemy klamki. Jeżeli będą buczeć, trzeba będzie komuś przestrzelić kolano. Inaczej nie poskutkuje.

- Nie polecą na psiarnię? - zdziwił się Zderzak.

- Na psiarnię? - Tołdi nie krył rozbawienia. - Woleliby być pogrzebani żywcem niż gadać z psiarnią. Nie znasz ich zasad?

Tołdi zatrzymał jedną z kelnerek i nakazał, by udała się do pokoju monitoringu i wyłączyła kamery. Teraz, już bez ciekawskich oczu kamer, mogli stanąć przed przywódcą awanturowujących się mężczyzn. Prawie dwumetrowy dryblas stanął przed lożą i zaplótł ręce.

- Kurwa - warknął zaczepnie - przyjechaliśmy zabawić się

u was na kawalerskim! Nie po to zapłaciliśmy, żeby twoi ludzie non stop do nas fikali! Żeby zamiast muzy oglądać wasze parszywe ryje. Oddajcie kasę za bilety, bo za żarcie i drinki na pewno wam nie zapłacimy.

Tołdi już miał coś odpowiedzieć Czeczenowi, kiedy wtrącił się Zderzak:

- Jesteś muzułmaninem? Czy tylko pajacujesz i robisz z siebie przygłupa, matole?!

Czeczen w odpowiedzi jedynie kopnął krzesło i ruszył w kierunku Zderzaka, a ten zaproponował chłodno:

- Wychodzimy na zewnątrz. Jeżeli mnie pokonasz, możecie bawić się do rana na koszt klubu. Przegrasz, to wypierdalasz raz na zawsze! I ogolę ci ten zawszony ryj, bo ci się tam lęgną robaki.

Już po chwili ochrona, kibole i co bardziej krewcy goście byli na zewnątrz.

- Ten skurwiel będzie próbował walczyć w parterze - ostrzegł Tołdi. - Rzuci ci się w nogi. Nie daj się obalić, bo ci wpierdoli.

- Na początek pozna moje czarodziejskie kamasze - Zderzak poprawił wiązania butów.

Czeczen rozebrał się do pasa i zachęcany przez kolegów ruszył w stronę Zderzaka. Ten również błyskawicznie ruszył do przodu i wyprowadził kopnięcie nogą w lewe kolano przeciwnika. But, uzbrojony w metalowy czubek zakończony szpicem, trafił w zewnętrzną część wiązadła nogi. Czeczen syknął z bólu i ruszył z jeszcze większym animuszem, lecz wtedy spotkał się z prawym sierpowym, który trafił go w głowę. Zderzak odskoczył na bezpieczny dystans, cały czas pozostając w ruchu. Dryblas ponownie spróbował zaatakować nogi Zderzaka, ale ten odpowiedział błyskawicznym kopniakiem w podbródek atakującego. Uderzenie było mocne, Czeczen zachwiał się na nogach. Zderzak wykorzystał to błyskawicznie, doskoczył do niego i wyprowadził kopnięcie w krocze. Jedenastka okazała się śmiertelnie skuteczna. Czeczen zgiął się w pół, ale Zderzak

nie zamierzał tracić czasu. Doskoczył do niego, chwycił za pochyloną głowę, wyskoczył w górę i wyprowadził cios kolaniem na nos. Brodacz runął na ziemię, nie mógł się podnieść, był zamroczony. Zderzak jednak nie zmierzał przestawać. Następna jedenastka wylądowała centralnie na uzębieniu Czeczena, który po chwili wypluł kilka zębów. Kolejny kopniak spadł na wątrobę, wywołując kolejną falę bólu. Zderzak błyskawicznie usiadł na jego nogach i wykręcił lewą stopę w stawie skokowym. Czeczen zaczął wyc z bólu i przeklinać. Zderzak zerwał się na nogi i wyprowadził cios ręką w brodatą szczękę. Na nieszczęście leżącego, ręka uzbrojona była w kastet. Po paru ciosach twarz Czeczena przedstawiała przerażający widok. Mężczyzna leżał na ziemi, nie miał siły wstać.

- Czy ktoś z szanownych gości chce dotrzymać towarzystwa kumplowi? - zapytał Zderzak, patrząc w stronę kibiców. Przy jezdni pospuszczali łby.

- Zabierzcie stąd to gówno, ale najpierw przyszły pan młody pójdzie ze mną uregulować rachunek. I pamiętajcie, następnym razem nie będzie tak przyjemnie - mówiąc to ostatni raz kopnął w żebra leżącego Czeczena.

Po chwili przyszły pan młody i drużba regulowali rachunki za kompanów. Zderzak patrzył na nich wzrokiem sadysty szukającego pretekstu.

- Za stworzenie niepotrzebnych problemów i moje straty materialne jesteście mi winni pięć stów - powiedział szyderczo, wskazując rozerwane spodnie i koszulkę. Mężczyźni bez słowa wypłacili dodatkowe pieniądze i czym prędzej opuścili salę dyskoteki.

Tołdi poklepał Zderzaka po ramieniu:

- Nieźle! Nieźły z ciebie świr. Nic dziwnego, że Godzilla cię lubi — powiedział z uznaniem i dodał: — Szef chce cię poznać. To zaszczyt dla ciebie.

- To ty nie jesteś tu szefem? — zapytał zdezorientowany Zderzak.

Tołdi odchrząknął i odparł z grymasem uśmiechu na twarzy:  
- Nie zgrywaj głupa. Godzilla nie powiedział ci, dla kogo pracuję? - Wskazał ręką nieokreślony kierunek. - Pan Maksymilian Fryst czeka. Dla przyjaciół Maks, a dla wrogów Księciunio.

Gdy przechodził obok baru, zaczepiła go Dorota:

- Nic ci nie jest?  
- Mnie nie, ale ten brodaty cham będzie musiał iść na leczenie. Myślę, że źle będzie wspominał dzisiejszą wizytę w naszej dyskotecie - odparł Zderzak, puszczając oko do dziewczyny, i ruszył za Tołdim.

Weszli do pokoju, mieszczącego się na piętrze. Od razu rzucał się tu w oczy elegancki wystrój, tak bardzo odróżniający to pomieszczenie od reszty służbowych pokoi. Nowoczesne meble, barek, z pełną gamą alkoholi, i ściana z rzędami monitorów, na których widać było wszystkie pomieszczenia lokalu. Za sporym biurkiem, w skórzanym fotelu siedział chłopak, mający na oko około 25 lat. Wygolone boki głowy i zaczesana do tyłu długa grzywka, pokryta gęstą warstwą żelu, przypomniały Zderzakowi o Lalusiu. Zresztą pod ścianą, na wygodnej, czarnej kanapie siedział z założoną nogą na nogę sam Laluś. Miał oklejony plastrem nos.

- Dzień dobry, jestem Zderzak - przedstawił się chłopak.

Młodzieniec wstał z fotela i wyciągnął rękę na przywitanie. Ubrany był w elegancki sportowy garnitur koloru popielatego, białą jedwabną koszulę i eleganckie zamszowe buty. Perfumy, których używał, wypełniały całe pomieszczenie.

- Jestem Maks - przedstawił się. — Jeszcze godzinę temu myślałem, że się rozstaniemy, ale to, co przed chwilą widziałem, wzbudziło mój podziw. Gdzie się tego nauczyłeś?

- Życie i przyjaciel, były komandos czerwonych beretów — odparł Zderzak, podając rękę Maksowi.

- Chyba będziemy współpracować dłużej - oznajmił Maks.

- Jeżeli tylko będę miał z czego żyć i gdzie spać, jestem do dyspozycji.

- Ze mną nie zginiesz — zapewnił Maks. - Masz ochotę na drinka? — zapytał wskazując barek zastawiony alkoholem.

- Chętnie, mogę nalać sobie czystej ze sprite'em? - zapytał Zderzak.

- Obsłuż się.

Zderzak podszedł do baru, po drodze wyjmując chusteczkę higieniczną. Otarł nią zakrwawione kości ręki. Kiedy nalewał sobie drinka, niezauważenie przymocował pod blatem baru urządzenie podsłuchowe. Po chwili siedział przed Maksem, który rozmawiał z kimś przez telefon. Gdy odłożył słuchawkę, wydał polecenie Tołdiemu:

- Stary wraca w poniedziałek. Ma mieć jakichś ważnych gości w środę. Zadzwoni do Juliana, niech ogarnie leśniczówkę.

Tołdi bez słowa wyszedł z pomieszczenia. Mimo muzyki dobiegającej z dyskoteki, można było prowadzić śmiało rozmowy. Pomieszczenie było solidnie wyciszzone. Przez przyciemnioną szybę w ścianie bez trudu można było obserwować bawiących się gości. Zderzak podszedł do szyby i zafascynowany patrzył na dyskotekę.

- Dobra, musimy pogadać - przerwał jego obserwacje Maks. Ten gość - wskazał na Lalusia - to mój kumpel. Nikomu, ale to nikomu nie wolno podnieść na niego ręki. Czy wyraziłem się jasno?

Ostatnie zdanie zabrzmiało niczym rozkaz.

- Tak. Przepraszam, nie wiedziałem... - zaczął tłumaczyć się Zderzak. - Myślałem, że te prochy to jego lewizna.

- Posłuchaj, tutaj nic nie dzieje się bez mojej wiedzy i wiedzy mojego ojca. Jak będziesz trzepał konia w kiblu, usiłował zabić mchę we własnym pokoju albo posuwał tę piegowatą kelnerkę, to będę o tym wiedział, rozumiesz? - Maks obrzucił Zderzaka zimnym spojrzeniem.

- Tak — odparł chłopak.

- To przeproś kolegę, a za dzisiejszą akcję dostaniesz 1000 zł premii. Tołdi zaraz ci wypłaci. A w następnym tygodniu, jak

będę miał trochę czasu, zaproponuję ci warunki pracy. Masz talent, trzeba to wykorzystać.

Na pokorne przeprosiny Zderzaka Laluś zareagował jedynie obojętnym spojrzeniem.

- Dopij drinka i zostaw nas samych - rozkazał Maks.

Zderzak dopił i opuścił pomieszczenie. Był zadowolony. Kiedy wyszedł z pomieszczenia, Fryst junior rozkazał Lalusowi:

- Sprowadź tego psa, byle tylnym wejściem.

Laluś bez słowa udał się na dół w poszukiwaniu Krystiana Borkowskiego.

\*\*\*

Niecałe dwa kilometry dalej, w wynajętym przez geodetów domu, mężczyzna ze słuchawkami na uszach, z uwagą słuchał rozmowy w pokoju Maksa. Pierwsza część zadania przebiegła pomyślnie. Teraz należało przystąpić do drugiej, a ta była o wiele bardziej skomplikowana.

Laluś bez trudu znalazł policjanta, który siedział przy barze w towarzystwie dwóch, rozochoconych dziewczyn. Był właśnie pogrążony w bardzo przyjemnej konwersacji, gdy usłyszał nieprzyjemny, stanowczy głos nad uchem: - Pożegnaj się z paniami i ruszaj dupę na górę. Szef czeka -Laluś podał mu klucz.

Policjant wszedł do toalety, minął rząd pisuarów, obstawionych przez klientów dyskoteki, i przeszedł do pomieszczenia z kabinami. W ostatniej, z napisem „Tylko dla personelu”, przekręcił kluczykiem zamek, wszedł i zamknął drzwi od środka. Chwilę nasłuchiwał, ale sąsiednie toalety były puste. Odsunął ręką klamkę, ukrytą w bocznej ścianie, przesunął ją, po czym wszedł do korytarza, a stamtąd schodami na górę. Po

chwili stał przed solidnymi metalowymi drzwiami. Zastukał trzy razy. Drzwi się otworzyły i ukazał się w nich Maks.

- Włącz i siadaj - rozkazał Fzyst junior. - Chcesz sobie golnąć?

- Nie, jutro od rana mam służbę. Ci z BSW tylko czekają na moje najmniejsze potknięcie.

- Spokojnie, rozmawiałem z prokuratorem. Gównem na ciebie mają. Błądzą po omacku - odparł wyluzowany Maks, popijając drinka. - Aha, ważna sprawa. Tam na stoliku jest szklanka, zabierz ją i zdejmij z niej odciski palców. Ustal, do kogo należą. Dostarcz mi życiorys, włącznie ze zdjęciem z kartoteki.

- Kto to taki? - zapytał Borkowski.

- Nie wiem, ty mi powiesz.

Krystian podszedł do stolika i schował szklankę do plastikowego worka.

- Na kiedy potrzebujesz te dane?

- Na jutro wieczorem.

Maks wyjął z kieszeni kopertę i podał ją Borkowskiemu. Mężczyzna podziękował skinieniem głowy.

- Miesięczna pensja.

- Dzięki - odparł Borkowski i skierował się ku tajnemu przejściu.

Był już w progu, gdy Maks rzucił:

- Ojciec przyjeżdża w poniedziałek. Dobrze by było, gdybyś nam oddał laptopa twego świętej pamięci partnera.

Policjant w drzwiach pokręcił przecząco głową:

- Sorry, ale to moja gwarancja na życie. Jeżeli coś mi się stanie... utopię się, przejedzie mnie ciężarówka, to dziennikarze dostaną komputer wraz z listem - odpowiedział.

- Nie ufasz nam? - zapytał groźnie Maks.

- Nie. Nie ufam - odparł policjant i wyszedł.

## ROZDZIAŁ IX

Było dobrze po pierwszej w nocy, kiedy wśród bawiących się na parkiecie gości Zderzak zauważył znajomą rudą dziewczynę. Właśnie usiłowała się pozbyć jakiegoś pijanego wielbiaciela. Zderzak stanął za barem, skreślił parę słów na papierowej serwetce i ruszył przez parkiet, przedzierając się przez tańczących ludzi. Kiedy przechodził obok rudej, ta odwróciła się i zaczęła krzyczeć:

- Czy mógłbyś poprosić tego gościa, aby odczepił się ode mnie? Zderzak błyskawicznie schował zapisaną kartkę do kieszeni dziewczyny, odwrócił się szybko i chwycił natręta za ucho, wyciągając go z parkietu. Pijany próbował się szarpać, ale, kiedy wyszli z kręgu tańczących, Zderzak błyskawicznie wykręcił mu rękę, zakładając nelsona i ryknął do ucha:

- Czy szanowny pan mógłby odpierdolić się od tej rudej laski? To dziewczyna mojego kumpla. Czy mam panu przeprowadzić badania uzębienia i genitaliów?! - mówiąc to przydusił mężczyznę, a gdy ten zaczął charczeć, Zderzak poluzował uścisk i puścił go, a natrętny amant oddalił się czym prędzej w stronę wyjścia, nie mogąc złapać oddechu.

Zabawa w dyskotecę dobiegała końca. Obyło się już bez niespodzianek. Ostatni klienci wyszli o szóstej rano. Zderzak pożegnał się z Dorotą i poszedł spać.

Wstał o 14.00, wyjął stary dres, założył adidasy i wyszedł na zewnątrz. Siąpił deszcz. Zderzak założył czapkę i rozpoczął rozgrzewkę. Ruszył lekkim truchtem w kierunku zabudowań miasteczka. Po przebiegnięciu kilometra między domami w S., ruszył w stronę lasu. Droga była asfaltowa, ale wąska. Chłopak biegł poboczem, aby nie obciążać stawów kolanowych. Utrzymywał stałe tempo. Po 10 minutach zauważył, że droga kończy się na leśnej posiadłości. Po dobiegnięciu do bramy zauważył kamery czujnie śledzące każdy jego krok. Skreślił



w lewo, w leśną przecinkę. Mimo że do ogrodzenia pozostało kilkanaście metrów, na posesji odezwały się psy. Były to cztery rottweilery, które groźnie obszczekiwały przybysza i towarzyszyły mu aż do końca ogrodzenia. Chłopak dość dokładnie przyjrzał się posesji, a zwłaszcza ogrodzeniu i kamerom umieszczonym wzdłuż budynku. Obiegł naokoło posiadłość i skierował się ponownie do S.

Po dotarciu do miasteczka skierował się w stronę widocznego z daleka kościoła pod wezwaniem Świętej Trójcy. Dochodziła 15.00 i świątynia była pusta o tej godzinie. Zderzak zdał sobie sprawę, że jest pora obiadowa. Ściągnął czapkę i wszedł do świątyni. Przeżegnał się.

Kościół był stary, ale w dobrym stanie. Częściowo drewniany, szczytł się statusem zabytku i dostojnym ołtarzem pokrytym złoceniami. W drewnianych ławkach kilka staruszek pogrążonych w modlitwie cicho odmawiało różaniec. Usiadł w ostatniej ławie, przyklęknął i zaczął się modlić, kiedy usłyszał kroki zbliżającego się człowieka. Odwrócił się i ujrzał jednego z geodetów. Mężczyzna usiadł obok Zderzaka i zapytał cicho:

- Wszystko ok?

- Ok. Jak podsłuch? Przyniósł już jakieś efekty?

- Przyniósł. Mamy pewność, że Borkowski maczał palce w śmierci swego partnera i jego żony.

Zderzak chciał powiedzieć coś ostrego, ale opamiętał się w porę.

- Jutro przyjeżdża senior rodu. Musimy dzisiaj przeprowadzić akcję.

- Wiem. Zaczniemy o północy. Dasz radę wyjść z lokalu? - zapytał geodeta.

- Bez problemu. Śpię dzisiaj u dziewczyny. Spotkamy się o północy przy zjeździe z drogi prowadzącej do leśnej rezydencji. Tylko weźcie cały sprzęt, willa ma solidne zabezpieczenia.

- Spokojnie. Dwa tygodnie spędziliśmy na obserwacjach.

Wszystko jest zaplanowane - odpowiedział geodeta, przeżegnał się i przeszedł kilka ławek bliżej ołtarza. Zderzak przy-

klęknął i modlił się dalej. *Zegar* wskazywał wpół do czwartej. Kościół zaczął wypełniać się wiernymi.

Po powrocie do lokalu Zderzak wziął prysznic i zszedł na dół. Dorota na jego widok uśmiechnęła się od ucha do ucha:

- Zrobiłam ci obiad. Słyszałam, że biegałeś po okolicy?
- Biegałem i byłem w kościele.
- Chodzisz do kościoła? - zapytała z niedowierzaniem dziewczyna.
- Chodzę. Jestem grzesznikiem, ale wierzę w Boga, i wierzę, że kiedyś uratował mi życie. Mam też zasadę, że nigdy pierwszy nie wchodzę nikomu w drogę.
- Ja też byłam w kościele na siódmą rano - powiedziała Dorota i podała mu ciepły obiad.

Do 21.00 w restauracji nic się nie działo. Przychodziła głównie młodzież i pary na randki oraz paru delikwentów leczących kaca piwem. Wszyscy myśleli o nowym tygodniu i obowiązkach. Wreszcie pojawił się Tołdi, który zebrał utarg z kas od barmanek.

- Miałem dostać premię - upomniał się Zderzak, doganiając go tuż przy wyjściu.
- A tak, rzeczywiście - Tołdi bez zbędnej dyskusji wyciągnął z portfela plik banknotów i odliczył 1000 zł.
- Dziękci. Na dzisiaj już koniec?
- Koniec. Możesz się zająć swoją przyjaciółką - roześmiał się Tołdi.
- Mamy zjeść romantyczną kolację — wyznał chłopak.
- Znając twoją przebojowość, to załapiesz się i na śniadanie.

Zderzak podał mu rękę na pożegnanie i po chwili razem z Dorotą szli rażno do jej domu.

- Z kim mieszkasz? - zapytał.
- Mieszkam sama. To dom po moich dziadkach. W tygodniu mieszkam czasem u rodziców.
- Czyli nikt nam nie będzie przeszkadzał w kolacji? - zażartował chłopak.

- Myślę, że po twojej wczorajszej akcji nikt o zdrowych zmysłach w S. i okolicy nie odważy nam się przeszkadzać - roześmiała się dziewczyna.

Kolacja była pyszna. Dorota przygotowała pstrąga na maśle. Jej rodzice prowadzili hodowlę ryb, o czym Zderzak dowiedział się już w czasie rozmowy. Po kolacji przenieśli się na kanapę, otworzyli wino, które przyniósł Zderzak, i włączyli muzykę. W pewnym momencie Zderzak chciał posunąć się dalej, ale dziewczyna odparła, iż ma zasadę, że zanim pójdzie do łóżka, musi minąć trochę czasu i muszą się lepiej poznać. Zaakceptował to z uśmiechem:

- Nie należę do natrętów, do szczęścia trzeba ochoty dwojga. Zderzak czuł, że ją lubi. Była nie tylko ładna, ale naprawdę sympatyczna. Gdy spojrzął na zegarek, dochodziła 23.00.

- Może kawy? - zaproponował.

Dorota uśmiechnęła się i poszła do kuchni. W tym czasie chłopak rozlał resztę wina i wsypał do jednego z kieliszków biały proszek. Kiedy dziewczyna postawiła przed nim kawę, podał jej kieliszek z uśmiechem:

- Za poznanie się i dzisiejsze spotkanie.

- Za spotkanie. Myślę, że nie ostanie - odwzajemniła uśmiech. Wypili wino i dziewczyna, zgodnie z planem, po kilku minutach już spała. Ułożył Dorotę niczym dziecko na kanapie i przykrył ją troskliwie kocem. Sprawdził drzwi wejściowe. Były zamknięte od środka. Wyszedł na dwór przez okno i starannie je domknął, aby z zewnątrz wyglądało na zamknięte. Obszedł dom i posesję, nie spotkał nikogo.

Skierował się w stronę leśnej rezydencji. Pół godziny później, na skraju lasu, zobaczył trzy terenowe Land Roversy, które zmierzały w jego kierunku. Wyjął małą latarkę i zapalił ją dwukrotnie, dając sygnał. Samochody stanęły, nie gasząc silników. Zderzak ruszył do pierwszego, a kiedy usiadł obok kierowcy, uchyliła się przyciemniona szyba i chłopak ujrzał rudą dziewczynę z dyskoteki.

- Pakuj się troglodyto - zaśmiała się rudowłosa. - Z tyłu, w torbie masz ubranie.

Na siedzeniu pasażera, obok dziewczyny, siedział geodeta z kościoła ubrany w strój służb specjalnych i kominiarkę. Z tyłu obok chłopak zauważył jeszcze komandosa ubranego jak pozostali.

- Czołem! — rzucił i zaczął przebierać się.

Wkrótce wyglądał jak pozostali pasażerowie.

Samochody skierowały się do lasu, lecz pół kilometra przed rezydencją skręciły w boczny dukt i po przejechaniu 100 metrów stanęły wyłączając światła. Geodeta odwrócił się i powiedział:

- Idę zająć się psami. Wy przygotujcie sprzęt.

Po chwili z trzech aut wysiedli ludzie ubrani w czarne kombinезony i kominiarki. Zaczęli wyciągać sprzęt. Tymczasem geodeta ruszył w stronę ogrodu. Cała posesja zajmowała dwa hektary i była ogrodzona metalową siatką wysokości trzech metrów. Dodatkowo nad ogrodzeniem znajdowały się zwoje drutu kolczastego uniemożliwiające jego rozcięcie. Kolejną przeszkodę do sforsowania stanowiły kolczaste zwoje, puszczone na ramionach skierowanych do środka posesji, tak że ewentualny intruz nie mógł uszkodzić ich od dołu. Geodeta podczołgał się do siatki. Wiedział, że naokoło, przypięte do lamp halogenowych, znajdują się czujniki ruchu, które w każdej chwili mogły go zdradzić. Geodeta wyjął z kieszeni słoik, poluzował wieko i zaczął czougać się wzdłuż ogrodzenia. Wkrótce psy wyczuły jego obecność i podbiegły do ogrodzenia szczękając. Błyskawicznie przerzucił przez siatkę zawartość słoika, którą stanowiła karma nasączona silnym środkiem nasennym. Według specjalisty odpowiedzialnego za uśpienie psów, dawka powinna starczyć na około sześć godzin. Psy nadal ujadły, więc geodeta wyczołgał się do tyłu. Po około 10 minutach zapanował spokój. Psy zapadły w sen, leżąc na trawie. Geodeta powrócił do samochodu, dał znak i pozostałych jedenastu ludzi ruszyło za nim.

Wkrótce byli przy ogrodzeniu. Czterech mężczyzn zaczęło montować specjalny dźwig — żuraw rozstawiony na trójnogu, z którego wystawał teleskopowy maszt, zakończony długim czterometrowym ramieniem z hakiem. Kiedy wszystko było gotowe, Zderzak założył specjalne szelki, przypiął się do haka, a wówczas jeden z mężczyzn zaczął wykręcać specjalną śrubę, która bezgłośnie podnosiła maszt do góry. Kiedy chłopak znajdował się w górze, nad ogrodzeniem z drutu kolczastego, mężczyzna przekręcił inne pokrętło, co spowodowało obrócenie ramienia żurawia nad ogrodzeniem. Koniec ramienia znajdował się nad posesją. Zderzak opuścił się na ziemię. Po chwili na teren posesji dotarło kolejnych pięciu ludzi oraz sprzęt niezbędny do kontynuowania akcji. Dziewczyna odnalazła śpiące psy i, aby być pewnym, że przez najbliższe dwie godziny będą potulnie spały, zaaplikowała im zastrzyk z następnym środkiem usypiającym.

Geodeta wskazał palcem, aby ruszyli za nim, gdyż dzisiaj w ciągu dnia jeden z jego ludzi ze specjalnej wiatrówki zniszczył lampę halogenową, która miała podpięty czujnik ruchu. Po chwili geodeta dał znak i jeden z mężczyzn wyjął z plecaka urządzenie i po chwili zasygnalizował, że je uruchomił. Geodeta wyjął telefon komórkowy — urządzenie straciło całkowicie zasięg. A więc zagłuszacz sygnału GSM działał. Wszystkie urządzenia alarmowe i telefony w promieniu 100 metrów przestały funkcjonować. Geodeta rozkazał, aby jeden z jego ludzi ruszył za nim wzdłuż muru willi. Cały parter i pierwsze piętro budynku były zakratowane. Tylko okienka poddasza nie były zaopatrzone w kraty. Budowniczy odpowiedzialny za zabezpieczenie przewidział, że nikt nie będzie mógł wspiąć się po ścianie budynku, ale nie wziął pod uwagę, że ktoś może użyć specjalnego żurawia hydraulicznego, który podniesie go na wysokość siedmiu metrów w górę, gdzie znajdowało się małe okienko.

Geodeta wraz z jednym z członków grupy podszedł pod zakratowane okno i wymownie wskazał palcem na wewnątrz.

W pokoju nocował Julian, pięćdziesięcioletni lokaj, stróż obiektu uzbrojony w broń, który w każdej chwili mógł wezwać pomoc. Z obserwacji wynikało, że mężczyzna chodzi spać około 23.00. Mężczyzna towarzyszący geodecie zbliżył się do okna, po czym wyjął małą wiertarkę akumulatorową i począł delikatnie przewiercać ramę okna. Po chwili wiertło znalazło się w środku. Geodeta wyjął z plecaka pojemnik przypominający butlę płetwonurka, zakończoną pokręteł i cienkim gumowym węzem. Włożył wąż przez otwór do pomieszczenia i odkręcił zabezpieczenie butli. Po około 10 minutach butla była pusta. Wyjął przewód, a towarzyszący mu mężczyzna przez wywiercony otwór włożył przewód mini odkurzacza i wyciągnął drobiny drewna z przewierconej ramy okiennej. Następnie wyciągnął specjalny klin, który wsunął do otworu po wiertle, idealnie wypełniając wywiercony otwór. Substancja szybko zastygła. Mężczyzna zapalił delikatną latarkę punktową i zamalował miejsce przewiercenia farbą o kolorze orzecha tak, aby nie pozostał żaden ślad. Geodeta wstał z kolan i poświecił latarką do środka. Bez trudu zobaczył na kanapie śpiącego dozorcę.

Po chwili obaj mężczyźni znaleźli się w miejscu uszkodzonej lampy, gdzie czekała reszta. Geodeta dał znak i po 15 minutach stał złożony nowy żuraw. Tym razem jako pierwszy zaczepiony został mężczyzna, który nawiercał ramę okienną. Żuraw podniósł go na wysokość nieokratowanego okna na poddaszu. Jego rama także została nawiercona, ale tym razem przez otwór został włożony specjalny giętki drut, który zaczepiony o klamkę pozwolił otworzyć okienko. Mężczyzna dał znak i po chwili był już na dole. Na górę ruszył geodeta wraz z czterema członkami grupy. Każdy, będąc w górze, założył specjalne worki z materiału na buty, aby nie zostawiać śladu.

Pierwszy za geodetą ruszył specjalista od alarmów i kamer. Kiedy mężczyźni dostali się do budynku, upewnili się, że zgłuszcacz działa i że alarm się nie włączy. Specjalista od alar-

mów udał się na dół budynku, gdzie odszukał pomieszczenie centrali alarmowej. Do centrali podłączył mały laptop i cofnął czas rejestracji obrazu do 23.50, po czym podłączył inne urządzenie, które emitowało prąd o dużym natężeniu, uszkadzając dysk nagrywający. Upewnił się jeszcze, że wszystko poszło zgodnie z planem, monitoring przestał działać i posprzątał po sobie tak, aby nikt nie zorientował się, co zaszło w centrali. Dał znak. Pozostałe osoby przystąpiły do montowania urządzeń podsłuchowych i kamer w pomieszczeniach willi. Po dwóch godzinach pracy cały budynek był naszpikowany aparaturą podsłuchową i kamerami najnowszej generacji. Geodeta dał znak i wszyscy sprawdzili, czy nie zostawili niczego podejrzanego.

Kiedy wyszli z budynku, ponownie podciągnęli do góry specjalistę od okien. Ten odkurzył resztki przewierconej ramy, przymknął okno od zewnątrz, wprowadził drut i domknął klamkę, zamykając okno. Następnie w otwór wsadził klin wypełniający przewiercenie, po czym je zamalował. Dał znak, aby go opuszczono.

Po pół godzinie cały zespół znalazł się poza ogrodzeniem. Po następnych 15 minutach wszyscy siedzieli w samochodach. Geodeta upewnił się, czy nie zostawili nic na miejscu. Wszyscy pokiwali przecząco głowami.

- Kto pierwszy się obudzi? Cięć czy psy? — zapytał Zderzak.
- Pierwsze psy. Cięć wstanie za trzy godziny - odparł geodeta.

Dochodziła 4.30, gdy Zderzak wysiadł na skraju lasu i ruszył do domu Doroty. Po pół godzinie otworzył okno. Kiedy wszedł do domu, stwierdził, że dziewczyna nadal smacznie śpi. Zgasił telewizor i światło, wziął koc i położył się na fotelu. Był potwornie zmęczony, ale jednocześnie zadowolony. Wiedział, że druga część zadania jest za nimi.

O godzinie ósmej rano pod leśną posesję podjechał samochód z zakładu energetycznego. Wysiadających pracowników przywitały szczekające psy. Po chwili ukazał się zaspany dozorca.

- Przepraszamy pana, ale mieliśmy w nocy poważną awarię na pobliskim transformatorze. Chcieliśmy sprawdzić, czy nic się nie uszkodziło - wyjaśnił pracownik zakładu.

- Było przepięcie. Kamery i nagrywanie szlag trafił. Już wezwałem serwisanta.

- To stało się przed północą, ale wszystko już jest ok.

- Dobra, dobra - odparł Julian, który nie wiedział, dlaczego zaspał. Zaczął zastanawiać się, czy nalewka, którą przyniósł mu znajomy leśniczy, nie jest jednak za mocna. Strasznie bolała go głowa. Wiedział, że musi jak najszybciej zażyć tabletki przeciwbólowe. Nie miał pojęcia o nocnych gościach, z którymi właśnie rozmawiał. I o tym, że zajmowali się rzeczami, o których nawet mu się nie śniło.

## Rozdział X

Była godzina 19.00, gdy do samotnej górskiej chaty znajdującej się w Czeczenii, niedaleko granicy z Gruzją, przyjechała wojskowa ciężarówka. Z kabiny wyskoczył brodaty mężczyzna w mundurze armii czeczeńskiej z charakterystyczną czapką. Odbezpieczył kałasznikowa i zbliżył się do budynków, które na pierwszy rzut oka wydawały się opuszczone. Kiedy znalazł się przed drzwiami, cicho zagwizdał. Po chwili z kępy drzew również odpowiedział mu cichy gwizd. Żołnierz instynktownie odwrócił się w kierunku zarośli, gdzie z mroku pomiędzy drzewami wyłonili się czterej brodaci mężczyźni, uzbrojeni i ubrani w ciemne kombinezony. Mehmed, spóźniłeś się - powiedział jeden z nich.



- Były pewne kłopoty, ale najważniejsze, że wszystko poszło zgodnie z planem — wyjaśnił przyjezdny.
- Co za problemy, bracie? - dopytywał człowiek w charakterystycznej kefiji, jaką noszą muzułmanie.
- Wczoraj przed magazynem pojawili się ci popaprańcy z GRU. Węszyli. Dlatego opóźniliśmy wyjazd o dobę, kiedy było już pewne, że nie planują żadnej akcji — wyjaśnił.
- W porządku, rozładujemy transport — rozkazał mężczyzna w kefiji.

Przybysz dał znak ręką kierowcy. Ten odpalił samochód i podjechał tyłem pod drzwi chaty. Dziesięć dużych skrzyń złożono do szopy. Kiedy mężczyźni skończyli pracę, jeden z nich pochylił się i otworzył wieko skrzyni. Oczom wszystkich ukazała się rakietka Stinger, typu ziemia-ziemia, z widocznymi napisami w języku angielskim. Wszyscy gwizdnęli z zachwytu. Przybysz zwrócił się do przywódcy:

- Tak jak się umówiliśmy. Sprawdź, czy wszystko jest w porządku.

Przywódca kiwnął głową i wkrótce wszystkie skrzynie zostały przejrzone.

- W porządku. Zgodnie z umową - stwierdził przywódca.
- To dobrze. A teraz wypłać mi resztę pieniędzy.

Przywódca pokiwał głową potakująco i wyjął paczkę dolarów. Podał ją oficerowi, a ten zaczął przeliczać gotówkę przy świetle latarki. Kiedy skończył, podał rękę przywódcy partyzantów:

- Mam nadzieję, że dobrze to spożytkujesz i dasz Ruskim w dupę.

- Dzięki bracie. Uważaj na siebie. Ma'a assalama. Idź w pokoju bracie. - powiedział przywódca, wskazując rękami w górę.

Kiedy mężczyźni ruszyli w kierunku ciężarówki, przywódca dał znak i dwaj najbliżej stojący partyzanci wyciągnęli pistolety z tłumikami. Zabrzmiała krótka, cicha palba.

- Dobijcie ich - rozkazał przywódca. - Niech wygląda, że nie mieliśmy dla nich litości.

Sam podszedł do martwych, wyciągnął ogromny nóż i podciął im gardła, a potem wytarł nóż i schował go do futerału. Wyciągnął z kieszeni leżącego oficera plik dolarów i schował go do własnej kieszeni tak, aby nie widzieli tego pozostali.

Wydał rozkaz. Z szopy wyjechał quad z przyczepą. Partyzanci ładowali po kolei rakiety i przewozili je na nieodległą leśną polanę. Kiedy skończyli, była prawie północ. Przywódca spojrział na zegarek i kazał wszystkim czekać. Wkrótce w oddali usłyszał helikopter. Na jego znak na polanie rozbłysły światła ułożonych w krąg latarek. Po chwili wojskowy, transportowy helikopter ze znakami armii gruzińskiej wylądował w środku okręgu. Przywódca podbiegł do helikoptera i odsunął boczne drzwi. Jeden z członków załogi podał mu rękę i dał znać, że wszystko jest w porządku. Po pół godzinie rakiety znalazły się na pokładzie helikoptera. Przywódca partyzantów zdjął z siebie czarny kombinezon używany przez bojowników ISIS i założył mundur oficera wojsk gruzińskich.

Po pożegnaniu swoich towarzyszy wszedł na pokład helikoptera, który uniósł się błyskawicznie w powietrze, kierując się w stronę Gruzji.

Po godzinie lotu helikopter wylądował na leśnej planie, odległej o dwie godziny jazdy od Tbilisi. Wkrótce cenny ładunek znalazł się na pace ciężarówki armii gruzińskiej. Przywódca partyzantów pożegnał się z dwuosobową załogą helikoptera, wręczając im plik dolarów. Ciężarówka ruszyła leśną drogą w kierunku stolicy Gruzji. Helikopter wzbił się w górę i odleciał w kierunku bazy wojsk lotniczych.

Po 10 minutach mieszkańcy małej wioski usłyszeli huk, a na niebie pojawiła się kula ognia. Resztki helikoptera, który eksplodował w wyniku detonacji ładunku zostawionego na pokładzie przez przywódcę partyzantów, wraz z załogą runęły w leśny wąwóz.

Po dwóch godzinach jazdy ciężarówka wjechała na teren bazy wojskowej i skierowała się do ogromnego hangaru. Tam

ładunek został zdjęty przez czterech mężczyzn, którzy błyskawicznie namalowali na skrzyniach znaki armii rosyjskiej. Po kolejnej godzinie skrzynie zostały załadowane na rosyjską ciężarówkę wojskową, pełną podobnych drewnianych skrzyń.

Przywódca partyzantów wyszedł przed magazyn, zapalił papierosa i spojrzął na zegarek. Była piąta. „Wyrobiliśmy się” - pomyślał. Nagle przed hangar podjechał wojskowy UAZ, z którego wyskoczył wysoki człowiek w cywilnym ubraniu. Podeszedł do partyzanta, przywitał się i zapytał:

- Wszystko zgodnie z planem?

- Tak, chociaż w Czeczenii był poślizg o dobę. Ale wyrobiliśmy się - odparł partyzant.

Przybysz wrócił do UAZa, wyjął podróżną torbę i wrócił.

- Helikopter eksplodował? - zapytał partyzant.

- Tak jak zaplanowałeś, co do minuty - odparł cywil i podał torbę partyzantowi. - Przebierz się. O szóstej wjeżdża tu konwój naszych ciężarówek. Podaś dowódcy papiery. Wie, że masz się dołączyć. Pamiętaj, po minięciu granicy z Gruzją, na 160 kilometrze zobaczysz czarnego Mercedesa ML. To nasi ludzie. Odłączysz się od konwoju i po 10 kilometrach znajdziecie się na lotnisku. Tam czeka samolot, którym dolećisz do celu.

- A co z moim sobowtorem? - zapytał partyzant.

- Spokojnie, trwa już proces rozmrażania. Jak się uwiniesz, będziesz bohaterem wszystkich newsów u nas i w Europie.

-Ale przecież...

- Żartowałem, Saszka. Na razie wszystko będzie utrzymane w tajemnicy - powiedział cywil, częstując go papierosem.

Rzucili niedopałki i partyzant wszedł do magazynu. Po kwadransie wyszedł z niego przebrany w mundur podoficera wojsk transportowych.

Była godzina szósta z minutami, gdy na teren bazy lotniczej wjechała kolumna pojazdów armii rosyjskiej: czternaście ciężarówek i cztery samochody terenowe. Z hangaru natychmiast wyjechała ciężarówka prowadzona przez partyzanta,

który podjechał pod samochód dowódcy konwoju. Przystanął i zameldował się, a kiedy zaczął pokazywać dokumenty, dowodzący lejtnant machnął pogardliwie rękę. Partyzant odmeldował się i wsiadł do ciężarówki. Konwój ruszył. Wszystko szło zgodnie z planem. Cywil przez lornetkę przyglądał się z oddali spod hangaru, jak partyzant włączył się do konwoju. Po odjeździe wyjął telefon komórkowy, wybrał numer i po chwili oczekiwania powiedział:

— W Tbilisi wstał piękny dzień. Życzę wam równie pięknej pogody.

## Rozdział XI

Konwój jechał z prędkością 50 kilometrów na godzinę. Nie mógł zatrzymać się po drodze, chyba że zdarzyłaby się awaria. Na szczęście obyło się bez niej. Po niecałych trzech godzinach jazdy przekroczyli granicę z Rosją. Papiery, które pokazywał partyzant, nie wzbudziły podejrzeń. Pogranicznicy sprawdzili pakę ciężarówki, ale nie zaglądali do skrzyń. Po godzinie ruszyli w dalszą drogę.

Teren był górzysty. Mijali wąwozy i przepaście, a zły stan techniczny drogi sprawił, że minęły cztery godziny jazdy, zanim partyzant zobaczył słupek z napisem 160 kilometr, znajdujący się w pobliżu miasta Nalczyk. Ze względów bezpieczeństwa i zagrożenia lawinami kamieni odległości między ciężarówkami sięgały 100 metrów. Nagle na bocznej drodze ujrzał czarnego Mercedesa ML z zapalonymi światłami. Saszka spojrział w lusterko. Ciężarówka, która jechała z tyłu, nie wyłoniła się jeszcze zza zakrętu. Gwałtownie skręcił w prawo i wjechał w gęste zarośla. Po odczekaniu kilkunastu minut, kiedy upewnił się, że nikt nie skręcił za nim, ruszył za Mercedesem. Po 20 minutach jazdy wjechali na nieużywane lotnisko. Zobaczył

na nim Antonowa An-2 stojącego na skraju lotniska. Mercedes ruszył w stronę samolotu, a ciężarówka podążała jego śladem, a już po chwili podjeżdżała tyłem do drzwi samolotu.

Z Mercedesa wyskoczyli czterej ludzie i przystąpili do od-sznurowania plandeki. Partyzant wyszedł bez słowa i podszedł do samolotu. Kiedy był przy luku załadunkowym, w drzwiach ukazał się mężczyzna, na oko sześćdziesięcioletni.

- Jestem Fiodor - wyciągnął rękę.

Partyzant przywitał się, wyjął paczkę pieniędzy z kieszeni i podał ją mężczyźnie. Ten szybko przeliczył je i zapytał:

- A reszta?

- Reszta, jak dolecimy na Białoruś - odpowiedział partyzant i wskazał na podręczną torbę na ramieniu.

- A jak nas zestrzelą? - zapytał pilot.

- Jak polecisz piętnaście metrów nad ziemią to nas nie zestrzelą. Allah jest z nami - odpowiedział partyzant i rozsunął torbę, pokazując paczki dolarów.

Po pół godzinie skrzynie z rakietami zostały przeładowane na samolot i zabezpieczone na pokładzie. Mężczyźni z Mercedesa ubrani byli w czarne kombinezony, jakie noszą mudżahedini. Kiedy skończyli pracę, kolejno podchodzili do partyzanta i po czeczeńsku żegnali się z nim. Kiedy ten stanął w luku samolotu podniósł ręce do góry i krzyknął:

- Allah Akbar!

Mężczyźni odpowiedzieli tym samym.

Silnik samolotu zacharczał i po pięciu minutach wystartowali. Partyzant usiadł między skrzyniami. Nie chciał, by pilot zapamiętał zbyt dobrze jego twarz.

Było już zupełnie ciemno, kiedy po pięciu godzinach lotu samolot lądował na słabo oświetlonym, dzikim lotnisku, gdzie czekała cysterna z paliwem. Pilot wyskoczył z samolotu i wrę-

czył plik banknotów dwóm nieznanym mężczyznom, którzy przystąpili do tankowania samolotu. Po godzinie zatankowany samolot wzbił się ponownie w powietrze, kierując się w stronę granicy rosyjsko-białoruskiej. Po czterech godzinach nastąpiło kolejne międzylądowanie i ponowne uzupełnienie paliwa. Była godzina 2.00, gdy samolot kolejny raz wystartował.

Pilot był doświadczonym przemytnikiem. Granicę minął tuż nad wierzchołkami drzew. Robił to nie raz, ale sto tysięcy dolarów było dla niego kwotą niebotyczną. Wiedział, że ładunek i pasażer są bardzo trefne, ale za lewe papierosy i wodę nikt takich kwot nie płacił.

Po ponad dwóch godzinach lotu wylądował na starym leśnym lotnisku. Partyzant przywarł głową do szyby, zobaczył starego Kamaza i starą wojskową cysternę, które kierowały się ku kołującej maszynie. Kiedy wysłużony Antonow wylądował i wyhamował, jako pierwszy do samolotu podjechał ciężarowy Kamaz. Wysiadło z niego dwóch ludzi o karnacji mieszkańców Zakaukazia. Przeładowanie skrzyń zajęło im pół godziny.

W tym samym czasie pilot ponownie uzupełniał paliwo, a kiedy skończył, partyzant wręczył mu paczki z dolarami. Ten skrupulatnie przeliczył i pożegnał się z pasażerem. Zamknął właz, usiadł za sterami i po chwili wystartował, kierując się w stronę granicy z Rosją. W duchu dziękował, że pozbył się niebezpiecznego ładunku i pasażera. Była dokładnie 6.30, kiedy przeleciał granicę z Rosją tuż nad wierzchołkami drzew. Po pokonaniu zaledwie pięciu kilometrów nagle zobaczył dwa wojskowe helikoptery, które leciały w jego stronę. Był czysty. Na pokładzie, oprócz dolarów, nie było niczego podejrzanego. Schował dolary do puszek po herbacie i spojrzał w stronę śmigłowców, których załogi dawały mu znak, aby leciał za nimi. Jeden zajął pozycję z przodu, drugi z tyłu. Kiedy zbliżali się do lotniska, wyrzucił nad gęstwiną leśną puszkę. Miał nadzieję, że ją odnajdzie, kiedy odzyska wolność. Nie wiedział, jak bardzo się myli. Kiedy wylądował na lotnisku i wyhamował

maszynę, uzbrojeni komandosi podbiegli i otoczyli samolot, celując w jego kabinę z broni maszynowej. Po chwili leżał skuty przed samolotem. Jednocześnie usłyszał głos mężczyzny. Osobnikiem tym był cywil z bazy wojskowej w Tbilisi. Tym razem był już w mundurze pułkownika armii rosyjskiej.

- Fiodor Łaguta? - zapytał.

Pilot pokiwał głową, leżąc ciągle na ziemi.

— Jest pan zatrzymany w związku z próbą zamachu terrorystycznego. Radzę współpracować z FSB, w przeciwnym razie, w pana wieku, nie przeżyje pan kolonii karnej - powiedział ostro.

Tymczasem na białoruskim lotnisku załadowany Kamaz podążył leśną drogą, by po kwadransie wjechać na asfaltówkę. Po kolejnej pół godzinie jazdy ponownie zjechał w las i po kilkudziesięciu minutach dalszej podróży zatrzymał się przy starych opuszczonych zabudowaniach między drzewami. Gdy mężczyźni podjechali, z budynków wyszło trzech żołnierzy w mundurach rosyjskich służb specjalnych. Byli to partyzanci z Czeczenii. Serdecznie przywitani się ze swoim dowódcą, rozładowali skrzynie i zaczęli montować rakiety obok zabudowań. Po trzech godzinach pociski były gotowe. W jednym z pomieszczeń rozłożono mapy, na których zaznaczony był rurociąg przechodzący przez Białoruś i współrzędne celów.

- Gotowe - powiedział przywódca partyzantów. Wyjął telefon i rzucił krótko: Możecie dostarczyć konserwy.

Po pewnym czasie na posesję wjechał mały samochód dostawczy. Wyniesiono z niego trzy ciała. Jednym z mężczyzn był Czeczen w mundurze rosyjskiego podoficera, łudząco przypominający przywódcę partyzantów.

- Faktycznie, trochę do mnie podobny — z uznaniem pokiwał głową przywódca.

Roześmiali się wszyscy. Pozostałe dwa ciała przypominały ludzi, którzy przyjechali Kamazem.

- Zmywamy się. Za pięć minut będzie tu nasza kawaleria, a za kolejną godzinę prasa — powiedział przywódca. Wszyscy zapakowali się do małej chłodni, która przywiozła ciała. Kiedy byli pół kilometra od budynku, nastąpiła eksplozja ładunku podłożonego pod ciężarówkę, zabijając wszystkich pasażerów. Z odłali obserwował to przez lornetkę cywil z bazy w Tbilisi. Miał nadzieję, że nie podzieli losu ludzi wykonujących tę operację.

## Rozdział XII

Było dokładnie południe, gdy Filip M., 45-letni właściciel firmy doradczo-konsultingowej, usiadł w małej kawiarni znajdującej się w Brukseli, w dzielnicy Leopolda. Zamówił kawę, szklankę wody i zaczął studiować europejskie gazety. Kawiarnia o tej porze była okupowana przez urzędników unijnych z całej Europy. Zewsząd słychać było różne, europejskie języki. Filip rozejrzał się po lokalu i zauważył wchodzącego do kawiarni starszego, siwego mężczyznę, ubranego w elegancki płaszcz i garnitur. Płynną francuszczyzną przybysz zamówił kawę i ciastko, po czym zdjął płaszcz, usiadł przy sąsiednim stoliku i uśmiechnął się do Filipa.

- Czy mogę przejrzeć „The Sun”? - zapytał uprzejmie.

- Ależ naturalnie - odparł Filip i podał przybyszowi gazetę.

Minęło 10 minut, gdy przybysz dopił kawę, zjadł ciastko, dyskretnie wsunął do gazety małą karteczkę i wstając, oddał gazetę Filipowi. Ten skinął głową i odpowiedział uprzejmym uśmiechem. Starszy pan wrócił do swojego stolika, położył na blacie 50-eurowy banknot, podziękował kelnerce, założył płaszcz i opuścił lokal. Filip wziął do ręki „The Sun”, poczekał aż nieznajomy opuści lokal, dyskretnie obrzucił spojrzeniem



kawiarnię, po czym zaczął wertować kartki gazety. Między stronami zobaczył małą karteczkę, schował ją, zawołał kelnerkę i uregulował rachunek. Przywołał taksówkę i według wytycznych z kartki udał się pod umówiony adres. Za pół godziny miał spotkanie.

Dwadzieścia minut później wchodził do jednej z XIX-wiecznych kamienic, dyskretnie się rozglądając. Budynek był schludny, zaopatrzonego w domofon. Filip wcisnął guzik z numerem „15” i po chwili jechał starą, metalową windą na trzecie piętro. Znalazł drzwi z numerem mieszkania. Były wykończone elegancką, drewnianą boazerią i posiadały bardzo starą, grawerowaną klamkę. Zapukał pięć razy. Po chwili ponowił pukanie, również pięć razy. Tak, jak było umówione. Drzwi otworzyły się i stanął w nich rostryż mężczyzna o wyglądzie ochroniarza, który gestem zaprosił Filipa do środka. Kiedy ten wszedł i zdjął płaszcz, ochroniarz bez słowa podsunął mu koszyk, ale mężczyzna pokręcił przecząco głową. Znał zasady spotkań, dlatego nie brał na nie żadnych urządzeń elektronicznych. Ochroniarz włączył ręczny wykrywacz metalu i zaczął starannie sprawdzać gościa. Filip wyjął bez słowa portfel i podniósł ręce. Ochroniarz dał mu znać głową, że wszystko jest w porządku i ręką wskazał zamknięte drzwi. Filip zapukał i po kilku sekundach usłyszał zaproszenie w języku francuskim. W środku był miły starszy pan z kawiarni.

- Jak cenne zdrowie? - zapytał gospodarz, wyciągając rękę na powitanie.

- W porządku. A jak pan się miewa? - zapytał kurtuazyjnie Filip.

- Też dobrze, choć ostatnio odczuwam zmęczenie częstymi podróżami lotniczymi - odparł straszny pan.

Po chwili siedzieli przy stoliku. Gospodarz zaproponował:

- Napije się pan prawdziwej, gruzińskiej herbaty?

- Jeżeli pan będzie pił, to ja też skosztuję - odparł Filip.

Chwilę później gospodarz nalewał herbatę do filiżanki z zabytkowego samowara. Jej aromat wypełnił pomieszczenie.

- Chciał się pan ze mną pilnie spotkać? - zagał Filip.

Gospodarz wziął filiżankę do ręki, usiadł w zabytkowym for-  
telu i zaczął powoli mieszać herbatę, jakby zastanawiając się  
nad doborem słów, od których ma rozpocząć rozmowę.

- Mamy wiele wspólnych interesów, z których obie strony są  
zadowolone - powiedział wreszcie.

Filip kiwnął przytakująco głową.

- Sprawa, w związku z którą pana zaprosiłem, jest bardzo waż-  
na nie tylko dla nas, ale dla wszystkich naszych europejskich  
partnerów - kontynuował staruszek. - Jest pan najodpowied-  
niejszą osobą do zrealizowania pewnego projektu, którego po-  
wstanie odwlekaliśmy dość długo. Ostatnie wypadki zmuszają  
nas jednak do natychmiastowego wdrożenia go w życie.

Filip zamieszał herbatę, wypił łyk smacznego napoju i oczeki-  
wał na propozycję, która zaraz miała paść.

- To, co usłyszysz pan teraz, jak zwykle musi zostać między  
nami. I tylko między nami. Nawet ludzie, z którymi będzie  
pan negocjował warunki w naszym imieniu, nie mogą zorien-  
tować się, że posiada pan tę wiedzę — z twarzy gospodarza  
zniknął uprzejmy uśmiech, a pojawiło się przenikliwe chłodne  
spojrzenie.

Filip zastanawiał się, ile czasu zajęło mu nauczenie się  
tak szybkiej przemiany z przemiłego staruszka w zimnego, po-  
zbawionego skrupułów biznesmena.

- Czy kiedykolwiek zawiedli się państwo na moich usługach?

- zapytał Filip.

Staruszek przecząco pokręcił głową:

- Dlatego to pan będzie nas reprezentować. Mamy do pana  
pełne zaufanie i wierzę, że nic go nie zachwieje.

- Ja też w to wierzę — odpowiedział stanowczo Filip i zapytał  
w końcu wprost: — Czego ma dotyczyć moje zadanie?

Staruszek wypił łyk herbaty, odstawił filiżankę i odparł:

- Otóż parę dni temu udaremniiliśmy zamach terrorystyczny na gazociąg na terenie Białorusi. Nie informujemy o tym prasy, gdyż skala zamachu, jaką planowali terroryści z ISIS, była tak duża, że mogło dojść do przerwania magistrali gazowej w dziesięciu punktach jednocześnie, co spowodowałoby paraliż w dostawach do Europy. Nie możemy wywoływać paniki w Europie, dlatego postanowiliśmy, że jutro spotkamy się na utajnionym zebraniu z premierami rządów europejskich oraz ministrami odpowiadającymi za energetyczne bezpieczeństwo. Wszystko musi zostać tajemnicą. Żadne informacje nie mogą przedostać się do prasy, gdyż mogłoby to doprowadzić do wybuchu paniki na giełdach. Nie muszę panu tłumaczyć, że wzmocni to państwa oraz ludzi, którzy lobbują na rzecz innych dostawców ropy i gazu niż my. Byłaby to dla nich niezwykła okazja, rozumie pan? - zapytał staruszek.

Filip ściągnął okulary, przetarł zmęczone nieco oczy i zapytał raz jeszcze:

- Na czym ma polegać owo przedsięwzięcie i jaka ma być moja w nim rola?

Staruszek odetchnął głęboko i zaczął energicznie objaśniać:

- Już parę lat temu przewidywaliśmy taki scenariusz. Aby uniknąć katastrofy przerwania dostaw, musimy podjąć kroki, by wybudować tajny magazyn skroplonego gazu na terenie Unii.

- Rozumiem, to logiczne, ale jeżeli przedstawi pan te wnioski na jutrzejszym zebraniu, to spotka się pan z zarzutem ograniczenia innych dostawców gazu do Europy i próbę osiągnięcia monopolu. Jaką w tym momencie miałbym odegrać rolę? - zapytał Filip.

Staruszek uśmiechnął się pobłaźliwie i uprzejmie powiedział:

- Będzie pan reżyserem naszego projektu, nie możemy wychodzić z pewnymi inicjatywami, gdyż nasi przeciwnicy uznają, że próbujemy podporządkować ich sobie poprzez gaz i ropę.

- A nie próbujecie? - uśmiechnął się Filip.

Starszy pan zrobił nieco zdziwioną minę i zapytał z rozbrajającą szczerością w głosie:

- A pan na naszym miejscu nie robiłby tego? Pozwoliłby się pan wygryźć z rynku Amerykanom, Arabom, Norwegom?

- Biznes to biznes, nie ma mowy o sentymentach - odparł Filip.

- Otóż to! Pana rola ma polegać na tym, aby przekonać do pewnych pomysłów ludzi nam przychylnych i tych mniej przychylnych. Oczywiście nie za darmo. Ale jeżeli nasze pomysły padną z ich ust, uzyskają aprobatę w Europie. Nikt z oponentów nie zarzuci nam, że próbujemy narzucić komuś naszą wolę

- wyjaśnił dyplomatycznie starszy pan.

- Na czym konkretnie ma polegać moja rola? - naciskał nadal Filip.

- Oto lista nazwisk sześciu ludzi, którzy są nam przychylni. Pojedzie pan do Włoch. W następną środę w Rzymie odbędzie się konferencja dotycząca bezpieczeństwa energetycznego Europy. Zaproponuje pan każdemu z nich kwotę dwóch milionów euro. Milion teraz, reszta po domknięciu kontraktu - kontynuował starszy pan. - Na jutrzejszym spotkaniu zaproponujemy budowę magazynu na terenie Polski. W celu realizacji tego projektu chcemy powołać nową spółkę europejską, w której skład wejdą nasi odbiorcy, proporcjonalnie do ilości odbieranego gazu. Przeznaczeniem docelowym magazynu będzie proporcjonalne rozdzielenie gazu do dotychczasowych naszych odbiorców. Oczywiście w razie, gdy nastąpi jakikolwiek atak terrorystyczny, który zagrozi ciągłości dostaw - skończył i wypił łyk herbaty.

- A kto konkretnie miałby sfinansować budowę tego magazynu? — dopytywał Filip.

- Unia Europejska posiada tajny fundusz na wypadek wojny, kataklizmu i niespodziewanych wydarzeń. Wszystkie te rzeczy właśnie się zadziały. Na jutrzejszym spotkaniu przedstawimy dowody i argumenty, które powinny skutecznie rozwiązać wąt-

pliwości naszych oponentów - powiedział starszy jegomość, na którego twarzy pojawił się szyderczy uśmiech.

- Ale to chyba nie koniec pana oczekiwań?

- Nie — przytaknął gospodarz. — Oczekuję, że owych sześciu naszych przyjaciół, w zamian za zdeponowanie przez nas gazu w magazynie bez zapłaty, umożliwi nam zakup 25% akcji czterech największych europejskich spółek gazowych, zajmujących się sprzedażą gazu w Europie Zachodniej. Oczywiście jutro przedstawimy swoje oczekiwania. Chcemy związać się z Europą biznesowo, zabezpieczając ją, ale jednocześnie gwarantując nam nasze własne bezpieczeństwo biznesowe.

- Gdzie według pana powinien powstać ten magazyn? - zapytał Filip. - Wierzymy, że najlepszą lokalizacją jest... - mówiąc to, gospodarz rozłożył mapę i wskazał palcem miejsce.

Filip spojrział na mapę i odrzekł z nutą niedowierzania;

- Ale czy Polska na pewno jest dobrym wyborem?

- Tak. To dobry wybór. Tutaj rurociąg skręca, okolica jest słabo zaludniona. Można zakamuflować przedsięwzięcie - wyjaśnił gospodarz i dodał: - Zaproponujemy jutro cztery miejsca i po jutrzejszym spotkaniu zostanie wyłoniona grupa ludzi, która stworzy zespół roboczy. Myślę, że naszych sześciu znajomych w niej będzie. W Rzymie wyjaśni im pan, które miejsce mają promować. W czasie inspekcji wybranych miejsc spotkają się z pewnym człowiekiem — podał wizytówkę Filipowi.

- To Polak?

- Tak, to on spotka się z wami i przekaże pierwszą część pieniędzy - wyjaśnił gospodarz.

Filip pokiwał głową, uśmiechnął się i zapytał:

- A co z moim wynagrodzeniem?

Gospodarz również odpowiedział uśmiechem i odparł:

- W ramach pomocy konsultingowej proponujemy panu trzy miliony euro.

- Myślę, że pięć milionów będzie sumą rozsądną. Będę miał przecież sporo wydatków - odparł lobbysta.

- Cztery miliony to uczciwa propozycja - staruszek wyciągnął dłoń.

Filip wahał się tylko przez chwilę:

- Zgoda. Ale co będzie, jeżeli Polacy nie zgodzą się na budowę magazynu na ich terytorium?

- To rola naszych przyjaciół, aby przekonać tych niesfornych Polaków - uśmiechnął się starzec. Nagle zmienił zupełnie temat: Piękny zakup.

- O czym pan mówi? - Filip nie ukrywał zdziwienia.

- O pana jachcie - odparł gospodarz.

- Transakcję finalizuję dopiero w następnym poniedziałek w Monte Carlo.

- Wiem, wiem. Szejk nagle zachorował i przełożył termin spotkania, ale wiem też, że pan podjął już decyzję. Gratuluję.

## Rozdział XIII

Bruksela. Tajne spotkanie 29 członków NATO z ministrem spraw zagranicznych Rosji zwołane na prośbę Rosji. Każdy kraj reprezentowany był przez premiera, ministra obrony i ministra do spraw energetyki. Głos zabrał minister spraw zagranicznych Rosji:

- Drodzy Państwo cieszę się, że spotkaliśmy się tak szybko, ale problem, z którym zmierzaliśmy się trzy dni temu na terenie Białorusi, wymaga podjęcia natychmiastowych działań ze strony naszych krajów. Połączenia wszystkich sił we wspólnych działaniach przeciw terrorystom - przemawiał minister.

- Nie muszę wspominać, że proszę o zachowanie w całkowitej tajemnicy celu naszego spotkania. Jeżeli jakiegokolwiek wiadomości wyciekną do prasy, całej Europie może grozić panika powiązana z wywołaniem kryzysów giełdowych oraz wybuchem psychozy strachu wśród ludności, którą trudno będzie zaha-

mować - dokończył minister.

Na sali zapanował cisza. Wszyscy uczestnicy czekali na wyjaśnienie problematyki spotkania. Minister kontynuował: - Proszę o zgaszenie świateł. Chciałbym zaprezentować państwu materiał i objaśnić problem, z jakim musimy się zmierzyć. Sala obrad pogrążyła się w ciemności. Jedyne jedną ze ścian wypełnił obraz z projektora. Oczom zebranych ukazał się dymiący budynek w lesie na Białorusi. — Trzy dni temu nasze służby namierzyły mały samolot transportowy, używany przez przemytników do przewozu kontrabandy. Zdziwiła nas sytuacja, że samolot wylądował na terenie Białorusi. Nasz dron obserwacyjny zaobserwował wylądunek skrzyń, przypominających wojskowy ładunek z samolotu do ciężarówki. W tle ukazał się film ukazujący omawiane wydarzenia. — Proszę zwrócić uwagę na człowieka z brodą, w mundurze podoficera armii rosyjskiej i dwóch osobników wyglądających na mieszkańców Zakaukazia. Podjęliśmy natychmiastowe działania mające na celu zlokalizowanie i przejęcie ładunku. Wkrótce po wystartowaniu samolotu został on przejęty przez nasze służby specjalne i zmuszony do wylądowania. Pilotem okazał się przemytnik, który po przesłuchaniu i zagrożeniu dożywotnim więzieniem wyznał, że otrzymał od bojowników ISIS 100 tysięcy dolarów w zamian za przemycenie dziesięciu skrzyń z jakimś wojskowym ładunkiem. Niezwłocznie po otrzymaniu tej informacji skontaktowaliśmy się z władzami Białorusi i poprosiliśmy o możliwość przeprowadzenia akcji zapobiegającej atakowi terrorystycznemu. - Na ekranie pojawił się film z przechwycenia samolotu i przesłuchania przemytnika. Minister kontynuował: — Po otrzymaniu zgody ze strony białoruskiej nasze służby zaczęły penetrować lasy i tereny przyległe do lotniska. Po godzinie jeden z dronów namierzył ciężarówkę widzianą na lotnisku. Po następnych dwóch godzinach nasze służby rozpoczęły szturm. Niestety terroryści umieścili miny pułapki naokoło leśnych zabudowań. Żołnierz,

który miał kamerę na hełmie, nieopatrznie zdetonował miny. Zginęło pięciu naszych komandosów. — W tym momencie na filmie ukazały się rozszarpane zwłoki komandosów biorących udział w szturmie. - Przepraszam państwa za te zdjęcia, ale to cena, jaką zapłaciliśmy za tę operację. Oddział szturmowy zdobył po walce zabudowania, a wszyscy trzej terroryści zostali zabici. Proszę o zwrócenie uwagi na człowieka w mundurze naszej armii. Ten człowiek to obywatel Czeczenii Rusłan Kazmatow, terrorysta, który wraz z własnym oddziałem walczył w Syrii w szeregach ISIS. Dwa miesiące temu myśleliśmy, że zginął w nalocie naszego lotnictwa skoordynowanym z atakiem naszych wojsk lądowych, ale dzisiaj mamy pewność, że zabitym wówczas terrorystą był jego młodszy brat, Halim. — Zgromadzeni ujrzeli zdjęcia zabitych terrorystów z przywódcą wcześniej sfilmowanym przez drona na lotnisku. — Ale naszym największym odkryciem po obezwładnieniu terrorystów było znalezienie dziesięciu rakiet Stinger, przygotowanych do odpalenia, oraz mapy z naniesionym współrzędnymi celów znajdujących się na gazociągu. Nie muszę państwu chyba wyjaśniać, że gdybyśmy nie udaremnili planowanego przez terrorystów ataku, oznaczałoby to przerwę w dostawach do kontrahentów europejskich - powiedział dobitnie minister.

Przed oczami zebranych ukazały się zdjęcia map z zaznaczonymi punktami, w które miały uderzyć rakiety.

- Ile czasu zajęłoby naprawienie instalacji gazowej? - zapytał jeden z ministrów energetyki.

- Myślę, że usunięcie szkód wyrządzonych przez eksplozję mogłoby zająć dwa lub nawet trzy tygodnie - odparł poważnie minister.

Z sali padło pytanie:

- Jakie ma pan wnioski w związku z zaistniałą sytuacją?

- Chwileczkę. Zanim przejdę do wniosków, muszę państwu jeszcze zakomunikować kolejną złą wiadomość związaną z terroryzmem - stwierdził dobitnie minister i zrobił pauzę, żeby



zebrani mogli skoncentrować się na tym, co usłyszą. W dokumentach terrorystów znaleźliśmy dokładne plany belgijskiej elektrowni atomowej z zaznaczonymi punktami, w które miały uderzyć rakiety.

Po tych słowach przez salę przeszedł szmer poruszenia. Dygnitarze spoglądali w stronę przedstawicieli Belgii, której minister obrony zapytał z wyraźnym niepokojem:

- Ale czy może nam pan przedstawić dowody na realne zagrożenie?

Na ekranie pojawiły się zdjęcia z dokumentacją elektrowni i zaznaczonymi czerwonymi krzyżykami miejscami, w które miał nastąpić atak rakietowy. Plan zawierał rozrysowany schemat urządzeń oraz opis miejsc, których zaatakowanie wywołałoby katastrofę. Po chwili pojawił się schemat samochodu wywrotki, na której przyczepie planowano zainstalować rakiety.

- Terrorysty planowali porwanie ciężarówki, na niej zamierzali zamontować rakiety i wystrzelić je z oznaczonego miejsca na mapie. Rozległy się ciche komentarze. Z min rozmówców wynikało, że prezentacja wywarła na nich duże wrażenie. Po chwili pojawiły się zdjęcia ukraińskich paszportów i wiz wjazdowych do Polski. - Trzej terrorysty po ataku na gazociąg zamierzali przedostać się na Ukrainę. Mieli im w tym pomóc członkowie czeczeńskiego batalionu walczącego na Ukrainie przeciw mieszkańcom Krymu. Następnie poprzez Polskę i Niemcy mieli udać się do Belgii. Wiemy, że pociski miały zostać dostarczone poprzez port w Neapolu i przewiezione w okolice Brukseli. - relacjonował rosyjski minister.

Na sali nastąpiło poruszenie. Pierwsza przemówiła kanclerz Niemiec:

- Co pan proponuje? - zapytała.

Minister omiół wzrokiem salę, wszyscy w napięciu oczekiwali na słowa, które padną z jego ust.

- Proponuję państwa krajom współpracę, której głównym ce-

lem będzie zapewnienie bezpieczeństwa naszym obywatelom. Tym razem udało nam się zareagować w porę, ale terroryści to ludzie bezwzględni — mówiąc to, minister wskazał na nowe zdjęcia, na których widniały ciała żołnierzy czeczeńskich z poderżniętymi gardłami oraz szczątki gruzińskiego helikoptera wojskowego. - To spotkało ludzi pomagających terrorystom. Zrobili to, by zatrzeć ślady. Nasz wywiad donosi, że celem następnych ataków terrorystycznych mają być elektrownie atomowe zlokalizowane w Europie Zachodniej, a więc realne zagrożenie będzie dotyczyło terytorium i obywateli waszych państw. Po tych słowach na sali dał się słyszeć szmer poruszenia.

- Na czym konkretnie miałyby polegać nasza współpraca? - zapytał minister obrony Holandii.

- Na stworzeniu sztabu specjalistów do walki z terroryzmem i wymiany informacji o zagrożeniach oraz znalezieniu sposobu ewentualnego zminimalizowania strat i skutków dla naszych państw w razie powodzenia ataku terrorystycznego - wyjaśnił minister.

- Na czym miałyby polegać owa zespołowa współpraca? - zapytała kanclerz Niemiec.

- Po pierwsze musicie państwo zacząć traktować nas jak sojusznika, a nie jak wroga. Myślę, że zaistniała sytuacja pozwoli na porozumienie w sprawie budowy gazociągu Nord Stream 2. Należy jednak podkreślić, że nowo powstały gazociąg również można uszkodzić, dlatego proponujemy rozwiązanie, które ma zabezpieczyć interesy obu stron i dać czas na dokonanie napraw - wyjaśnił minister. - Chcemy państwu zaproponować stworzenie wielkiego magazynu gazu skroplonego na terenie Unii Europejskiej, który zostałby wybudowany przez nowo powstałą spółkę, której udziały rozłożone byłyby proporcjonalnie do odbieranego od nas gazu. W razie zagrożenia magazyn zapewniłby ciągłość dostaw członkom Unii, również proporcjonalnie do dotychczasowych odbiorów, zabezpieczając

ich potrzeby na co najmniej trzy tygodnie. Proponujemy państwu cztery lokalizacje. Oczywiście wybór należy do państwa. Wiemy, że Unia Europejska posiada tajny fundusz na wypadek wojny, kataklizmu i wydaje nam się, że taki właśnie czas nastał — powiedział z powagą minister.

- Co państwo wniesiecie do inwestycji? — zapytał minister energetyki Francji.

- Całość zdeponowanego gazu, za który Unia Europejska zapłaci w momencie naruszenia jego rezerw — wyjaśnił minister.

- Jesteśmy otwarci na współpracę, ale dajemy państwu jeszcze coś, znacznie ważniejszego. Informacje naszych służb wywiadowczych i ich przeciwdziałanie, szczególnie wojska i jednostek specjalnych, których jako Unia Europejska nie posiadacie

- zakończył dobitnie minister.

- Czy to wszystko, czego oczekujecie od nas w zamian? - zapytał minister obrony Belgii.

Minister spraw zagranicznych Rosji uśmiechnął się:

- Wyciągamy do was przyjazną rękę i myślę, że po dzisiejszym dniu nie będziecie widzieć w nas wrogów i przystąpimy do rozmów na temat zniesienia sankcji dla naszego kraju. Ale zaangażowanie w walkę z terroryzmem kosztuje. Koszty, które ponosi nasz kraj, uprawniają nas do zabezpieczenia naszych interesów w Europie. Dlatego musimy mieć pewność długofalowej współpracy. W zamian za nasze zaangażowanie wojskowe i wywiadowcze chcielibyśmy mieć możliwość nabycia 25% udziałów po cenach giełdowych czterech głównych spółek zajmujących się w Europie dystrybucją oraz sprzedażą gazu i ropy.

Na sali zapanowało poruszenie i niedowierzanie. Część przywódców unijnych na gorąco wymieniała komentarze po tym, co usłyszała. Minister uciął jednak ich dywagacje ostrym, zdecydowanym głosem:

- Nasze wnioski pozwoliliśmy sobie przedstawić państwu na piśmie. Myślę, że termin 14 dni powinien państwu wystarczyć

do podjęcia decyzji i udzielenia nam konkretnej odpowiedzi — zakończył minister i opuścił salę.

Starszy człowiek, rozmówca Filipa M., nie mylił się. Po opuszczeniu sali przez ministra spraw zagranicznych Rosji uczestnicy spotkania postanowili powołać dwa zespoły robocze. Jeden z nich miał zająć się problemem bezpieczeństwa i możliwości zaatakowania elektrowni atomowych, drugi - sprawą wybudowanie magazynu na terenie Unii Europejskiej. Początkowo dyskusja nie przyniosła spodziewanych rezultatów. Jedno z czterech miejsc proponowanych na budowę zbiornika skroplonego gazu miało znajdować się na terenie Polski, której przedstawiciele jednak stanowczo sprzeciwiali się tej lokalizacji. Ich europejscy partnerzy, na terenie których znajdowały się elektrownie atomowe, obawiali się jednak tragicznych skutków ewentualnego ataku. Dlatego postanowiono, że zespół roboczy wybrany z ministrów energetyki w ciągu tygodnia zaopiniuje wszystkie miejsca możliwe do realizacji takiego przedsięwzięcia.

## Rozdział XIV

Kiedy Saszka z towarzyszami wsiadał do furgonetki, która przywiozła zwłoki terrorystów, wydawało mu się, że zadanie dobiegło końca. Trzech podkomendnych załadowało się do kontenera. Saszka usiadł w kabinie obok kierowcy i wyjął paczkę papierosów. Poczęstował go, a następnie sam wyjął ustami papierosa. Nie zdążył wydobyć zapalek, ponieważ kierowca usłużnie podstawił mu pod nos rękę uzbrojoną w odpaloną zapalniczkę. Saszka skinieniem głowy podziękował. Zastanawiał się, czy jego przełożony zapyta o dolary, które miały zostać w kieszeni oficera armii czeczeńskiej, a które Saszka wyciągnął. „Przecież — dedukował - zanim zabici zostaną odnale-

zieni, ktoś przypadkowy mógł ich okraść. 10 tysięcy dolarów nie leży na ulicy. To mój roczny żołd." Furgonetka odjechała pół kilometra od budynków, w których pozostały rakiety oraz ciała martwych terrorystów. Saszka zaciągnął się papierosem i spojrział na zegarek. W tym momencie rozległ się przeraźliwy huk i była to ostatnia chwila, jaką zapamiętał.

Był nieprzytomny, zalany krwią. Jego ciało wrzucono do wojskowej ciężarówki. Obok znajdowały się rozerwane na strzępy ciała trzech jego podkomendnych i zwłoki nieżyjącego kierowcy. Z oddali, jak przez watę, słyszał strzępy rozmowy. Jakiś człowiek meldował drugiemu wykonanie zadania. Saszka nie wiedział, czy tak wygląda życie pozagrobowe. Może już umarł, dlatego nie może się ruszyć. Po chwili jednak usłyszał rozmowę dwóch ludzi, którzy najwyraźniej opisywali widok rozerwanych ciał. Teraz dopiero uświadomił sobie, że słyszy tylko na prawe ucho. W lewym coś strasznie świszczowało. Próbował poruszyć ręką. „Czy oni nie widzą, że jeszcze nie zdechłem?” — przemknęło mu przez głowę. Siłą woli usiłował podnieść powiekę prawego oka. W miejscu lewego odczuwał straszny ból. Wreszcie się udało. Świat niemiłosiernie wirował przed oczami. Głowa strasznie bolała. Czuł, że coś niedobrego stało się z jego lewym okiem i uchem. Wiedział, że trzeba dać znać tym baranom, że żyje. „Przecież gotowi pochować mnie żywcem” — pomyślał. Saszka zbierał siły, gdy nagle usłyszał znajomy głos. Głos jego dowódcy. Poczł ulgę. Wiedział, że Wołodcia nie zostawi go na pastwę losu. Już miał dać ręką znak, gdy usłyszał pytanie zadane przez nieznanego głos:

— Towarzyszu pułkownikowi nie było innego wyjścia?

Wołodcia był wyraźnie zdenerwowany:

- To nie był mój pomysł, tylko tych ważniaków z góry. Chcieli mieć pełną dramaturgię walki. I mordy w kubeł! Zabitych po naszej stronie przeładujecie do trumien, jak ludzi.

Saszka znieruchomiał. Jego przyjaciel i dowódca, z którym brał udział w niejednej operacji, z którym nieraz ramię w ra-

mię walczył z wrogiem, narażając życie, igrając ze śmiercią, sprzedał go i skazał na śmierć. Na śmierć z rąk swoich. Saszka zaklął w duchu. Chciał krzycheć, zerwać się, aby spojrzeć do wódcy w oczy, a może po prostu się obudzić, bo to musiał być przecież tylko zły sen. Swoi nie sprzedają swoich. Ból i ciała obok były jednak zbyt realne.

Odgłos uruchamianego silnika ciężarówki do reszty go otrzeźwił. Na pace było zupełnie ciemno. Zebrał resztki sił i powoli zaczął gramolić się na kolana, potykając się o ciała kolegów. Widział tylko na prawe oko. Dotknął prawą ręką twarzy i poczuł w miejscu lewego oka ogromny skrzep krwi i straszny ból. „Co zrobią ze mną, jak zorientują się, że żyję?” - pomyślał rozgoryczony. Całe życie, każdego dnia udawał wszystkim, mimo swojego pochodzenia i wyglądu, że jest Rosjaninem, a nie Czeczenem. Codziennie od 10 lat narażał życie i przelewał krew dla Rosji. I dzisiaj dostał za to zapłatę. Zdał sobie nagle sprawę, że jeżeli byli gotowi poświęcić swoich ludzi, to nie cofną się, by dobić świadka. Ostatkiem sił, pokonując niemiłosierny ból, uklęknął, chwycił się prawą ręką za burtę ciężarówki i ruszył na czworakach w kierunku wyjścia. Po paru krokach zakręciło mu się w głowie i upadł na podłogę ciężarówki, która, jadąc leśną drogą, potwornie trzęsła. Jeszcze raz, mimo bólu, spróbował. Podniósł się na prawym łokciu i ruszył do tyłu samochodu. W końcu dopełznął na tył auta. Delikatnie odsunął plandekę, która była niezasnurowana. Z tyłu nie widać było żadnego pojazdu. Ciężarówka na leśnej drodze nie pędziła za szybko, ale Saszka wiedział, że jeżeli wyjedzie na asfaltową drogę, to skok nawet przy tej prędkości i jego stanie zdrowia może oznaczać tylko śmierć. Zebrał siły, podźwignął się z kolan. Na szczęście obie nogi, mimo licznych ran, były sprawne. Odsunął prawą ręką plandekę i usiadł na burcie. Świat zawirował przed jedynym okiem. Poczekał na moment aż ciężarówka zwolniła przed leśnym zakrętem i skończył. Uderzenieomal go nie ogłuszyło. Poczul ogromny ból gło-

wy. Leżał chwilę nasłuchując, ale ciężarówka pojechała dalej. „Nie zauważyli” - pomyślał z ulgą. Usiłował się podnieść, ale nie miał siły. Nagle usłyszał odgłos zbliżającego się samochodu. Nadludzką wręcz siłą woli podniósł się na łokciach. Zdrowym okiem dostrzegł w oddali światła samochodu terenowego, który jechał leśną drogą śladami ciężarówki. Strach dodał mu energii. Zaczął czołgać się w stronę leśnej gęstwiny. Wydawało mu się, że ma do pokonania dystans maratoński, choć od pobocza drogi dzieliło go raptem parę metrów. Przywarł twarzą do ziemi, czekając na rozwój wypadków. Wóz terenowy właśnie zbliżył się do miejsca jego ukrycia. Zdrowe prawe oko dostrzegło długie światła reflektorów. Saszka zaczął się modlić w myślach. Wiedział, że jeżeli go zauważą, jego los będzie przesądzony. Samochód na szczęście minął go i podążył śladem ciężarówki. Saszka leżał dobry kwadrans zanim na czworakach zaczął pełznąć przed siebie. Próbował obrać kierunek ucieczki. Wiedział, że ma trzy, może cztery godziny, zanim ciężarówka dotrze do granicy i odkryją brak jego ciała. A wtedy ruszy akcja poszukiwawcza, w której stanie się ranną zwierzyną, łatwą do upolowania. Postanowił chwilę odpocząć. Po pół godziny podniósł się na prawej zdrowej ręce i ruszył przed siebie. Panowała ciemność, jednak Saszka brnął dalej, potykając się o gałęzie i konary, zadając ból poranionym miejscom. W głowie kołatała się jedna myśl. Myśl, którą jako dziecku wpoił mu wujek Pietia, komandos, oficer tulskiej 106 Dywizji Powietrzno-Desantowej: „Nie daj się nigdy zabić. Nawet w sytuacjach bez wyjścia - myśl, jak wyjść z opresji. Nie ma sytuacji bez wyjścia”. Saszka brnął przez ciemny las, co chwilę potykając się i upadając. Minęła godzina, kiedy wycieńczony przystanął przy grubym drzewie i oparł się o jego konar. Chciało mu się strasznie pić. Zastanawiał się, jak daleko udało mu się uciec, ale zdawał sobie sprawę, że nie uszedł nawet kilometra. Jeżeli pościg wyruszy za dwie godziny i psy tropiące pochwycą jego ślad, będzie skończony. Nagle w oddali między drzewami

dostrzegł światło. Ruszył w tamtą stronę. Po przebrnięciu około stu metrów jego zdrowe oko zarejestrowało kolejny punkt świetlny. A więc nie mylił się. Po jakimś kwadransie opierał się o drewniany płot, który stanowił ogrodzenie jednej z trzech chałup leśnej osady. Usłyszał ujadanie psa uwiązanego na łańcuchu w sąsiedniej chacie. Saszka postanowił obejść wszystkie zagrody naokoło i wybrać najbardziej odpowiednią, do której mógł się udać po pomoc. Pierwsze dwie chaty były zbyt ubogie, ale trzecia wyglądała na porządne domostwo, zadbane i bogate. Na dachu budynku widoczny był talerz anteny satelitarnej, a na podwórzu stał niestary nawet samochód. Saszka postanowił zaryzykować. Przez okno ujrzał domowników, mężczyznę lat około 30-tu kilku, kobietę w podobnym wieku i dwójkę dzieci oglądających telewizję. Dom ogrodzony był drewnianym płotem. Saszka brnął wzdłuż niego naokoło. W pewnym momencie trafił na drewnianą furtkę, którą domownicy pewnie wychodzili do lasu. Podszedł do niej, namacał haczyk, na który była zamykana, wsunął palce między sztachety i po chwili był na posesji. Pies sąsiadów począł niemiłosiernie ujadać i po chwili właściciel gospodarstwa, słysząc jego donośny szczek, wyjrzał przez okno. Zapalił światło, które oświetliło podwórko i pełznącego Saszkę, który nie miał już siły i położył się na ziemi. Po chwili gospodarz stał przed nim uzbrojony w latarkę i widły, jakich chłopci używali kiedyś do pracy przy sianie.

- Kim jesteś? - zapytał Saszkę z białoruskim akcentem, przyświecając w kierunku jego zakrwawionej twarzy. Saszka był krańcowo wyczerpany i nie miał siły odpowiedzieć. Gospodarz, nie uzyskawszy odpowiedzi, pochylił się i zaczął dokładnie przyglądać się jego twarzy.

- O Jezu, co ci się stało? Trzeba wezwać pogotowie - wyszeptał przerażony.

Saszka pokręcił przecząco głową i wyszeptał ostatkiem sił:

- Daj mi wody... Muszę ci coś powiedzieć... Nikt nie może wie-  
dzieć, że tu jestem... w przeciwnym razem zginę ja, ty i twoi



bliscy. Wszyscy zginą... - oznajmił szeptem. Już po chwili Saszka łąpczywie pił wodę podaną mu przez gospodarza.

- Jak masz na imię? - zapytał Saszka.

- Aleksander - oznajmił gospodarz.

- Posłuchaj, jestem rosyjskim żołnierzem Specnazu. Mieliśmy zadanie na Białorusi. Miałem upozorować próbę ataku terrorystycznego na gazociąg. Udawać Czeczena. Ale moi dowódcy chcieli się nas pozbyć, żeby było wiarygodniej i żeby świadków nie było. Cudem przeżyłem. Jeżeli zawieszysz mnie do Mińska, do waszej stolicy i zorganizujesz przekazanie mnie Anglikom z ambasady, to dostaniesz 10 tysięcy dolarów - mówiąc to, Saszka odpiął bluzę kamizelki kuloodpornej i pokazał gospodarzowi plik zwiniętych studolarówek. - Jeżeli zgłosisz mnie na milicję, zabiją mnie, ciebie, twoją żonę i twoje dzieci. Wy bieraj, masz minutę - zakończył, ciężko oddychając.

Gospodarz niespokojnie wstał i zaczął nerwowo pocierać policzki. Widać było, że boi się podjąć decyzję, coś mamrotał. Po chwili przykląkł przed leżącym Saszka i powiedział:

- Ale pięć tysięcy dolców dasz mi od razu - zażądał.

Saszka odpiął plik dolarów, podzielił mniej więcej na pół i podał część gospodarzowi.

- Tylko ukryj je poza domem. Możesz jutro mieć rewizję. Nie mów nic żonie.

Gospodarz wziął dolary i skierował się do domu. Saszka nie wiedział, co będzie. Bał się, że obcy człowiek stchórzy i go zdradzi albo zostawi po prostu na pastwę losu. Po paru minutach Aleksander wyszedł jednak z domu i udał się do stodoły, z której wrócił ze starą skórą z dzika i kocem. Otworzył bagażnik samochodu i wyścielał go nim. Następnie pomógł wgramolić się Saszce do niego.

- Wiesz, gdzie jest ambasada angielska w Mińsku? - zapytał Saszka.

- To prawie trzy godziny drogi stąd. Zapytam się na miejscu

o adres. Tylko jak mam tam wejść?

- Zwyczajnie, zaczekasz do rana, a wtedy pójdziesz po wizę. Tam zażadasz spotkania z oficerem wywiadu. Kiedy upewnisz się, że to odpowiedni Angol, opowiesz mu o mnie — rozkazał Saszka.

- Dobrze, ale skąd będę wiedział, że to odpowiedni człowiek? - zapytał Aleksander.

- Posłuchaj, możesz mieć 10 tysięcy dolarów i być bardzo bogatym człowiekiem. Musisz pokombinować tak, aby nas nie zabito. Idź do domu, przynieś mi butelkę wody, jakieś środki przeciwbólowe i przeciwgorączkowe — polecił i dodał: — Wy myśl jakąś bajkę z żoną, że pojechałeś do rodziny, jak ktoś by pytał. I pamiętaj, ukryj na razie dolary, bo inaczej ściągniesz nieszczęście na rodzinę i na nas.

Gospodarz pokiwał głową i za chwilę był z powrotem z tabletkami i wodą. Saszka zażył tabletki. Czuł się coraz gorzej. Wiedział, że jeżeli nie otrzyma rano pomocy, może być z nim krucho. Czuł, że dostaje gorączki, głowa bolała go niemiłosiernie. Przykrył się kocem i powiedział:

- Jak dojedziemy do Mińska, obudź mnie.

Usiłował zasnąć, ale mimo krańcowego wyczerpania sen nie nadchodził. Gorączka się nasilała, miał coraz większe dreszcze. Saszka myślał o drodze, którą przeszedł, o własnym losie, który doprowadził go do bagażnika i na skraj śmierci.

Urodził się 1984 roku w Moskwie, jako syn Czeczeńca Szalima Radajewa i Rosjanki Wiery Bułchakowej, studentki medycyny. Ojciec Halima, bo tak kiedyś miał na imię Saszka, od najmłodszych lat próbował wychowywać go w duchu tradycji muzułmańskiej, co niosło za sobą niekończące się awantury z rodzicami Wiery, którzy nie akceptowali pochodzenia i religii zięcia. Przełom nastąpił w 1990 roku. Ojciec Halima, zamiast robić karierę w medycynie, postanowił poświęcić się interesom. Do Moskwy ściągnął swoją liczną rodzinę. Jednak interesy polegały na nielegalnym handlu bronią

oraz narkotykami i nie trwały długo. Wkrótce Szalim i jego kuzyni powędrowali do więzienia. Otrzymał karę 10 lat odsiadki. Rodzice Wiery postanowili skorzystać z okazji i zerwać wszelkie kontakty córki i wnuczka z niebezpiecznym zięciem. Halim wraz z matką przeprowadził się do dziadków. Wiera za namową rodziców rozwiodła się z Szalimem. Mimo to nachodzona była przez członków rodziny Radajewów. Po namowie rodziców ochrzciła Halima w cerkwi. Zmieniła też jego imię i nazwisko. Od tej pory stał się Saszką Bułhakowem. Mały Sasza swym wyglądem różnił się od rówieśników. Jego włosy, cera i rysy jednoznacznie określały jego pochodzenie. Jednak na dobre problemy dla chłopca zaczęły się z chwilą wybuchu konfliktu w Czeczenii w 1994 roku. Rówieśnicy zaczęli wyzywać się na nim. Wkrótce ktoś rozpuścił plotki o jego prawdziwym imieniu i nazwisku. Saszka przychodził do domu pobity i zastraszonej. Nie chciał chodzić do szkoły. Każdy następny dzień wydawał mu się koszmarem. I wtedy pojawił się w jego życiu wujek Pietia, kuzyn matki, oficer 106 Dywizji Powietrzno-Desantowej z Tuły. Gdy w czasie jednej z wizyt u siostry, podczas urlopu, zobaczył pobitego Saszkę, zaczął wypytywać chłopca, co się dzieje. Sasza opowiedział wszystko wujkowi, a ten postanowił działać. Założył mundur i udał się z nim do szkoły, stanął przed wejściem i lustrował każdego wchodzącego do budynku. Widok wysokiego, barczystego komandosa, stojącego obok chłopca, i jego groźne spojrzenie kierowane do niedawnych prześladowców dały wszystkim do zrozumienia, że dalsze znęcanie spotka się z ostrą reakcją. Ostrzeżenie poskutkowało. Wujek Pietia postanowił też nauczyć Saszkę podstaw samoobrony. Chłopiec chętnie zaczął ćwiczyć. Wiedział, że nie zawsze będzie mógł korzystać z obrony wuja i będzie musiał sobie radzić sam. Wkrótce, już jako 11-latek, zapisał się na kurs karate i treningi wciągnęły go bez reszty. Po roku zaczął startować w pierwszych zawodach. Trenerzy dostrzegli jego talent i pracowitość.

Przyszedł rok 1999 i kolejna wojna w Czeczenii. Wkrótce do Saszki i jego rodziny dotarła tragiczna wiadomość o śmierci wujka Pietii. Jego transporter niedaleko Groźnego wjechał na minę. Nikt z załogi nie przeżył. Saszka postanowił, że pomści śmierć wuja. Po skończeniu 18-tego roku życia zaciągnął się do wojska. W czasie szkolenia jego talent i zaangażowanie zauważyli przełożeni i zaproponowali służbę w jednostce do zadań specjalnych. Saszce spodobało się to. Ciężka praca i upór sprawiły, że zaczął się pomału piąć po szczeblach kariery wojskowej. Jego wygląd, znajomość języka czeczeńskiego, dawały mu możliwość przeniknięcia w szeregi wroga, a to dawało możliwość prowadzenia działalności wywiadowczo-dywersyjnej. Saszka każdego dnia udawał, że jest prawdziwym Rosjaninem, narażając życie i zdrowie. Wiedział, że jego wygląd i pochodzenie nie sprzyja jego karierze, dlatego brawurą i odwagą zjednywał sobie szacunek u podwładnych i przełożonych.

\*\*\*

Nagle samochód przystanął i po chwili otworzył się bagażnik. Saszkę oślepiło światło z latarki.

- Żyjesz? - zapytał Aleksander.
- Tak, tak - odparł cicho Saszka i zapytał: Która godzina?
- Trzecia w nocy.
- Połóż się spać i jak najszybciej rano wal do ambasady. Proś o kontakt z oficerem wywiadu - wyszeptał słabnącym głosem Saszka.

Aleksander zamknął bagażnik. Wsiadł do samochodu. Był przestraszony i zdenerwowany. Z podniecenia nie zmrużył oka do rana. Parę minut po 6.00 ruszył w kierunku wejścia do ambasady. Zapytał przypadkowego przechodnia, gdzie znajduje się wejście do pokoju wizowego. Czekał w napięciu aż urzędnicy ambasady rozpoczną pracę. Kilkadziesiąt osób ustawiło się w kolejce po wizy. Aleksander był pierwszy. Drzwi się uchyliły

i wszedł do środka. Po pokazaniu dowodu osobistego i przejściu przez bramkę wykrywacza metalu wszedł do pomieszczenia, w którym stało biurko i siedziała urzędniczka ambasady. Wskazała mu krzesło i zaczęła wypytywać o cel wyjazdu do Wielkiej Brytanii, ale Aleksander, zamiast odpowiadać, rozejrzał się badawczo dookoła, po czym przeniósł wzrok na kobietę i powiedział nerwowym głosem:

- Muszę rozmawiać z oficerem waszego wywiadu.

Kobieta spojrzała zdziwiona i zaniemówiła.

- Muszę pilnie rozmawiać z jakimś oficerem z waszej ambasady - powtórzył ze śmiertelną powagą na twarzy Aleksander.

Kobieta wstała zza biurka i skierowała się do sąsiedniego pomieszczenia. Po chwili zjawiała się wraz z roslym żołnierzem ochrony ambasady, który zaprowadził Aleksandra do pokoju, gdzie poddano go rewizji. Kiedy zakończono, żołnierz zaprowadził go do kolejnego pokoju. Czekał tam na niego łysy mężczyzna, lat około 40-tu, w czarnym garniturze, który wskazał mu uprzejmie na krzesło przed swoim biurkiem. Zapytał łamanym rosyjskim:

- Chciał pan rozmawiać z kimś z ochrony ambasady?

- Chciałem rozmawiać z kimś z wywiadu - odparł Białorusin.

- Po co panu kontakt z wywiadem?

Aleksander wiedział, że musi zaryzykować. Zdawał sobie sprawę z konsekwencji w razie odkrycia jego roli w całej aferze przez władze białoruskie. A te mogły być opłakane dla niego i rodziny.

- W bagażniku mam ciężko rannego żołnierza rosyjskich służb specjalnych, który miał dokonać pozorowanego zamachu na gazociąg jako terrorysta. Jego dowódcy postanowili pozbyć się świadków i uwiarygodnić to jego śmiercią. - Zdobył się w końcu na odwagę Białorusin. - Przejmiecie go czy mam go wyrzucić na śmietnik?

Łysy jegomość wstał zza biurka, pochylił się nad Aleksandrem i, patrząc mu w oczy, zapytał:

- Skąd wiesz, że ten gość jest tym za kogo się podaje?
- Myślę, że nikt przy zdrowych zmysłach nie wydułabymy sobie oka i nie poparzył w taki sposób gęby. Zresztą ten facet umiera
- wyjaśnił Aleksander.

Jego rozmówca, a może przesłuchujący, bez ogródek zapytał:

- Ile chcesz za przekazanie nam tego gościa?

Aleksander pokiwał przecząco głową.

- Nic, to on ma mi dać 10 tysięcy dolarów.

Pracownik ambasady przeprosił na chwilę i wyszedł. Po kwadransie wrócił i zapytał jedynie, gdzie stoi jego samochód.

Aleksander wyjaśnił, ale ze względów bezpieczeństwa umówili się, że Białorusin pojedzie pod cmentarz komunalny.

Po pół godzinie łysy gość z ambasady przyjechał pod cmentarz czarnym BMW na dyplomatycznych numerach. Otworzył swój bagażnik i kazał podjechać Aleksandrowi. Zielony Opel Aleksandra cofnął pod BMW, Białorusin, nie gasząc silnika, wyszedł z samochodu i otworzył bagażnik. Półprzytomny Saszka znalazł się w bagażniku samochodu pracownika ambasady. Wyciągnął drżącą rękę z plikiem dolarów w kierunku Aleksandra. Łysy jegomość popatrzył na ciężko rannego Rosjanina. Wyjął nóż, ku przerażeniu Aleksandra, zbliżył go do szyi rannego i począł przecinać kolejne rzepy kamizelki kuloodpornej i wiązadła butów. Saszka jęczał niemiłosiernie, gdy Anglik bez zbędnych ceregieli zerwał z niego kamizelkę i buty. Zakrwawione rzeczy podał Aleksandrowi.

- Stań za miastem i wyrzuć to do jakiejś wody - poinstruował.
  - Tę skórę i koc z bagażnika też. Masz fiolkę - podał mu małą butelkę z płynem - i wylej jej zawartość do środka bagażnika. Psy nie lubią tego zapachu i w razie kontroli dadzą ci spokój.
- Aleksander schował buty i kamizelkę. Spojrzał jeszcze raz na rannego i rzucił:

- Powodzenia!

Saszka nie miał siły odpowiedzieć. Anglik obmacał jego mundur.

—Nie mam na sobie dynamitu - wycedził Saszka.

—Spokojnie, zaraz cię prześwietlimy. Jeżeli schowałeś coś na wet w dupie, to i tak nie będziesz miał z tego pożytku — mówiąc to, zamknął bagażnik.

Łysy jegomość okazał się oficerem brytyjskiego wywiadu. Nazywał się Scott Parker, miał 38 lat, z czego 15 lat służby w elitarniej jednostce w 22 Pułku SAS. Zanim trafił do MI6 przeszedł wiele niebezpiecznych misji. W czasie wojny w Iraku w 2003 roku został poważnie ranny, ale dzięki pomocy podwładnych i ich zimniej krwi wydostał się z pola ostrzału. Po dwóch latach rekonwalescencji wrócił do służby i zajął się szkoleniem. Trzy lata temu zaproponowano mu przeniesienie do wywiadu. Wiedział, że jego kariera komandosa dobiega końca, dlatego bez wahania przyjął propozycję. Po dwóch latach szkolenia znalazł się na placówce na Białorusi. Jego zadanie polegało na zbieraniu informacji wywiadowczych pod przykrywką attache gospodarczego.

Po pojawieniu się Aleksandra w ambasadzie i wysłuchaniu jego opowieści Scott musiał błyskawicznie podjąć decyzję. Z jednej strony zdawał sobie sprawę z przebiegłości rosyjskich służb specjalnych, z drugiej w życiu kierował się mottem SAS, które brzmi: „Who Dares Wins”, „Kto się ośmieli — zwycięży”. Sam często powtarzał swoim podwładnym: „Kto nie ryzykuje, ten szkockiej nie pije”. Widok ciężko rannego mężczyzny utwierdził go w przekonaniu, że powinien podjąć ryzyko.

Po niespełna 20 minutach był w angielskiej ambasadzie. Wjechał samochodem do podziemnego garażu. Przy pomocy żołnierza ochrony przetaszczył ciężko rannego do pomieszczenia, które służyło jako izba chorych. Położyli Saszkę na stole zabiegowym. W pomieszczeniu już czekał dr Richardson, który pełnił funkcję lekarza ambasady. Rozpoczął badanie rannego. Po paru minutach dołączył do nich żołnierz sanitariusz. Saszka, który był przytomny, jęczał z bólu. Wiedział, że lada chwili-

la straci świadomość. Każde przecięcie munduru i odsłanianie poranionego ciała było straszną torturą.

- Daj mu zastrzyk z morfiny - polecił lekarz sanitariuszowi.

Ranny łamanym angielskim wyszeptał:

- Muszę koniecznie porozmawiać z kimś z waszego wywiadu.

Kapitan Parker pochylił się nad rannym i zapytał:

- W czym mogę ci pomóc?

- Jeżeli nie wywieziecie mnie z Białorusi w ciągu najbliższych godzin, pozbędziecie się naocznego świadka próby zniszczenia gazociągu przez fikcyjnych terrorystów - wyszeptał ostatkiem sił Saszka.

- Kim jesteś? - zapytał Parker.

- Porucznik rosyjskiej elitarniej jednostki do spraw zwalczania terrorystów, kryptonimie Alfa.

- Dlaczego uciekasz przed swoimi?

- Pozbywali się świadków. Nasze ciała miały uwiarygodnić za mach... Jestem pół Czeczenem... Mój ojciec jest Czeczenem, nadawałem się. Cudem przeżyłem wybuch miny. Uznali, że nie żyję...

Lekarz pokazał głową, aby kapitan wyszedł z nim do sąsiedniego pokoju. Tam poinformował bez ogródek:

- Ten człowiek w ciągu najbliższych godzin musi być operowany. W jego lewym oku tkwi kawałek metalu, który może spowodować krwawienie wewnętrzne i śmierć.

- Jeżeli przekazemy go Białorusinom i wymyślimy jakąś ściernę, to i tak wkrótce dowiedzą się o tym Ruscy i będzie po nim

- oznajmił zdenerwowanym głosem kapitan. Podszedł do okna i zaczął intensywnie myśleć. Po chwili zapytał: - A gdyby tak w naszej ambasadzie doszło do nieszczęśliwego wybuchu gazu i jeden, dajmy na to, z naszych szyfrantów zostałby ciężko ranny i poprosilibyśmy o pomoc Polaków, aby wysłali wojskowy samolot sanitarny po naszego rannego do Mińska?

- Jeżeli udałoby się panu błyskawicznie wywołać nieszczęśliwy wypadek, to nasz ranny za cztery godziny znalazłby się na



sali operacyjnej w Warszawie — oznajmił doktor.

- Niech pan wraca do niego i zaaplikuje mu zastrzyk nasenny. Trzeba wprowadzić go w stan śpiączki farmakologicznej, aby mając nie palnął przy Białorusinach czegoś po rosyjsku - rozkazał kapitan i wyszedł z gabinetu.

Udał się błyskawicznie do ambasadora, któremu zrelacjonował przebieg wypadków z ostatnich godzin. Ambasador wysłuchał go z uwagą i po chwili zastanowienia zdecydował:

- Niech pan działa, kapitanie, ale jeżeli coś pójdzie nie tak - zrobił w tym momencie wymowną pauzę - będzie to oznaczać koniec pana kariery. Zdaje pan sobie z tego sprawę?

- Tak, wołę zbierać puszki po piwie, jeżeli coś pójdzie nie tak, niż dać umrzeć temu człowiekowi. Jeżeli to, co mówi, jest prawdą, to nasi przyjaciele ze wschodu kombinują coś bardzo grubego — stwierdził kapitan i dodał: — Nikt panie ambasadorze, za przeproszeniem, nie sra do własnego gniazda, chyba że ma to na celu osiągnięcie jakiegoś dużego zysku wartego tego, aby ubrudzić się gównem - zakończył dobitnie kapitan.

Ambasador zacisnął wargi w grymasie niczym angielski lord i rzucił krótko:

- Jeżeli pan tak uważa, to trzeba działać.

Po chwili, w specjalnym pomieszczeniu antypodsluchowym, zebrał się sztab zwołany przez kapitana, złożony z sekretarza ambasady, szefa ochrony i sześciu żołnierzy wytypowanych przez Parkera. Po krótkiej analizie zdjęć wszystkich pracowników wojskowych ambasady kapitan wybrał Malcolma Smitha, który jako Mulat miał oliwkową karnację i przypominał nieco Rosjanina.

- Przynieś zapasowy mundur i załóż go rannemu znajdującemu się w sali zabiegowej. Przedtem bluzę i spodnie osmal — po instruuwał go kapitan. -Wszystko ma wyglądać, jak gdyby ten człowiek przeżył eksplozję gazu. Przynieś też swój paszport dyplomatyczny i dokumenty. Będziesz musiał opuścić Białoruś przez zieloną granicę z Ukrainą. Ty, Mark - zwrócił się ka-

pitan do sekretarza ambasady — chwilę po tym, gdy wywołam wybuch butli gazowej, zawiadomisz MSZ Białorusi o wypadku na terenie ambasady i poprosisz o wydanie zgody na lądowanie polskiego samolotu sanitarnego. Jednocześnie zwrócisz się do Polaków o pomoc. Powiesz, że to nasz człowiek od szyfrów, dlatego nie może być leczony w tutejszym szpitalu. Powiesz, że jest umierający. Jasne?

Sekretarz kiwnął potakująco głową, a kapitan zwrócił się jeszcze do szefa ochrony:

- Ty, Tom, zaraz po eksplozji zadzwonisz do straży pożarnej w Mińsku, żeby przysłali jednostkę, a następnie do MSZ i poinformujesz ich również o wybuchu butli. Musimy działać natychmiast. Za kwadrans będzie małe bum. O wszystkim wie my tylko my. Czy to jasne?

Mężczyźni potwierdzili i rozbiegli się po ambasadzie.

Tymczasem kapitan zszedł na dół. Przeszedł przez kuchnię, w której pracowało dwóch kucharzy, do małego pomieszczenia magazynowego. Wyjął z niego małą butlę gazową do podgrzewania posiłków. Odkręcił butlę, upewnił się, że jest pełna i skierował się na pierwsze piętro do niewielkiej, pustej o tej porze, jadalni, z której korzystali pracownicy pełniący służbę w nocy. Upewnił się, że nikogo nie ma. Zamknął na klucz pomieszczenie, aby nikt do niego nie wchodził. Wrócił do swojego pokoju i z małej pancерnej szafy w rogu wydobył kasetkę, którą otworzył kluczem. Jego oczom ukazała się masa przypominająca plastelinę. Był to materiał wybuchowy potocznie zwany plastikiem. Wyjął mały kawałek, wielkości palca dorosłego człowieka, a następnie wydobył z pudełka zapalnik. Zamknął kasetkę, następnie szafę i wyszedł z pokoju. Po chwili w pomieszczeniu antypodsłuchowym jeszcze raz zebrał się cały zespół.

- Panowie - oznajmił kapitan - zaczynamy za pięć minut. Po eksplozji przyjedzie straż i przedstawiciel MSZ Białorusi. Wpuściecie ich do jadalni, a następnie do sali zabiegowej. Tylko

pamiętajcie: Smith chciał podgrzać sobie szybko posiłek. Dajcie mi menażkę i gulasz - rozkazał i wrócił do niewielkiej jadalni. Wyjął zapalnik i plastik, który przymocował do butli. Położył ją przy oknie na krześle, a drewniany stół, stojący w jadalni, postawił w poprzek, tak by fala uderzeniowa uderzyła w blat. Ścisnął zapalnik i wyszedł na zewnątrz pomieszczenia. Zamknął drzwi i stanął za rogiem korytarza. Minęło 15 sekund, gdy eksplozja wstrząsnęła budynkiem. Z okien posypały się szyby. Stół odrzucony falą uderzeniową uderzył w zamknięte drzwi. Uruchomiła się instalacja przeciwpożarowa. Kapitan pochwycił gaśnicę, która zawieszona była w holu. Pomieszczenie było osmalone, okno wybite, a nadpalone elementy mebli porozrzucane wokół. Otworzył gaśnicę i dogasił płomień wydobywające się z małej butli.

Po niespełna 10 minutach przybyła białoruska straż pożarna i milicja. Zgodnie stwierdzono, że wypadek miał miejsce. Przybyli przedstawiciele MSZ Białorusi mogli na własne oczy ujrzeć zniszczenia i ciężko rannego, nieprzytomnego żołnierza brytyjskiego. Zaproponowali natychmiastową pomoc i przetransportowanie rannego do szpitala, lecz sekretarz ambasady podziękował im i poprosił o umożliwienie natychmiastowego przetransportowania rannego samolotem sanitarnym do Warszawy. Wkrótce wydano zgodę, karetka białoruskiego pogotowia przewiozła nieprzytomnego na lotnisko. Cały czas towarzyszył mu kapitan Parker i żołnierze ochrony. Służby lotniska potwierdziły jego tożsamość z paszportem, mimo że cała twarz była niemal całkowicie zabandażowana. Cały czas obecny był także lekarz ambasady. Po dwóch godzinach od wybuchu ranny znalazł się na pokładzie samolotu sanitarnego. Po następnych dwóch godzinach rozpoczęła się operacja w szpitalu MSWiA w Warszawie. Cały czas za drzwiami sali operacyjnej czekał kapitan Parker, aby jak najszybciej, gdy tylko będzie to możliwe, przetransportować rannego Rosjanin do Londynu.

Aleksander postanowił sprzedać w kantorze 200 dolarów. Za pozyskane pieniądze kupił drobne prezenty dla żony i dzieci oraz zrobił duże zakupy w sklepie mięsnym. Wszystko schował do bagażnika. Kiedy tylko wyjechał z Mińska i wjechał w las, zjechał w boczny dukt i po upewnieniu się, że nikt go nie obserwuje, otworzył bagażnik i wyrzucił pozostałości munduru wojskowego, skórę i koc w leśną gęstwinę. Wyjął środek, który dostał od pracownika ambasady, i spryskał nim bagażnik, do którego włożył mięso i zakupy. Wjechał na główną drogę i skierował się w stronę domu.

Był 100 kilometrów od domu, gdy zjechał znowu w leśną drogę, zapisał sobie numer przydrożnego słupka, wjechał 100 metrów od drogi w las, wyjął nóż. Oznaczył krzyżem rosłe drzewo, odliczył 50 kroków, wyjął słoik, do którego włożył pieniądze. Wykopał dołek na głębokość pół metra, następnie wsadził go i zakopał. Upewniwszy się, że nie jest obserwowany wrócił do samochodu i skierował się do domu.

Po przejechaniu 50 kilometrów zobaczył blokadę na drodze. Wszystkie samochody były poddawane drobiazgowej kontroli. Kiedy podjechał pod blokadę, otworzył okno i zapytał stojących milicjantów oraz żołnierzy:

- Co się dzieje?

Ci wzruszyli ramionami i przystąpili do rewizji jego samochodu. Po drodze minął jeszcze dwie blokady. Kiedy wjechał na podwórze, zobaczył wojskowych i milicjantów, przeszukujących jego stodołę i pomieszczenia jego sąsiadów. Kiedy zatrzymał się pod bramą, jeden z milicjantów z psem ruszył w jego stronę. Pies zaczął głośno ujadać, wrywając się w stronę bagażnika. Aleksander zrobił zdziwioną minę, ale milicjant odbezpieczył automat i krzyknął:

- Otwieraj bagażnik!

Aleksander posłusznie wykonał polecenie, a oczom milicjanta ukazały się zakupy oraz reklamówka z mięsem.

- Niezły ma węż. Wyniuchał słoninę - zaśmiał się milicjant. Błady jak ściana Aleksander odpowiedział przygłupim uśmiechem. Wiedział, że miał dużo szczęścia. Zapytał milicjanta:

- Kogo szukacie? Wszędzie pełno wojska, milicji. Trzy razy mnie już kontrolowali.

- Groźnego czeczeńskiego terrorysty — odparł milicjant i dodał: — Jakbyście widzieli dziwnego typu, który jest ranny, to natychmiast meldujecie. Jest niebezpieczny, chciał wysadzić rurociąg. Jest uzbrojony, może zrobić wam krzywdę.

Aleksander czuł jak pot spływa mu po plecach, nie wiedział, czy nocny gość mówił prawdę czy nie. Wiedział, że nigdy nikomu nie przyzna się, że mu pomógł.

## Rozdział XV

W poniedziałek o godzinie 11.00 Arek Zgoda przyjechał do S. Postanowił osobiście obejrzyć miejsce śmierci zięcia i córki Jagielskiego. Znalazł je bez trudu. Znajdowało się przy wyjeździe z S. w kierunku na Białą Podlaską. Na łuku dwupasmowej drogi zabezpieczonej z obu stron barierami. Na poboczu stał krzyż i znicze. Zgoda oczami wyobraźni widział to zdarzenie i wiedział, że żaden z pasażerów samochodu osobowego nie miał szans na przeżycie w wyniku zderzenia z potężną rozpędzoną ciężarówką.

Zawrócił autem, pojechał z powrotem do S. i wjechał do miasteczka. Stał pod sklepem spożywczym i zobaczył trzech miejscowych żuli, pijących piwo. Postanowił zaryzykować. Wsiadł i przyjaźnie uśmiechnął się do mężczyzn. Ci obrzucili go obojętnym spojrzeniem, pograżeni w spożywaniu trunku. Arek wszedł do sklepu, a po chwili wrócił z reklamówką, podszedł

do trzech tubylców, wyciągnął paczkę papierosów i podstawił pod nos pierwszemu z brzegu. Mężczyzna o twarzy z parodniowym zarostem i zaczerwienionymi oczami, widząc wyciągniętą rękę z papierosami, obejrzał przyjeźdnego od stóp do głów. Gwizdnął, po czym uśmiechnięty spojrzał na kolegów. Łapczywie chwycił papierosa.

- Święty Mikołaj czy co? - zachrypiał.

Reszta skwapliwie sięgnęła po papierosy, a Arek natychmiast podsunął im zapalniczkę i zaproponował:

- Pogadamy chwilę?

Mężczyźni popatrzyli na siebie, a pierwszy z obdarowanych zapytał:

- O czym szanowny pan chce rozmawiać?

- A o wypadku samochodowym, w którym zginął policjant wraz z żoną — wyjaśnił Arek.

Po tych słowach zniknął uśmiech z twarzy trzech pijaczków. Jeden z tubylców splunął pod nogi i powiedział groźnie:

- Ja kurwa z tobą krów nie pasalem. Pogadać to możesz sobie z przyszczatym Włodkiem — pozostali zarechotali tylko i jak na komendę wszyscy rozeszli się w różne strony. Arek spróbował jeszcze jednego fortelu, który zwykle działał na tego typu osobników.

- Dla tego - krzyknął - który zgodzi się pogadać, trzy butelczki czystej wódeczki, pociąg fajek i dwie stowy! Czekam przy samochodzie przez kwadrans!

Wsiadł do samochodu i włączył radio, rozłożył fotel do tyłu i spojrzał w lusterka, ale żaden z trzech mężczyzn się nie pojawił. Minęło 15 minut i Arek postanowił odjechać. Zapalił samochód i zaczął wykręcać. Wtedy zobaczył, że jeden z żuli wychyla się zza sąsiedniego budynku, dając mu ręką znaki. Arek wjechał pod budynek, odsunął szybę, a tubylec, kryjąc się za murem, zacharczał cicho:

- Jedź na cmentarz, wyjdź z samochodu, obejdz cmentarz na około. Z tyłu, sto metrów od cmentarza jest miejsce straceń

z II wojny światowej. Będę tam czekał za godzinę - zakończył i ruszył w przeciwną stronę.

Arek odjechał spod sklepu. Na pobliskim przystanku zapytał miejscową kobietę, jak dojechać na cmentarz. Po pół godzinie stał przed drewnianym krzyżem, pod którym znajdował się pamiątkowa tablica z inskrypcją informującą, że w czasie okupacji Niemcy dokonali w tym miejscu mordu na dwudziestu mieszkańcach podejrzewanych o współpracę z polskim podziemiem. Zgoda był człowiekiem religijnym, więc przeżegnał się i zmówił modlitwę za poległych. Kończył ją właśnie, gdy usłyszał szelest łamiących się gałęzi. Odwrócił się i zobaczył żuła spod sklepu.

- Jest pan sam? -zapytał menel.

- Nie, są ze mną trzy obiecane butelki - Arek pokazał reklamówkę tubylcowi.

Mężczyzna rozejrzał się wokół i ruszył w kierunku Arka, a po chwili zaciągał się łapczywie podarowanym papierosem.

- Czego pan i pana koledzy tak się boją? - zapytał Arek.

Mężczyzna spojrzał podejrzliwie na Arka i zapytał:

- A kim pan jest?

- Spokojnie, jestem dziennikarzem, nikt nie dowie się o naszej rozmowie - uspokoił Arek.

- Dałby pan łyka — poprosił mężczyzna drżącym głosem. Łapczywym wzrokiem zerkał na reklamówkę.

- Dam, tylko najpierw chciałbym zapytać o parę rzeczy. - Arek wyjął jedną z trzech butelek wódki, odkręcił nakrętkę i pokazał mężczyźnie. Kiedy ten wyciągnął rękę, detektyw cofnął butelkę.

- Proponuję następujący układ: pytanie, odpowiedź, łyk - powiedział.

- Proponuję łyk, pytanie, odpowiedź — odparł błagalnie żul co raz bardziej drżącym głosem.

- Dobra, zaryzykuję. - Arek podał mu butelkę. Żul przechylił flaszkę i pociągnął spory łyk. Zgoda odebrał mu ją i poczekał, aż dojdzie do siebie.

- Jak masz na imię? - zapytał Arek.
  - Irek jestem - odparł ochoczo mężczyzna.
  - No to kochany Irku, pytanie pierwsze: Co ludzie mówią na temat wypadku policjanta i jego żony?
- Żul zaciągnął się papierosem, skrzywił się i odparł dyplomatycznie:
- Ja tam nie wiem, ale ludzie mówią, że to nie był wypadek, lecz wyrok. Że ten policjant komuś podskoczył i musiał zginąć
  - wyjaśnił Irek.
  - Ale Irku, konkretna odpowiedź - powiedział Arek, wskazując na butelkę. - Komu podskoczył?
- Irek ponownie zlustrował teren naokoło i po upewnieniu się, że nikogo nie ma, zbliżył się do Arka i cichym głosem prawie że wyszeptał:
- Mówią, że Frystowi.
  - Frystowi? A co jeszcze o tym mówią? — dopytywał Arek, pokazując butelkę Irkowi. Ten chwilę zastanawiał się i po chwili wypalił:
  - Człowiek, któremu ukradli dzień wcześniej ciężarówkę, co to potem staranowała samochód policjanta, to mąż siostry ciotecznej niejakiego Tołdiego, goryla samego Frysta.
- Arek podsunął butelkę pod twarz żuła i ostrzegł:
- Tylko mniejsze łyki, bo mi zejdziesz i nie doniesiesz do domu butelek, które zaraz dostaniesz w prezencie.
- Żul wziął butelkę i pociągnął mniejszy łyk, po czym otarł usta i wykrzywił twarz:
- Edek Zajac, któremu ukradli ciężarówkę. No, jego kobita, to jak już mówiłem, siostra cioteczna Tołdiego, goryla Frysta. Parę lat temu zaczęli budować dom, ale brakło im kasy i od dwóch lat nie ruszyli palcem. A tu masz, od wypadku robota ruszyła. Na święta chyba się wprowadzą - powiedział Irek.
  - Czego mógł się dowiedzieć policjant? Co mówią ludziska w miasteczku? — dopytywał Zgoda.
  - Nie wiem. Mówią, że do czegoś się dogrzebał, to i musiał



zginąć. Ale nic więcej nie wiem - powiedział Irek, patrząc błagalnym wzrokiem na butelkę. Zgoda podał mu flaszkę i pogroził palcem. Irek napił się i ponownie skrzywił, zaciągając papierosem.

- A czy w ostatnim czasie ktoś może zniknął z S. lub jego oko lic? - zapytał Zgoda.

Irek zaczął zastanawiać się i po chwili, marszcząc czoło, odpowiedział:

- Wiem. Cztery miesiące temu zaginął Stefek Kępa, taki tam wdowiec. Wyszedł ponoć ubrany jak na wesele, w garnitur. Ludzie mówią, że miał zrobić jakiś interes i przepadł bez śladu. Córka mieszka w Białymstoku. Kiedy przyjechała go odwiedzić, dom pozamykany na cztery spusty tylko zastała. Mięso na obiad na stół wyciągnął, ziemniaki obrał i przepadł — wycedził poważnym głosem Irek.

- A wracając do Frysta, dlaczego go się tu tak wszyscy boją? - zapytał Arek.

- On trzęsie całą okolicą. Kilkanaście lat temu, tak ludziska mówią, porwał i zabił dziewczynę, córkę leśnika. Chłop zaczął skarżąc go. Mówią, że ktoś widział, jak Fryst z Tołdim wyrzucali zwłoki na bagnach. Ale zamiast Frysta, to leśnik trafił do pierdła, bo podobno zabił szwagra pijaka siekierą. Ale wszyscy mówią, że go wrobili. Panie, tutaj wszyscy ważni piją i goszczą się z Frystem. Od policji po sędziów. Nawet księdza ma w łapie - wyjaśnił Irek.

- No dobra Irku, masz obiecany alkohol, papierosy i 200 zł. Spotkamy się za tydzień w samo południe w tym samym miejscu. Dostaniesz następną porcję, tylko spróbuj dowiedzieć się czegoś więcej o Fryście oraz kto mógł jeszcze w ostatnim czasie zginąć w okolicy. I popytaj ludzi, czego mógł się dowiedzieć policjant, który zginął w wypadku - zakończył Arek, podając reklamówkę żulowi.

Po chwili jechał do domu zaginionego Stefana Kępy. Od sąsiadów wziął adres i telefon córki mieszkającej w Białymsto-

ku. Kiedy zadzwonił, odebrała kobieta w średnim wieku, Arek przedstawił się:

- Dzień dobry, nazywam się Arkadiusz Zgoda i jestem prywatnym detektywem. Prowadzę sprawę zaginięcia pewnej osoby z okolicy i przypadkiem dowiedziałem się, że pani ojciec również zagiął w niewyjaśnionych okolicznościach. Czy pani byłaby uprzejma się ze mną spotkać? - wyjaśnił Arek.

- A był pan na posterunku policji w S.? - zapytała kobieta.

- Nie. A według pani powinienem?

- To strata czasu. Niech pan przyjedzie do mnie, do Białegostoku. - Kobieta podyktowała Arkowi adres i umówiła się z nim za trzy godziny w swoim mieszkaniu. Arek podziękował i wykręcił numer telefonu do Jagielskiego. Upewnił się, że mężczyzna może swobodnie rozmawiać i zapytał:

- Czy pana zmarły zięć nie wspominał nic o dziwnych zniknięciach ludzi w S. i okolicach?

- Nie, nigdy nic mi nie mówił na ten temat - odpowiedział Jagielski. - Ale wie pan, przypomniałem sobie jeszcze jeden fakt. Zięć usilnie prosił mnie o skontaktowanie z moim kolegą z lat szkolnych, Franciszkiem Sobczykiem, który ma zakład fotograficzny w S. Rodzinna firma z tradycjami. Teraz prowadzi go jego syn Eryk.

- Nie wie pan, co zięć chciał od Sobczyka? - zapytał Arek.

- Nie, ale wie pan, że gdy kiedyś spotkałem się z nim przypadkowo, jakiś miesiąc przed wypadkiem w kwaciarni, to Franek uciekł na mój widok i nie chciał się nawet ze mną przywitać - odparł Jagielski.

- No to w takim razie zapytamy pana fotografa, czego tak się wystraszył - odparł Arek i pożegnał się.

Po dziesięciu minutach stał przed zakładem fotograficznym rodziny Sobczyków. Wyjął starą legitymację UOP, wszedł do zakładu, gdzie po chwili z zaplecza wyszedł człowiek lat około 60-ciu, o nienagannie zaczesanych do tyłu włosach, ubrany w koszulę i marynarkę. Zamiast krawata miał cha-

rakterystyczną muchę. Wyglądał, jakby przed chwilą opuścił eleganckie przyjęcie.

- Czym mogę panu służyć? - zapytał uprzejmie.

- Arkadiusz Zgoda, Urząd Ochrony Państwa - wyrecytował Arek i machnął legitymacją przed jego nosem.

Mężczyzna zbladł i wziął głęboki oddech.

- Czego pan sobie życzy? - ponowił pytanie.

- Jest pan sam? - zapytał Arek.

- Tak, syn wyjechał robić zdjęcia młodej parze w plenerze - wyjaśnił Sobczyk senior.

- Proszę zamknąć drzwi zakładu. Chciałbym zadać panu parę pytań. Możemy usiąść gdzieś spokojnie na zapleczu?

Sobczyk podszedł do drzwi i przekręcił klucz. Zaprosił Arka na zaplecze, gdzie znajdowały się dekoracje oraz sprzęt fotograficzny, a także niezliczone zdjęcia z całej historii zakładu Sobczyków. Arek uśmiechnął się uprzejmie, jednak odezwał się całkiem poważnym głosem:

- Nie chcę ciągać pana do Warszawy. Sprawa, którą prowadzę, jest bardzo delikatna, dlatego o naszej rozmowie nikt nie może się dowiedzieć. Rozumie pan? - zakończył Arek i rozpiął skórzaną kurtkę tak, aby rozmówca spostrzegł wystającą kaburę z pistoletem pod jego pachą. Sobczyk na widok broni zbladł jeszcze bardziej.

- Dobrze, o naszej rozmowie nikt się nie dowie - zapewnił.

Arek pokiwał głową, zbliżył się do Sobczyka, spojrzał mu głęboko w oczy i zapytał:

- Czego od pana i pana syna chciał zięć pana przyjaciela Witolda Jagielskiego, Tomasz, który dwa tygodnie temu został zamordowany wraz z żoną?

Sobczyk, siadając na krześle, zaczął rozglądać się nerwowo naokoło, jakby czegoś szukając. Po chwili ponownie wstał, podszedł do karafki z wodą, nalał sobie szklankę i począł łapczywie pić. Korzystając ze zdenerwowania gospodarza i jego chwili nieuwagi, Arek przymocował aparat podsłuchowy pod

blat stołu, przy którym siedzieli. Kiedy Sobczyk doszedł do siebie, odwrócił się i spojrzął na Arka:

- Nie wiem, o czym pan mówi. Świętej pamięci zięć mojego kolegi ostatni raz komunikował się ze mną w czasie robienia zdjęć z chrztu własnej córki. Później nie mieliśmy już kontaktu — odparł, wyraźnie odzyskując już pewność siebie.

Arek po mistrzowsku odegrał rozczarowanie:

- Widać miałem złe informacje. Przepraszam pana za najście. Do widzenia - zakończył i wyszedł z zakładu.

Po chwili siedział w samochodzie stojącym pod budynkiem. Założył słuchawki na uszy i przez uchylone okno skierował antenę, aby wylapać dźwięki dochodzące z pomieszczenia. Usłyszał kroki i zobaczył w lusterku, że Sobczyk wyszedł z zakładu i zapisał numer jego samochodu. Minęła może minuta, gdy Arek usłyszał w słuchawkach odgłos rozmowy. To senior prowadził rozmowę najprawdopodobniej z synem.

- Eryk, był tu jakiś tajniak z Warszawy. Z tego... jak oni się tam nazywają, UOP, albo jakoś tak. Wypytywał o tego policjanta Tomka. Wiedział, że był u nas... Tak, tak, niczego mu nie powiedziałem, spisałem numery rejestracyjne jego samochodu - wyjaśniał nerwowo senior. - Dobra, dobra, już jestem spokojny - zakończył rozmowę i najprawdopodobniej się rozłączył, bo rozmowa ucichła.

Arek wyłączył urządzenie podsłuchowe, wziął je do ręki i wyszedł z samochodu, kierując się z powrotem do zakładu fotograficznego. Na jego widok starszy jegomość wyraźnie się zdenerwował. Na czole fotografa Arek zauważył kropelki potu.

- Zapomniał pan czegoś?

Arek nie odpowiedział. Podeszedł do gospodarza i założył mu słuchawki na uszy, po czym włączył zarejestrowaną rozmowę. Mężczyzna zbladł jak ściana, a Arek postanowił kuć żelazo pęki gorące.

- Nie interesuje mnie pan i pana syn. Interesuje mnie to, czego chciał od pana ten zabity gliniarz. Wiemy o układach Frysta

w tym mieście i okolicach, dlatego sprawą zajmuje się Warszawa - kłamał bez zająknięcia Arek. Pana nazwisko nie padnie w tej sprawie. Wyjdę z tego pomieszczenia i już do niego nie wrócę, ale muszę wiedzieć, czego chciał ten chłopak.

Pan Franciszek poczerwieniał. Wiedział, że został przyłapany na kłamstwie. Zaczął nerwowo przebierać palcami rąk, po czym odezwał się cicho:

- Ale jak powiem panu, to zostawi pan nas w spokoju? I Fryst ani nikt inny się o tym nie dowie? - zapytał przerażonym głosem.

- Daję panu słowo - odparł Zgoda.

- Chciał zdjęcia i negatywy z corocznych polowań Hubertusa organizowanych przez Frysta w jego leśniczówce - wyszeptał Sobczyk senior.

- I dał mu je pan?

Starszy pan pokręcił przecząco głową:

- Nie, bałem się.

- Czy Fryst wiedział, że on był po te zdjęcia u pana? - zapytał Arek.

- Tak, po jakichś trzech dniach był u mnie z tymi swoimi bandytami - odparł przerażony Sobczyk.

- I co? Oddał pan mu te negatywy i zdjęcia?

- A pan na moim miejscu by nie oddał?

- Nic pan nie zostawił? - zapytał Arek z niedowierzaniem.

Starszy pan pokręcił przecząco głową.

- Kto był na tych zdjęciach? - zapytał Zgoda.

- Cała śmietanka z okolicy, a nawet politycy z Warszawy, goszczący często w telewizji, ale ja już o tym zapomniałem - powiedział zrezygnowanym głosem.

Arek podszedł od stolika i odpiął podsłuch. Wiedział, że Sobczyk nie kłamie.

- W porządku. O naszej rozmowie nikt się nie dowie. Niech pan się niczego nie obawia. Tylko również proszę o dyskrecję. Mnie tu nigdy nie było.

Po trzygodzinnej jeździe detektyw siedział w mieszkaniu Marianny, córki Stefana Kępy. Kobieta miała na oko 45 lat, mieszkała z mężem i dwójką dorosłych synów na jednym z białostockich osiedli w czteropiętrowym bloku. Po streszczeniu przez Arka prawdziwego powodu jego wizyty i prośbie zachowania tego w tajemnicy, pani Marianna zaczęła opowiadać:

- Jakies cztery miesiące temu zadzwonił do mnie ojciec. Był bardzo podniecony. Powiedział, że jakaś firma z Warszawy wykupuje działki, łąki, pola, lasy i zwrócili się do ojca z ofertą zakupu trzech hektarów łąk i nieużytków, które do niego należały. On tego już nie uprawiał od wielu lat. My też nie byliśmy zainteresowani, więc po naradzie postanowiliśmy wspólnie z ojcem, że to sprzeda. Ale dziadek jak to dziadek, zaczął się targować z tymi ludźmi. To była jakaś firma deweloperska z Warszawy. Po negocjacjach powiedzieli, że dają 15 tysięcy złotych za hektar, więc postanowiliśmy przyjąć ofertę. Dziadek stwierdził jednak nagle, że nie sprzeda tych trzech hektarów taniej niż 50 tysięcy za hektar - wyjaśniła kobieta.

- Arek gwizdnął ze zdumienia, a kobieta opowiadała dalej: - Dzień przed zaginięciem ojca dostaliśmy od niego telefon, że firma wyraziła na tę kwotę zgodę i że jutro nastąpi podpisanie aktu notarialnego.

- I co, doszło do tego? - zapytał Arek.

- Podobno tak. Byłam na policji zgłosić zaginięcie ojca. Po paru dniach dostałam telefon z wiadomością, że ojciec faktycznie podpisał akt notarialny, ale potem przepadł jak kamień w wodę — kobieta rozplakała się.

- Policja wymyśliła, że teść wziął tę kasę, odbiło mu i poszedł w długą zaszaleć - włączył się do rozmowy mąż pani Marianny.

- Ale to do ojca niepodobne - dodała Marianna. - W domu

czekał na niego przygotowany obiad, tak jakby miał zaraz wrócić. I jest jeszcze jedna dziwna sprawa. Ojciec, jak wychodził z domu, nie rozstawał się z telefonem komórkowym. Kiedy nie zadzwonił o umówionej godzinie, zaczęliśmy się niepokoić i dzwonić do niego. Telefon był wyłączony. Kiedy przyjechałam do domu, znalazłam komórkę przy drzwiach wyjściowych, na stopniach schodów.

- Może po prostu mu wypadł? - zapytał Arek.

- Dziadek jest niezwykle sprawnym i drobiazgowym człowiekiem - dodał zięć. - On nie wyszedłby z domu, nawet gdyby guzik od koszuli mu się odpiął.

- Czy państwo próbowali dowiedzieć się, co za firma kupiła tę ziemię?

- Tak - odparła energicznie pani Marianna. - Notariusz, pan Golonka, powiedział, że to firma deweloperska z Warszawy, ale zasłonił się tajemnicą. Twierdził tylko, że ojciec dostał gotówkę do rąk.

Arek pokiwał głową, podziękował za spotkanie i obiecał, że jak uzyska nowe informacje, od razu da znać.

## Rozdział XVI

Było poniedziałkowe późne popołudnie, gdy do jednej z warszawskich kawiarni mieszczących się na Starówce wszedł mężczyzna ubrany w szary prochowiec i kapelusz. Już z wewnątrz obejrzał się na ulicę, po czym ruszył w kierunku zaplecza.

- Szef, pan Ambroży, u siebie? - zapytał po drodze barmana. Barman potwierdził skinieniem głowy i nacisnął przycisk pod blatem baru. Przybysz otworzył boczne drzwi wiodące do biura. Po chwili witał się z Padowskim w przytulnym, małym gabinecie urządzonej w starym stylu, gdyż właściciel kawiarni,

przyjaciel dziennikarza śledczego, miał fioła na punkcie zbierania staroci, począwszy od mebli, a skończywszy na obrazach, porcelanie i białej broni. Na ścianach znajdowały się zabytkowe szable, bagnety i inne elementy uzbrojenia z poprzednich epok. Przybysz ogarnął wzrokiem pomieszczenie, zdjął kapelusz i płaszcz.

- Herbata czeka. — Padowski wskazał ręką na biurko z zabytkowymi filiżankami.

Przybysz, 40-letni uciekinier z Białorusi, był dziennikarzem. Po serii artykułów opisujących sytuację w kraju stał się dla białoruskich władz człowiekiem bardzo niewygodnym. Zaczęło się od kilkukrotnego przebicia opon w aucie, paru cegłach w okna, a skończyło na ostrym pobiciu. Borys, bo tak miał na imię ów dziennikarz, posiadał ogromną wiedzę na temat powiązań oligarchów białoruskich ze służbami specjalnymi i organizacjami kryminalnymi. Wiedział doskonale, co mu grozi, jeśli zostanie w kraju, uciekł więc na Ukrainę, a stamtąd przedostał się do Polski. Tu poznał Padowskiego, który pomógł uciekinierowi. Ten, w zamian za okazaną pomoc, odsłaniał chętnie kulisy tego, co działo się za wschodnią granicą Polski, publikując materiały pod przybranym imieniem i nazwiskiem. Po powitaniu Padowski przeszedł do rzeczy:

- Gość, o którym ci wspominałem, nazywa się Andrzej Fryst. Znasz takiego człowieka?

Przybysz zmarszczył czoło, po chwili namysłu pokiwał głową i odparł:

- Tak, to łącznik.

- Co znaczy łącznik? - Padowski był wyraźnie zdziwiony.

- Łącznik. Ma za zadanie łączyć Rosję z Unią za pomocą swoje go obywatelstwa i układów w waszym kraju - wyjaśnił Borys.

- Kiedy Rosja została objęta embargiem, tacy ludzie jak on zaczęli sprowadzać towary na Białoruś. Tam je przepakowują i sprzedają do Rosji. Rosja dostaje towary, których im brakuje, oficjalnie zakazując sprowadzania tego towaru. Ceny towarów



poszły o 100% w górę, a towarzysze dzielą się kasą. Ten gość jest mocno powiązany z człowiekiem z naszej bezpieki. Robi interesy z jego synem Igozem. Ale myślę, że za wszystkie sznurki pociągają towarzysze siedzący nieco dalej na wschodzie.

- A co za biznesy obstawiają? - dopytywał Padowski.

- Żywność. Mają ogromne paczkownie produktów spożywczych wysyłanych do Rosji. Słyszałem, że rocznie na czysto mogą zarabiać nawet pół miliarda dolarów. Mają ponadto firmę transportową, która ma 500 tirów. Baza znajduje się bo dajże blisko granicy z Rosją. Do tego jeszcze ogromne tartaki wywożące z Białorusi drzewo, które jest tańsze o 100% niż u was, w Unii Europejskiej - wyjaśnił.

- A obity ci się o uszy jakieś pogłoski o seksualnych aferach związanych z tym gościem lub jego otoczeniem? - zapytał Padowski.

- Seksualne? - zamyślił się Borys. - Wiesz, ten gość w ogóle nie rzuca się w oczy. Jeździ z ochroną. Mówią, że to komandosi, weterani Specnazu. Wszystko na Białorusi firmuje jego wspólnik — wyjaśnił Borys.

- Mógłbyś dowiedzieć się dla mnie, co Fryst i jego firma kombinuje teraz na Białorusi? - zapytał Padowski.

Borys pokiwał głową i odparł:

- Tak, ale muszę mieć na to co najmniej parę tygodni. Mój przyjaciel ostatnio przysłał mi informację przez waszego dyplomatę, że podsłuchują i szukają haków na wszystkich niezależnych dziennikarzy, aby oskarżyć ich o szpiegostwo na rzecz Polski lub krajów zachodnich.

Mężczyźni dopili herbatę i pożegnali się. Pierwszy wyszedł Borys. Padowski wyjął telefon na kartę i zadzwonił do Siarczyńskiego.

- Cześć, możemy jutro jechać do S. Mam parę pomysłów. - za proponował dziennikarz.

- Świetnie, bo mam namacalne dowody, że tego chłopca z leśniczówki wrobili w zabójstwo i tylko jakaś totalnie ślepa spr-

wiedliwość, od policji przez prokuraturę aż po sądy, mogła do tego dopuścić - powiedział z sarkazmem Siarczyński i dodał:

- Jutro w samo południe wyruszymy z Białegostoku. Weź trochę ciuchów, aparaturę do nagrywania. Zostaniemy tam parę dni. Dzwonię do Zgody i się umówię.

Po chwili Siarczyński, już korzystając ze swego oficjalnego telefonu, zadzwonił do detektywa.

- Mam ciekawe wiadomości - poinformował. - Umówiliśmy się z Witkiem, że jutro o 12.00 ruszamy spod twojego biura. Pojedziemy dwoma samochodami i zostaniemy tam parę dni, aby powęszyc.

- Właśnie też miałem dzwonić do ciebie. Mam parę informacji, które wiele nam wyjaśniają, ale to nie na telefon - odparł Zgoda i się pożegnał.

## Rozdział XVII

Poniedziałek, godzina 13.00, leśna rezydencja rodziny Frystów. Maksymilian, siedząc w przestronnym gabinecie, sączył whisky, oczekując przybycia ojca. Wiedział, że rozmowa nie będzie należała do przyjemnych. Wstał od stołu, gdy rozległo się pukanie i otworzyły się drzwi. Stał w nich Lucjan ubrany w nienaganny strój lokaja.

- Czy podać panu coś do jedzenia? Zrobiłem pana ulubioną sałatkę z łososiem i serem pleśniowym — zapytał.

- A daj - odparł zrezygnowanym głosem Maks.

- A właśnie. Przed godziną pracę skończyła ekipa serwisowa od monitoringu - oznajmił Lucjan.

- I co się stało? - dopytywał Maks.

- W nocy z soboty na niedzielę było pierwsze dłuższe wyłączenie prądu, ale z niedzieli na poniedziałek, a właściwie jeszcze w niedzielę, dokładnie o 23.50, bo nie spałem i rzuciłem okiem

na zegarek, znów wyłączyli prąd. Rano była ekipa z elektrowni. Pytali, czy coś się nie popaliło, bo jakieś przepięcie było w transformatorze - wyjaśnił Lucjan.

- No i co? Coś się stało? - zapytał Maks.

- Tak. Szlag trafił UPS i twardy dysk do nagrywania. Straty na jakieś cztery tysiące z robocizną, ale możemy ubiegać się o kasę z elektrowni. Przynajmniej tak mówili rano ci elektrycy. Teraz wszystko jest już OK - wyjaśnił Lucjan.

- U nas też były jaja w sobotę, mało chłopaka nie zabiło przy agregacie. Jak jebnęło, to tylko dym poszedł - powiedział Maks i dodał: - Tylko nic staremu nie mów, bo będzie musztrował nas jak psy.

- Jak pan radzi - odparł Lucjan i udał się do kuchni po przekąskę.

Ledwie Maks zaczął spożywać swoją ulubioną sałatkę, usłyszał odgłos nadjeżdżających samochodów. Spojrzał przez okno i zobaczył wjeżdżające na posesję dwa terenowe mercedesy na białoruskich rejestracjach. Z pierwszego z nich wysiadł ojciec z walizką w towarzystwie szefa ochrony, Dimitrija, pięćdziesięcioletniego weterana wojsk powietrzno-desantowych, mającego za sobą udział w wojnie w Afganistanie. Po chwili rozmowy Dimitrij pożegnał się z seniorem Frystem i wsiadł do samochodu. Oba mercedesy wyjechały z posesji.

W tym samym czasie Lucjan otwierał drzwi panu domu - Frystowi seniorowi. Ten wszedł do swojej posiadłości, przywitał z chłodną miną lokaja oraz syna i od razu przystąpił do wydawania rozkazów.

- Zadzwoń do swojego lokalu, niech tych sześciu ruskich baranów zakwaterują w najlepszych twoich apartamentach. Posiłki mają dawać im na życzenie. Aha, i picie też bez ograniczeń. Zadzwoń do agencji towarzyskiej i zamów im sześć najlepszych dup. Albo nie, sześć najlepszych zamów mi tutaj na środę na dwa dni. Ale tej swołoczy też zamów jakieś panienki. Do czwartku, za wszystko ja płacę - zarządził senior i zwrócił

się do Lucjana: - Co przygotowałeś do jedzenia?

- Pana ulubionego szczupaka w cieście, barszczyk czerwony z uszkami oraz steki wołowe.

- Wystarczy na razie szczupak i barszczyk. Zanieś mi do gabinetu i nie przeszkadzaj nam - rozkazał. - Idę wziąć prysznic na górę. Za pół godziny zejść zjeść. Ty obdzwoń i załatw wszystko jak należy — poinstruował jeszcze syna i udał się do łazienki na górze posesji.

Po pół godzinie Fryst senior zszedł na dół. Upewniwszy się, że lokaj przyniósł posiłki, zamknął na zasuwkę drzwi oddzielające pomieszczenia kuchni od reszty domu i udał się do gabinetu, gdzie Maks kończył rozmowę telefoniczną. Kiedy nastąpiła cisza, senior Fryst podszedł do baru, nalał sobie setkę czystej wódki wyborowej i wypił. Skrzywił się, nalał drugą porcję i ponownie opróżnił zawartość kieliszka. Ubrany w gruby szlafrok, odwrócił się w stronę syna, wskazał palcem w jego kierunku.

- Kto ci kurwa pozwolił wykończyć tego dziadka w taki sposób?! - wrzasnął.

- A co miałem zrobić? Udać, kurwa, że następny się zapił? On był abstynentem, od dwudziestu lat nie pił ani wody, ani na wet piwa - tłumaczył się chłopak.

- Wiesz, że trzeba było mu dołożyć! I tak się opłacało! - wrzeszczał senior.

- Ale ten chuj ze 150 000 podniósł cenę do 200 000. Jakbym się zgodził, to zażądałby 250 000. Nie rozumiesz, że on wiedział, że jest ostatnim na którym nam zależy? - próbował wyjaśnić ojcu Maksymilian.

- Dobra - senior machnął w końcu ręką. - Musimy przewidzieć ruchy naszych przeciwników i pomyśleć, kto może po krzyżować nasze plany - powiedział już spokojnie.

- Kogo masz na myśli? - zapytał Maks.

- Tego cymbała Narcyza - wyjaśnił senior Fryst.

- Ten cymbał nie jest tak głupi, jak nam się wydaje. Kiedy po-

nowiłem twoje żądanie zwrotu laptopa i twardego dysku tamtego gliniarza, odmówił i powiedział, że to jego gwarancja i że jakby mu się coś przytrafiło, to trafi to do prasy z jego kwitami na ciebie - wyjaśnił Maks.

Senior Fryst podszedł do okna. Przez zakratowane szyby przedzierały się promyki jesiennego słońca.

- W środę- oznajmił dobitnie Andrzej Fryst - mają pojawić się tu goście z Unii Europejskiej. Zamówisz najlepszy catering z Białegostoku. Kuchnia tylko polska. Jeżeli łykną przynętę, będzie to oznaczało, że rozpoczyna się gra i wtedy przyjmujemy ich z panienkami. Zmiękną ostatecznie i już się nam nie wywiną. A wtedy nasze 500 hektarów nieużytków zamieni się w 50 milionów złotych. W nasze pięćdziesiąt milionów.

- A twoi wschodni udziałowcy? - zapytał Maks.

- Jeżeli dojdzie do transakcji, całość tej sumy wpłynie na moje konto na Cyprze, a ja zrzeknę się udziałów we wszystkich spółkach na Białorusi.

- Ale po co? - junior nie krył zdumienia.

-A po to, abym raz na zawsze uwolnił się od tych mend i zaczął robić interesy na nasz własny rachunek - mówiąc to, wskazał palcem na plik dokumentów leżących na biurku. - To akty notarialne zakupu dwóch hoteli: jednego w Hiszpanii, drugiego na Kanarach, wartych razem 15 milionów euro w ramach rozliczeń między mną, a naszymi białoruskimi współnikami.

- Od kogo to kupiłeś? — zapytał Maks.

- Od podstawionych obywateli świata — zaśmiał się Andrzej.

- Dobra i co dalej?

- Jeżeli w środę pójdzie wszystko z planem, w czwartek wyjadę na Białoruś. Dimitrij z dwoma ludźmi zostanie. Zwabisz Narcyza pod jakimś pretekstem, tamci wywiozą go do opuszczonej fermy lisiej i poddadzą przesłuchaniu. Później odzyskaj laptop i dysk - wyjaśnił senior.

- A co z ciałem ? - zapytał junior.

- Z ciałem? Zmielą je w maszynie do mielenia kości i wyrzucą

do lasu, a tam lisy ze smakiem schrupią naszego skorumpowanego gliniarza.

- A jeśli znajda jakieś DNA? - zapytał Maks.

- Ferma od dziesięciu lat należy do podstawionej osoby, nikt nie będzie tam szukał, ale dla pewności wyślesz tam Tołdiego, aby osobiście rozbroił maszynę i rozrzucił ją po bagnie, jasne? - Junior pokiwał przytakująco głową. - Musimy odzyskać rzeczy, które mogą nas pogrążyć. Szukanie ciała w bagnie to jak szukanie dziewicy w burdelu. Pamiętaj! Musimy to zrobić. Ten gnój dostał 500 tysięcy. Jeżeli dowie się, ile zarobimy na transakcji, to będzie nas szantażował. Chcę na starość spokoju - powiedział twardo senior Fryst.

Maksymilian pokiwał głową i zrelacjonował jeszcze ostatnie wydarzenia w dyskotecze:

- W knajpie parę dni temu pojawił się chłopak, osiem lat siedział w pierdlu. Prosiłem, aby Borkowski sprawdził go po liniach papilarnych, ale nie pojawił się. Będzie w czwartek pretekst do spotkania.

- Co to za gość? - zapytał Andrzej.

-Twardziel, kumpel Godzilli. Przysłał do Tołdiego gryps z prośbą o pomoc - wyjaśnił Maks.

- Ufasz Tołdiemu? - zapytał senior.

Młody spojrział zdziwiony na ojca, który właśnie zasiadł za stołem i zaczął jeść.

- Nie rozumiem, co masz na myśli? - zapytał Maks.

- To, że człowiek, który wie o nas wszystko i który może kiedyś zrobić nam kuku, to właśnie Tołdi.

- Co proponujesz? - zapytał Maks.

- Jak pozbedziemy się Narcyza i zakończymy transakcję, trzeba będzie się pozbyć i Tołdiego. Najlepiej zaprosić go na Białoruś. Znam gości, co wypalają węgiel drzewny. Za 1000 dolarów zrobią tam nawet krematorium. Myślę, że wielu za nim nie będzie płakać - zakończył senior i nalał sobie kieliszek wódki.

Geodeta wraz z rudą dziewczyną cały czas rejestrowali rozmowy z leśnej posesji oligarchy. Ich treść była na tyle niepokojąca, że wymagała natychmiastowego przystąpienia do dalszych działań.

## Rozdział XVIII

Była godzina 17.00, kiedy w biurze Maksa pojawił się Krystian Borkowski. Zapukał, a kiedy usłyszał głos, wszedł. Za biurkiem młodego szefa siedział Lalus pochylony nad laptopem.

- Gdzie szef? - zapytał policjant.

- Nie twój interes. Miałeś być wczoraj - wycedził przez zaciśnięte zęby.

- Powiedz mu, że sprawdziłem tego gościa. Masz tu ksero jego życiorysu - powiedział, podając plik kartek.

Chłopak wziął kartki i położył na biurku.

- Schowaj to kurwa gdzieś, niech nie leży to na widoku - rozkazał Borkowski.

Chłopak odsunął szufladę i schował do niej dokumenty.

- Zadowolony? - warknął.

- Ty kurwa naprawdę jesteś tępy. Tak tępy, że żel na twoich włosach przygniół twój wątył mózg lub coś, co go przypominało! — wrzasnął policjant.

Chłopak wstał od stołu, szyderczo spojrział na Krystiana.

- Wiesz co? Przezywają cię Narcyz, ale jak trafisz do pierdła, to możesz zmienić płęć. Jesteś totalnie skorumpowanym gliną, jedzie od ciebie na kilometr sprzedawczykiem. Jakim cudem ta psiarnia, z którą robisz, nie czuje tego smrodu od ciebie?

Krystian podszedł do Lalusia i wymierzył mu cios pięścią w twarz. Mężczyzna jak rażony piorunem runął na fotel, przemieszczając się wraz z nim o dobry metr. Kiedy policjant

podbiegł, aby wymierzyć kolejny cios, znokautowany chłopak błyskawicznie wy dobył pistolet spod kurtki, odbezpieczył go i wycelował.

- Rusz się, a cię zajebę - warknął.

Policjant splunął na niego i z groźbą w głosie ostrzegł:

- Przysięgam, że cię zabiję.

Zaczął wycofywać się tyłem do drzwi. Kiedy wyszedł z pokoju, ruszył do wyjścia. Wiedział, że wkrótce będzie musiał stąd uciekać, gdyż zaraz stanie się zwierzyną łowną. Nie wiedział, że nastąpi to szybciej, niż myślał.

Wsiadł do Audi i z piskiem opon wyjechał spod dyskoteki. Skierował się w stronę domu. Chciał spokojnie przemyśleć swoją sytuację i ochłonąć. Kiedy przejeżdżał przez miasteczko, zobaczył przed sobą na drodze zepsutego Fiata Seicento i młodą, ładną dziewczynę, którą widział ostatnio bawiącą się w dyskotecę. Atrakcyjna laska, ubrana w miniówkę, kusiła zgrabnymi nogami. Krystian za bardzo lubił kobiety, by przepuścić taką okazję. Zatrzymał swój samochód tuż za zepsutym Fiatem i kątem oka zauważył, że tylne lewe koło ma kapcia. Dziewczyna ruszyła do Krystiana.

- Przepraszam, pomoże mi pan? Nie mogę poluzować śrub, chyba się zapiekły - poprosiła błagalnym głosem.

- A na kawę zostanę zaproszony? - zapytał policjant.

- Jasne! Nawet dzisiaj wieczorem - odparła z uśmiechem.

Krystian właśnie brał się za pierwszą śrubę, kiedy na sąsiednim pasie przystanął bagażowy Mercedes.

- Spadajcie, pani już ma pomoc - rzucił w kierunku kierowcy. Dziewczyna pochyliła się nad nim, chcąc mu pomóc. Krystian już chciał jej wydać polecenie, aby rozstawiła trójkąt ostrzegawczy, gdy jego ciało poraził prąd. Runął jak sparaliżowany, a po chwili został wciągnięty do Mercedesa. W środku znajdowało się trzech roślących mężczyzn w kominiarkach.

Ocknął się po jakimś czasie. Był w małej piwnicy, okna były zasłonięte, ręce miał skute z tyłu, a usta zakneblowane



szmatą. Leżał tak już dobrych parę minut, gdy do pomieszczenia weszło trzech zamaskowanych mężczyzn. Popatrzyli na Krystiana, wybuchnęli śmiechem i zaczęli wymieniać uwagi po rosyjsku. W pewnym momencie do piwnicy wszedł czwarty mężczyzna, a reszta zamilkła. Wyjął strzykawkę i wbił ją w rękę chłopaka a po chwili zapytał czystą ruszczyzną:

- Gdzie jest laptop i twardy dysk komputera?

Po zastrzyku Krystian poczuł się, jakby był pijany. Świat zaczął falować mu przed oczyma. Ponownie usłyszał pytanie, ale w resztkę świadomości miał zakodowane, że nie może na nie udzielić odpowiedzi. Po chwili trzech mężczyzn pochwycili ciało Krystiana i położyli na grubej, szerokiej desce. Nogi podnieśli do góry, głowa znajdowała się w dole. Dowódca wyjął knebel z ust Krystiana, położył mokrą szmatę na twarz policjanta i zaczął wolno polewać wodą z wiadra. Wkrótce policjant zaczął się dusić, woda wypełniała jego usta i nozdrza. Po minucie zaczęło mu się wydawać, że zupełnie traci świadomość. Chciał krzyczeć, ale nie mógł. Zaczął się dławić, wydawało mu się, że koszmar nigdy się nie skończy, gdy w pewnej chwili napastnicy znowu posadzili go na krześle, a dowódca ponowił po rosyjsku pytanie:

- Gdzie ukryłeś laptopa i twardy dysk? - Wstrzyknął Krystianowi kolejną dawkę narkotyku.

Chłopak poczuł kolejny przypływ ciepła. „Nie utopili mnie, jeszcze żyję” pomyślał. Nagle jeden z napastników wsadził drewniany trójkąt do jamy ustnej Krystiana. Następny wyjął pilnik i zaczął piłować zęby policjanta. Ból był nie do zniesienia. Krystianowi wydawało się, że jego czaszka przy każdym ruchu pilnika rozpada się na kawałki. Po kolejnym ruchu zaczął dawać znaki głową, błagając niemo, by przerwali. Rosjanin przerwał, wyjął trójkąt, a wtedy ofiara zaczęła prosić:

- Zabijcie mnie, tylko nie róbcie mi tego.

Dowódca dał znak i kawał drewna znów znalazł się w ustach Krystiana. Po kolejnych paru ruchach pilnika chło-

pak z bólu zmoczył się, ale nie zrobiło to wrażenia na torturujących go mężczyznach. Wydawało mu się, że jego szczęka i głowa za chwilę rozsypią się w drobny mak. Ból był nie do zniesienia. Krystian wiedział, że nie wytrzyma. Zaczął dawać znaki głową, a po chwili tortury ustały. Policjant łąpczywie łapał powietrze, plując krwią. Dowódca pochylił się nad nim i zapytał:

- Gdzie? Tylko jak nas okłamiesz, będę piłował ci zęby przez dobę, dopóki z bólu nie zdechniesz na zawał.

Dowódca podniósł pilnik bliżej twarzy Krystiana, aby pomóc mu w podjęciu decyzji.

- Jest ukryty u mojej chrzestnej, w budynku gospodarczym, na strychu. Klucz mam w kieszeni przy sobie.

Wyrecytował, niczym wiersz w szkole, dokładny adres oraz miejsce ukrycia laptopa i twardego dysku. Wkrótce przywódca wykonał jeszcze jeden zastrzyk, który u torturowanego miał spowodować sen do rana.

\*\*\*

Krystian usłyszał odgłos pukania w szybę. Odwrócił się i poczuł straszny ból głowy i szczęki. W pierwszej chwili nie mógł uwierzyć, że żyje, ale siedział przecież właśnie w swoim Audi za kierownicą. Dotknął twarzy. A więc nie był to zły sen. Obolałe zęby, opuchnięty język i warga były dowodem, że nocny koszmar był prawdą. Z letargu wyrwało go kolejne natarczywe walenie ręką w boczną szybę. Spojrzał i ujrzał policjanta BSW, Mirka Kubika, człowieka, który przesłuchiwał go już trzykrotnie w związku ze śmiertelnym wypadkiem jego partnera. Krystian otworzył drzwi.

- Wyłaż, mamy nakaz prokuratorski na przeszukanie u twojej chrzestnej. Cieszę się, że zastaliśmy cię tutaj. Co za zbieg okoliczności - powiedział z sarkazmem Kubik i dodał: - Oddaj broń i bez numerów.

Krystian wyszedł z samochodu, zakręciło mu się w głowie i runął jak długi pod nogi policjanta.

- Panowie zobaczcie jego głębę, ktoś go obił - wykrzyknął Kubik.

Policjanci odebrali Krystianowi pistolet.

- Co ci się stało? — zapytał jeden z nich.

- Nie wiem — odpowiedział Krystian, bo tak naprawdę nie wiedział nawet dlaczego jeszcze żyje. Przecież wydał miejsce ukrycia rzeczy, które były gwarantem jego nietykalności.

Po chwili szedł razem z BSW do domu ciotki. Właściciele zabudowań zapoznali się z pisemnym nakazem prokuratora o przeszukaniu posesji.

- Proszę pani — zwrócił się Kubik do chrzestnej Borkowskiego. - Dostaliśmy dzisiaj w nocy anonimowy telefon, że w pani gospodarstwie pani chrześniak schował jakieś rzeczy. Niech pani się dobrze zastanowi, zanim pani coś powie. Jeżeli nas pani okłamie, grozi pani odpowiedzialność karna.

Kobieta spojrzała na skutego chrześniaka, pokiwała przytakująco głową i odpowiedziała:

- Tak, na strychu w komórce gospodarczej za stodołą coś zamykał, ale zabronił nam tam wchodzić i zabrał klucz od komórki.

Wkrótce wszyscy ruszyli w stronę zabudowań gospodarczych. Przed stodołą zauważyli psa, który spał w najlepsze. Był wczesny, mglisty poranek, gospodarze więc nie zwrócili uwagi na brak czworonoga. Policjanci podeszli do komórki, w której na strychu Krystian schował laptopa i dysk. Była otwarta. Borkowski wiedział, czyja to sprawka.

- Ktoś nas uprzedził. Nie wiesz przyjacielu kto? - zapytał Kubik, ale Borkowski uśmiechnął się tylko głupio i powiedział:

- Tam było trochę starego sprzętu RTV, nic więcej. Jeżeli ma cie dowody, to mnie zamknijcie.

Kubik zabrał jego oraz właścicieli posesji na komendę w Białymstoku, aby dokonać przesłuchań i konfrontacji. Ale cały ten trud poszedł na marne.

- Przecież jeżeli ci bandyci mają laptopa i dysk twardy z komputera Tomka, nie będą mieli skrupułów, aby cię zabić - przekonywał Kubik.

- Jeżeli masz jakieś dowody, że to ja ukradłem laptop i twardego dysk, to mnie zamknij. Jak nie, to możesz mnie pocałować w dupę - warknął przez obolałe wargi Borkowski.

Kubik wiedział, że musi go wypuścić. Zwołał odprawę podległych mu policjantów.

- Panowie, musimy założyć temu gnojowi ogon i śledzić każdy jego krok - powiedział, gdy nagle w drzwiach pojawił się jego zwierzchnik.

- Przepraszam, musisz natychmiast porozmawiać z kimś

w moim gabinecie. Wypuść tego gościa i żadnego śledzenia - rozkazał.

Zdziwiony Kubik wszedł do gabinetu zwierzchnika. Siedział tam geodeta pracujący w S. Pokazał legitymację i powiedział wprost:

- Niech pan nam nie przeszkadza. Ten człowiek zaraz zacznie popełniać błędy i musi doprowadzić nas do swoich mocodawców, a na nich, niech pan się nie obrazi, jesteście za słabi. To, co pan usłyszał, musi pozostać między nami. Zanim pan go wypuści, niech pan da jego telefon, zegarek i pasek do spodni. Kiedy nasi ludzie oddadzą panu te rzeczy, wypuści go pan. I żadnego śledzenia. Czy to jasne? - zapytał geodeta.

Kubik pokiwał głową. Przeczuwał, że sprawa może być bardziej skomplikowana niż mu się wydawało. Po godzinie oddawał rzeczy Borkowskiemu, który spoglądał na niego z ironicznym uśmiechem.

- Nie ciesz się tak. Jesteś zawieszony do czasu wyjaśnienia sprawy, spluwa zostaje u nas - stwierdził Kubik. - Masz wysoko postawionych przyjaciół, ktoś z samej góry z Warszawy interweniował w twojej sprawie - blefował.

Borkowski schował telefon, pasek i rzucił:

- Gdybyś był atrakcyjną dupą, to powiedziałbym, że możesz mi obciągnąć, a że jesteś tylko tym, kim jesteś, to powiem ci tylko, że możesz pocałować mnie w dupę - rzucił ironicznie Krystian.

Kubik zagryzł wargi, puścił obelgę mimo uszu i odparł:

- Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. Jeszcze się spotkamy. No, chyba, że twoi przyjaciele pomogli ci dzisiaj wyjść na wolność tylko po to, abyś mógł popełnić samobójstwo. To modne ostatnio. Wypierdalaj śmieciu!

Z twarzy Krystiana zniknął uśmiech. Wiedział, że policjant z BSW mógł mieć rację, ale on w głowie miał już inny plan. Plan rezerwowo przygotowany przez niego w chwili, gdy na swojego partnera zaakceptował wyrok śmierci.

## Rozdział XIX

Był wtorek, godzina 11.00. Andrzej Fryst właśnie skończył śniadanie, kiedy przed bramą pojawił się Mercedes klasy S z dyplomatyczną rejestracją. Lucjan, zgodnie z wcześniejszymi instrukcjami, otworzył automatyczną bramę, a następnie bramę garażu znajdującego się w posiadłości. Samochód wjechał do środka. Brama garażowa się zamknęła. Drzwi łączące garaż z rezydencją otworzyły się i stanął w nich senior Fryst. Z tylnych drzwi Mercedesa wysiadł mężczyzna, lat około 50-ciu, ubrany w elegancki czarny garnitur. Miał wygląd wypielęgowanego, rasowego dyplomaty. Wyciągnął rękę na przywitanie, po czym odwrócił się do kierowcy z poleceniem otwarcia bagażnika. Oczom dyplomaty i Frysta ukazało się sześć jednakowych, skórzanych walizek. Przyjezdny zapytał dobrą polszczyzną ze wschodnim akcentem:

— Pomoże mi pan?

- Naturalnie - odparł Fryst. Sam je wczoraj zamykałem.

Po chwili sześć walizek leżało w gabinecie seniora Frysta. Gospodarz odwracał kolejno walizki, wprowadzał szyfr i otwierał je. Gdy skończył sprawdzać zawartość każdej, stwierdził:

- W porządku. Wszystko tak, jak miało być.

Przybysz wyciągnął rękę na pożegnanie.

- To świetnie. Mam przekazać, że pan Filip M. z gośćmi zjawi się jutro około 14.00. W razie komplikacji z ich strony proszą o wyznaczenie następnego spotkania pojutrze — zakończył i wyszedł.

Całość rozmowy została podsłuchana i zarejestrowana przez geodetów. Ich szef po powrocie z Białegostoku miał się zapoznać z treścią nagrania.

Nagrano również urywki rozmowy seniora Frysta z Dimitrijem.

- Wytrzeźwiałeś? - zapytał.

- Tak, a chłopcy dochodzą do siebie - odparł szef ochrony.

- To dobrze! Dostałem przesyłkę, więc jeżeli coś by się działo, macie być gotowi. Jasne? - wydał polecenie Fryst.

- Jasne - odparł Dimitrij.

\*\*\*

W tym samym czasie, w Białymstoku, w biurze Zgody trzej przyjaciele dzielili się zgromadzoną dotychczas wiedzą. Po wiadomościach, przedstawionych przez Zgodę i Padowskiego, głos zabrał Siarczyński, który przez cały ten czas uśmiechał się tajemniczo i gładził po nieogolonych policzkach, popijając kawę, zaserwowaną im przez detektywa.

- Specjalnie pozwoliłem się wam wyszczekać. To wszystko, co ustaliliście pokrywa się z tym, czego się dowiedziałem, ale i tak to ja mam największego hiciora - oznajmił Siarczyński triumfalnie.

- No to nie pitol przyjacielu, tylko mów - poprosił Zgoda.

- Otóż, źle powiedziałem. Nie hit, a trzy hity - sprostował

Jacek i nie chcąc narazić się na kąśliwe uwagi przyjaciół, kontynuował: - Hit pierwszy: główny świadek, który widział leśniczego zabijającego własnego szwagra, pół roku wcześniej został złapany przez miejscowych policjantów podczas włamaniu do domu Frystów, kiedy ci byli na wakacjach. Za zgodą pokrzywdzonego poddał się dobrowolnie karze i sąd zgodził się na zaproponowany przez niego wyrok w zawiasach. Może nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że owego oskarżonego reprezentował adwokat z kancelarii, która od lat reprezentuje samego Frysta.

- Nieźle - powiedział Padowski i gwizdnął z wrażenia.

- Hit drugi: sędzia Sądu Okręgowego, niejaki Henryk Golonka, który orzekł w sprawie zabójstwa szwagra leśnika, to serdeczny przyjaciel Andrzeja Frysta. Razem polują od dwudziestu lat w jednym kole łowieckim - referował Siarczyński.

- Ja pierdolę, to dlatego fotograf musiał oddać zdjęcia i negatywy z popijaw w leśniczówce! - skomentował Zgoda i zapytał:

- Jak nazywał się ten sędzia?

- Henryk Golonka — powtórzył Siarczyński.

- Wiecie, jak nazywa się notariusz sporządzający akt sprzedaży trzech hektarów ziemi pana Kępy? - powiedział Zgoda.

W biurze detektywa nastąpiła cisza. Padowski przemówił:

- Strzele! Golonka? - zapytał.

- Oskar Golonka — powiedział Zgoda.

- I niech zgadnę, na pewno poluje - powiedział Siarczyński.

- Zobaczymy. A trzeci hit?

- Trzeci hit to ludzie, którzy w ciągu 15 lat zaginęli w S. i okolicach - odpowiedział Siarczyński. - Są dwie dziewczyny w wieku 19 i 20 lat, które nigdy się nie znalazły. Jedna zaginęła dwa lata przed córką leśnika, druga dokładnie miesiąc. Obie mieszkały w małych miejscowościach i jedna do pracy, a druga na studia dojeżdżały PKS-em. Ale najważniejsze jest to, co twierdzili ludzie przesłuchiwani przez policję. Otóż, panowie, wszyscy widzieli kręcącego się po okolicy w czarnym samocho-

dzie terenowym mężczyzną lat około 40-tu, z długimi włosami.

- Czy Fryst przewijał się gdzieś w materiałach? — zapytał Padowski.
- Nie, nigdzie nie był przesłuchiwany ani typowany - odpowiedział Siarczyński.
- To dlaczego podejrzewasz, że to on? Może to ten jego goryl? - zapytał Zgoda.

Siarczyński wyjął skserowane zdjęcia Frysta z jakiejś popijawy sprzed kilkunastu lat. Dorzucił jeszcze aktualne fotki z oficjalnej uroczystości, gdzie senior był darczyńcą. Padowski i Zgoda patrzyli na zdjęcia i gwizdnęli z wrażenia.

- To ten sam gość? — zapytał Zgoda.
- W rzeczy samej. Ponoć włosy obciął jakieś dziesięć lat temu - oznajmił Siarczyński i dodał z naciskiem: - Ale to nie koniec. Wynotowałem ostatnie zaginięcia w S. i okolicach. Są trzy, w tym pan Kępa. Ale jest coś jeszcze bardziej dziwnego. Koledzy spojrzeli na niego pytająco.
- Duża ilość, w przeciągu roku, zgonów spowodowanych zatruciem alkoholem metylowym - oznajmił tajemniczo, wyciągnął zapiski i wyrecytował: - Waldemar Łoś, 6 miesięcy temu, 62 lata, mieszkaniec sąsiedniej wsi K. Włodzimierz Durczok, 57, rolnik ze wsi K. I najbardziej dziwny przypadek: Kazimiera i Zdzisław Gałczewcy, emerytowani nauczyciele z S., znalezieni przez syna we własnym domu. Świętej pamięci pan Zdzisław Gałczewski pochodził z miejscowości K. Jego syn zarzekał się, że rodzice byli abstynentami. Nigdy, nawet na rodzinnych imprezach, nie spożywali alkoholu.
- Nieźle - skomentował Zgoda i zapytał: - A co na to policja wS.?
- Komendant, zastępca i cały komisariat chla parę razy w roku z Frystem. Wszystkie remizy w piątek i sobotę w okolicy 50 kilometrów musiały zaprzestać organizacji zabaw i dyskotek. Ponoć osobiście przekonywał ich do tego goryl Frysta, niejaki Toldi.



- Czyli mamy prywatne miasteczko rodziny Frystów - powiedział Padowski.
- Obawiam się, że to gówno rozlało się poza S. - powiedział Siarczyński.
- Poczekajcie, coś sprawdzę — powiedział Padowski. Odpalił laptopa i po paru chwilach wybierał numer telefonu znalezionej na jednej ze stron internetowych.
- Przepraszam, czy mógłbym rozmawiać z panem notariuszem Oskarem Golonką? - zapytał uprzejmie Padowski i przełączył telefon na głośnomówiący. Po chwili usłyszeli głos mężczyzny lat około sześćdziesięciu:
- Tak? Tu Golonka.
- Dzień dobry, moje nazwisko nie powie panu nic. Nazywam się Kacper Białas i mam zamiar nabyć działkę w S. o wartości miliona złotych. Czy dysponuje pan czasem jutro? W celu omówienia kosztów aktu - kłamał jak z nut Padowski. - Polecił mi pana mecenas Czerwiec z Białegostoku.
- To świetnie. Cieszę się, że pan mecenas pamięta o mnie. Spojrzę tylko w kajet - odpowiedział ucieszony notariusz.
- Czy jutro między 14.00 a 15.00 dysponuje pan czasem? - zapytał po chwili notariusz. Padowski udał, że sprawdza swoje zapiski.
- Przesunę jedno spotkanie i zdążę dojechać do pana — odparł.
- To świetnie - powiedział notariusz.
- A przepraszam, bo dopiero teraz skojarzyłem nazwisko. Czy pan sędzia Henryk Golonka, to jakaś szanownego pana rodzina? - zapytał Padowski.
- To mój rodzony brat - odparł dumnie notariusz.
- Mój wuj jest sędzią, więc skojarzyłem nazwisko - łgał Padowski.
- To do jutra - pożegnał się i wyłączył. - Jakies pytania panowie? - zapytał kolegów Padowski.
- O kurwa! Niezłe towarzystwo, ciekawe czy proboszcz poluje?

- Stawiam czarnego Johny Walkera, że tak - odparł Siarczyński.

- Mam propozycję. Weźmy w razie czego kamizelki kuloodporne — powiedział Zgoda i otworzył szafkę.

- I może parę magazynków więcej - dorzucił Siarczyński.

Po trzech godzinach jazdy znaleźli się w S. Postanowili, że Padowski uda się do kierowcy skradzionej ciężarówki i jako dziennikarz będzie próbował namówić go na rozmowę. Siarczyński ze Zgodą będą obserwować budynek w pobliżu i czekać na reakcję Zająca.

- Dzień dobry - przedstawił się Padowski kobiecie, która otworzyła drzwi. Mogła mieć z 40 lat, nie więcej. - Szukam pana Zająca.

Kobieta badawczo zlustrowała przybysza od stóp do głów i zapytała:

- A czego pan chce?

- Chcę porozmawiać o pewnej sprawie — odparł Padowski.

- Chwileczkę, przed chwilą wrócił z pracy - odparła i zamknęła drzwi.

Po chwili drzwi znowu się uchyliły i ukazał się w nich łysiejący mężczyzna w średnim wieku, z widocznym brzuchem, średniego wzrostu, ubrany w poplamioną podkoszulkę.

- Czego? - zapytał groźnie.

- Dzień dobry, jestem dziennikarzem śledczym. Chciałbym z panem porozmawiać na temat skradzionej ciężarówki, którą spowodowano wypadek, w którym zginął policjant wraz z żoną - poinformował Padowski.

Mężczyzna poczerwieniał i wykrzyknął wychodząc przed dom:

- Wypierdalaj! Wszystko powiedziałem na policji!

- A to, że pana żona jest spokrewniona z ochroniarzem pana Frysta, niejakim Tołdim, też jest w protokole? - zapytał Padowski i przyjął postawę obronną.

Mężczyzna po tych słowach cofnął się do sieni, wyciągnął szpadel i ruszył w kierunku dziennikarza. Ten błyskawicznie wyciągnął pistolet i krzyknął:

—Jeżeli mnie pan zaatakuję, będę musiał się bronić. Całość jest nagrywana przez kamerę, którą mam w klapie kieszeni kurtki - powiedział szybko.

Zając stanął. Wiedział, że z pistoletem nie ma żartów.

—Wypierdalaj pismaku albo znajdę cię tam, gdzie mieszkasz!

—A czy o budowie własnego domu również wspomniał pan pod czas przesłuchania przez policję?

Mężczyzna jeszcze bardziej poczerwieniał, wycofał się do domu i na pożegnanie pogroził Padowskiemu, zamykając drzwi.

—Wypierdalaj i nie wracaj tu, bo nie ręczę za siebie.

Padowski wsiadł do samochodu i ruszył spod domu.

Po raptem 10 minutach z zabudowań Zająca wyjechała stara, srebrna Toyota i skierowała się w stronę centrum S. Zgoda z Siarczyńskim ruszyli jej śladem. Trzymali się za nią w odległości 100 metrów. Po dziesięciu minutach auto skręciło na teren dyskoteki „Klepisko”. Zziąjany Zając wyskoczył z samochodu i wszedł do zabudowań. Arek postanowił wjechać na teren dyskoteki. Wraz z Siarczyńskim weszli do budynku śladem śledzonego mężczyzny. Zobaczyli korytarz i schody prowadzące na górę. Postanowili sprawdzić pomieszczenia na dole. Na wypadek spotkania z jakimś pracownikiem Arek uzbroił się w ofertę sprzedaży systemów alarmowych i monitoringu, które niekiedy polecał klientom, a które mogły wytłumaczyć ich obecność w budynku w razie nakrycia. Po sprawdzeniu paru pomieszczeń, które okazały się magazynami dyskoteki, trafili w końcu na dwie dziewczyny, myjące właśnie jakieś garnki i naczynia.

—Przepraszam, drogie panie, gdzie znajdziemy szefa ochrony tego klubu? - zapytał uprzejmie Zgoda.

Jedna z dziewczyn wskazała drogę na piętro i wytłumaczyła, w które drzwi należy zapukać. Po minucie Arek z Jackiem

stali przed drzwiami gabinetu Tołdiego. Ze środka dochodziły odgłosy awantury, a raczej monologu. Jakiś mężczyzna wydzierał się na całe gardło. Goście nie musieli przykładać ucha do drzwi, aby słyszeć całą awanturę.

- Wypierdalaj stąd - wrzeszczał człowiek o donośnym, wściekłym głosie — i nigdy do mnie nie przyjeżdżaj! Wszystko jest załatwione, nic a nic ci nie grozi. Tylko mordą w kubek - zakończył i otworzył drzwi, w których ukazał się Zajac, wyglądający jakby przeszedł ciężką chorobę.

Na widok nieznanymi mężczyzn Zajac ruszył szybko na dół. Tołdi stanął w drzwiach i zapytał:

- A panowie do kogo? - zapewne domyślał się, że goście usłyszeli część rozmowy.

- Dziewczyna sprzątająca na dole wskazała pana jako osobę decyzyjną w sprawach ochrony i bezpieczeństwa - powiedział uprzejmie Arek, wyciągając gotową ofertę na systemy alarmowe i monitorowanie. — Czy mógłby pan zapoznać się z naszą ofertą?

Tołdi wziął teczkę, otworzył i rzucił okiem. Po chwili obojętnym głosem oznajmił, oddając teczkę:

- Dzięki, ale mam sprawdzoną firmę. Są na telefon, nie potrzebuję zmian.

Arek odebrał teczkę i podziękował, po czym obaj z Siarczyńskim udali się na dół. Kiedy wyszli na zewnątrz, Toyoty Zajaca nie było już na placu.

- Nieźle pokicał pan Zajac - zaśmiał się Siarczyński.

- Nieźle jest zesrany. Pierwsza wizyta i strzał w dziesiątkę. Kto następny? - zapytał Zgoda.

- Notariusz jutro, a dzisiaj proponuję Czesława Galczewskiego, syna świętej pamięci nauczycieli — zaproponował Siarczyński.

Po piętnastu minutach spotkali się z Padowskim, który po wysłuchaniu relacji z podsłuchanej rozmowy pokiwał z niedowierzaniem głową.

- Gdyby ktoś opowiedział mi tę historię, powiedziałbym, że wszystko jest zbyt piękne, aby było prawdziwe. Ale teraz uważam, że jest coś, co łączy te wszystkie, dziwne zgony — powiedział.

- Ciekawe, czy masz na myśli to, co ja? - zapytał Siarczyński.

- Mam na myśli firmę deweloperską z Warszawy i tajemniczy zakup trzech hektarów ziemi od świętej pamięci pana Kępy.

- Dlaczego powiedziałeś świętej pamięci? - zapytał Zgoda.

- Bo nie sądzę, abyśmy pana Kępę znaleźli żywego - odparł Padowski.

- Pytanie, czy tragicznie zatruci alkoholem metylowym mieli pecha być właścicielami gruntów, których nie chcieli sprzedać, lub żądali zbyt wiele kasy. Jedziemy do syna małżeństwa Gałczewskich.

Po pół godzinie siedzieli w małym pokoju domu jednorodzinnego Czesława Gałczewskiego. Widać, że mężczyzna nie pogodził się jeszcze ze śmiercią rodziców. W jego oczach pojawiły się łzy. Musiała minąć chwila, aby doszedł do siebie. Jego małżonka podała gorącą herbatę. Rozmowę zaczął Padowski:

- Kiedy dokładnie doszło do tragedii?

- Trzy miesiące temu. Byłem ze starszym z synów u rodziców. Pomagałem naprawić ojcu altanę. Mama na wieczór zrobiła kolację. Żadnego alkoholu, moi rodzice byli abstynentami. Ojciec miał problemy z sercem, był rok po operacji wszczępienia bypasów. Mama robiła wino z własnych porzeczek i wiśni dla gości. Ale tego dnia nikt go nie pił. Kiedy rano zadzwoniła sąsiadka, byłem w szoku. Od policji dowiedziałem się, że rodzice upili się alkoholem nieznanego pochodzenia i zmarli - zakończył z nieskrywanym smutkiem w głosie mężczyzna.

- Czy pana rodzice byli właścicielami jakichś gruntów rolnych, działek? — zapytał Siarczyński.

Zmieszany syn państwa Gałczewskich zapytał:

- Gruntu?

- Gruntów, pola lub działek budowlanych - wyjaśnił Siarczyński.
- Tak. Rodzice posiadali około pięć hektarów łąk i pola w dwóch kawałkach, ale od lat wydierżawiali te ziemie ludziom żyjącym z roli - wyjaśnił syn.
- A czy zostawili testament? - zapytał Padowski.
- Nie, ale rozmawialiśmy już z siostrą, że wkrótce uregulujemy sprawę majątkową - wyjaśnił Czesław Gałczewski.
- Czy mógłby pan podać numery działek, które składały się na owe pięć hektarów - zapytał Padowski.
- Tak, jutro pojedę do mieszkania rodziców i wyślę panu sms - odpowiedział Gałczewski.
- A czy pamięta pan, gdzie znajdowały się te dwa grunty? - zapytał Zgoda, rozkładając mapę.

Gałczewski pochylił się nad mapą i palcem wskazał usytuowanie obu kawałków ziemi. Siarczyński, Padowski i Zgoda popatrzyli na siebie. Jeden ze wskazanych gruntów znajdował się w niedalekiej odległości od trzech hektarów świętej pamięci Stefana Kępy. Wiedzieli już, że śmierć rodziców gospodarza nie była przypadkowa. Pozostało ustalenie, kto stoi za wykupem gruntów i do czego miały one służyć.

Postanowili nie ujawniać na razie przed Czesławem Gałczewskim swoich podejrzeń. Kiedy wyszli z domu, Padowski stwierdził z nutą triumfu w głosie:

- Jutro rano atakujemy pana Golonkę. Przez weekend piśzę tekst i w poniedziałek chłopcy z ferajny S. będą się mieć z pyszna.

Noc postanowili spędzić w motelu odległym o 30 kilometrów od S. Nie chcieli ujawniać, że działają razem.

Nazajutrz, z samego rana Padowski starał się dowiedzieć, kto może stać za tajemniczą firmą deweloperską z Warszawy, która skupowała grunty w okolicach S. Niestety nikt nie umiał udzielić mu wyczerpującej odpowiedzi. Kiedy dobiegła godzina 13.00, Padowski uzbrojony w ukrytą kamerę ruszył do biura

notariusza Golonki. Wiedział, że rozmowa może przybrać różne warianty, dlatego pod budynkiem czekali Zgoda z Siarczyńskim ze słuchawkami na głowie. Dzięki mikrofonowi i kamerze w klapie wiatrówki Padowskiego mogli nagrywać, słyszeć i widzieć na ekranie laptopa, co dzieje się w poczekalni i gabinecie szanowanego obywatela miasteczka S., jakim był pan Oskar Golonka.

Padowski wszedł do poczekalni. Sekretarka poinformowała go, że musi poczekać, gdyż pan notariusz odczytuje akt notarialny. Minęło z pół godziny, gdy klienci wyszli, a sekretarka zaprosiła Padowskiego do gabinetu wypełnionego pięknymi, stylowymi meblami, z dużym stołem, przy którym stało dwanaście wyściełanych skórą krzeseł. Ściany ozdobione były pejzażami okolicznych krajobrazów. Gospodarz siedział przy dębowym biurku w wygodnym, starym, skórzanym fotelu. Przewodził rozmowę telefoniczną, udając, że nie zwraca uwagi na Padowskiego. Po chwili skończył, pożegnał się i wstał z fotela. Był 60-letnim, wysokim mężczyzną, o rumianej twarzy i przedrzędzonych siwych włosach z ulizaną grzywką, która, jeśliby rozdzielić ją symetrycznie na połowę, nadawałaby mu wyglądu typowego, filmowego lokaja.

—Słucham pana, mam pięć minut. Oczekuję poważnego klienta, który jedzie z odległej części kraju - rozpoczął nieuprzejmie.

Padowski uśmiechnął się:

—Nie chcę panu notariuszowi przeszkadzać. Mam tylko trzy pytania do pana. Jestem dziennikarzem tygodnika... - mówiąc to, podał wizytówkę poczytneho tytułu.

Notariusz założył okulary, obejrzał podejrzliwie wizytówkę i zapytał:

—Czego pan chce? Obowiązuje mnie tajemnica zawieranych aktów - odparł, jakby recytując wyuczoną formułkę.

—Czy dużo zawierał pan aktów notarialnych, po których ich uczestnicy ginęli w tajemniczych okolicznościach? Chodzi mi

o przypadek pana Kępy - wyjaśnił Padowski.

Golonka najpierw zbladł, później poczerwieniał. Podeszedł do Padowskiego i, próbując chwycić go za rękę, zaczął krzyzczyć:

- Won z gabinetu, dzwonię po policję.
- Ależ spokojnie. Czy zawierał pan akty notarialne, których uczestnicy znikali lub umierali w tajemniczych okolicznościach, na przykład z powodu zatrucia alkoholem metylovym?
- kontynuował Padowski.

Notariusz podbiegł do drzwi, uchylił je i krzyknął do sekretarki:

- Pani Krysiu! Proszę dzwonić do komendanta komisariatu. Niech przyśle tutaj patrol, ten człowiek mi grozi - wykrzykiwał Golonka.

Padowski zaczął się śmiać i zapytał:

- Ostatnie pytanie. Zna pan Andrzeja Frysta? Spotyka się pan z nim towarzysko? Może polujecie razem? - w głosie Padowskiego nie było nawet cienia zdenerwowania.

Notariusz zatrzasnął drzwi, zbliżył się do Padowskiego i warknął:

- Zniszczę cię, nie wiesz, kim jest mój brat.
- Wiem! Sędzią Sądu Okręgowego i wiem, że poluje z panem Frystem, ale nie wiem, czy pan poluje — wyjaśnił spokojnie Padowski.

Notariusz poczerwieniał jeszcze bardziej, a wokół jego ust pojawiła się piana.

- Ty gnoju, złamałeś prawo. Próbowaleś pozyskać niejawne informacje niezgodnie z prawem! Załatwię cię! - wrzeszczał jak oszalały notariusz.

Po pięciu minutach podjechał radiowóz na sygnale. Wy-skoczyło z niego czterech policjantów i po chwili najstarszy stopniem pokazał legitymację Padowskiemu.

- Podinspektor Sławomir Matejko! - wrzasnął. - Słucham pana notariusza?



- Ten jegomość zażądał wydania i ujawnienia danych osobowych moich klientów, co zagrożone jest karą pozbawienia wolności. Poza tym groził śmiercią mnie i mojemu bratu - konfabulował notariusz.

- Jako dziennikarz chciałem zadać panu notariuszowi parę pytań. Pytałem, czy pije pan wódkę z panem Andrzejem Frystem i czy poluje z nim - wyjaśnił Padowski. - Całość rozmowy mam zarejestrowane i mogę przegrać panu na pendriva. A swoją drogą cieszę się, że pana komendanta widzę.

Policjant po tych słowach zastygł niczym sparaliżowany.

- Chciałem zadać parę pytań panu komendantowi w związku z tajemniczymi zgonami abstynentów w wyniku zatrucia alkoholem metylowym - powiedział Padowski, szczerząc zęby.

Po tych słowach czerwona twarz podinspektora Matejki przybrała wygląd oblicza człowieka oczekującego na wykonanie wyroku śmierci. Padowski postanowił iść za ciosem:

- A przepraszam, czy szanowny pan potwierdza wspólne uczestnictwo w polowaniach z panem Andrzejem Frystem i udział w biesiadach alkoholowych w jego leśniczówce?

- Jest pan zatrzymany! - ryknął szef komisariatu. Nie ma pan świadków. Brać go!

Policjanci ruszyli w stronę dziennikarza.

- Stop, pan Padowski ma świadków! - ryknął Zgoda, wchodząc do gabinetu z Siarczyńskim. W rękę trzymał legitymację detektywa.

- Wszystko jest zarejestrowane, łącznie z ostatnim zdaniem pana komendanta - Zgoda spojrział wymownie w oczy podinspektorowi.

W pomieszczeniu zapadła cisza, którą postanowił przerwać dziennikarz:

- I co? Dalej chce pan mnie zatrzymać? - zapytał Padowski podinspektora Matejkę.

Ten stał jak zbity chłopiec. Wiedział, że wypowiedział jedno zdanie za dużo. Jego twarz stała się jeszcze bardziej czerwona, choć wydawało się to już niemożliwe.

- Czy pan notariusz chce wnieść oskarżenie? - zapytał nieśmiało.

Golonka przebierał nerwowo palcami. Nie wiedział, co ma zrobić.

- Dobra! Wyjdź pan, ale napisz słowo nieprawdy, a puszcze cię w kalesonach i twoją gazetę też - warknął zdenerwowany. Po chwili Padowski, Siarczyński i Zgoda opuścili budynek notariusza. Tuż po nich wyszedł komendant Matejko z podwładnymi. Padowski podszedł do nich.

- Możemy komendancie chwilę pogadać? Nie chciałbym, aby w poniedziałek ukazał się tekst bez pana wypowiedzi.

Matejko spojrział na niego i z wściekłością warknął:

- Polowanie z kimś i picie wódki po pracy nie jest przestępstwem. Znam pięćdziesięciu, a może i stu szanowanych obywateli tego miasta i okolic, którzy w ten sposób spędzają wspólnie czas.

- A czy w przerwach między polowaniami i piciem wódki, ci szanowani obywatele uczestniczą w procederze upijania na śmierć alkoholem metylowym spokojnych obywateli S. i okolic?

Komendant Matejko nie odpowiedział, wszedł do samochodu i, trzasnąwszy drzwiami z wściekłością, popatrzył w stronę trójki przybyszów.

## Rozdział XX

Zapadał zmierzch. Las powoli szarzał, a w oknach leśnej posiadłości Andrzeja Frysta odbijały się ostatnie promienie słońca. W gabinecie siedzieli, nerwowo popijając alkohol: notariusz Golonka, komendant Matejko, Tołdi, senior Fryst wraz z synem i Dimitrij. Po wysłuchaniu relacji Golonki i Matejki Maks Fryst uruchomił film z monitoringu Golonki przedstawiający wizytę dziennikarza. Gdy na ekranie pojawiły się sylwetki Zgody i Siarczyńskiego, Tołdi odstawił szklankę z alkoholem i niemal wykrzyknął:

- Oni byli w dyskotecce, dawali mi ofertę na systemy alarmowe. Te chuje musiały śledzić Edka.

- Ja pierdolę! Jak z tego gówna wyjść?! - zapytał komendant.

- Spokojnie, spokojnie. Ci trzej może coś kumają, ale musimy zdusić to w zarodku - powiedział stanowczo senior Fryst.

- A co będzie, jak powiążą to wszystko z tą ziemią? - z niepokojem w głosie zapytał Golonka.

- Czy ty uważasz mnie za kretyna? Tropem firmy deweloperskiej z Warszawy nie trafią ani do mnie, ani do was. Wszystko jest perfekcyjnie zaplanowane. Ci ludzie byli u ciebie, podpisali stosowne akty, kasa jest legalna. Firma deweloperska ma pokrycie na kasę, więc nie ma tu zagrożenia - tłumaczył Fryst.

- Sławek wszystko w kwitach ma w porządku. Były sekcje, które wykryły alkohol.

- A jak dojdą, że pan doktor Dobrzyniewicz to nasz kumpel? - zapytał Matejko.

- Kurwa, Sławku, to mała wiocha! Tutaj wszyscy znają wszystkich i piją z wszystkimi. To taki grajdoł, nie pękaj! - ryknął Fryst i dodał już spokojniejszym tonem: - Chcecie kasę, to kurwa trzeba ryzykować. Twoja córka potrzebuje na studia w Stanach? — Komendant bez słowa spuścił głowę. Fryst senior nalał sobie setkę wódki, przechylił, skrzywił się i kontynu-

owal: - Oskar, zadzwonisz dzisiaj na komórkę do tego dziennikarza i powiesz, że boisz się o swoje życie i że chcesz jutro o 17.00 spotkać się po pracy w zajeździe w B. - Fryst senior wskazał palcem na mapie małą miejscowość między S. a Białymstokiem.

- A co miałbym im jutro powiedzieć? - zapytał osłupiały notariusz.

- Nic. Oni tam nie dojadą.

- Jak to: nie dojadą?! - zawołał komendant posterunku.

- Nie rznij dziewicy! Od piętnastu lat dostajesz ode mnie co miesiąc pięć tysięcy, to jak druga pensja. Za udane transakcje przytulileś już sto tysięcy i na koniec dostaniesz drugie sto! Więc stul pysk i zacznij myśleć!

- Co proponujesz? - zapytał Maks.

- Jeden z moich tirów ładuje tu konserwy. Jutro pojedzie tą drogą i stanie na parkingu, niby na odpoczynek. Wtedy ktoś ukradnie tego tira. Dziennikarz i detektyw na pewno wcześniej wyjadą na miejsce. Po drodze ty, Maks, będziesz czekał z Tołdim. Jeżeli ich zobaczysz, dasz cynk człowiekowi Dimitrija, a on staranuje ich skradzionym tirem. Musi to nastąpić na tym odcinku - tłumaczył. — Z obu stron będą czekali jego pozostali ludzie. Wkroczą do akcji, aby ich zlikwidować. Jeżeli ktoś przeżyje wypadek, wtedy pojawi się Tołdi. Rąbniecie w południe jedną ze starych karetek pogotowia, które stoją na tym parkingu w Białymstoku. Podjedziecie niby, żeby wziąć rannych, załadujecie zwłoki i przewiezicie je do granicy. Ty, Dimitrij, sprowadzisz tira z Białorusi i dasz kasę celnikom. Zwłoki muszą trafić na Białoruś. Tam je spalimy. Cały sprzęt ze staranowanego samochodu musi znaleźć się w karetce ze zwłokami. Rozwalony samochód musi spłonąć, doszczętnie spłonąć. Dymitrij, zadzwoń na Białoruś i sprowadź ośmiu ludzi do tej operacji. Kto pojedzie ciężarówką? - zapytał:

- Sahar jest najlepszy. Policjanta załatwił na cacy.

- Ty, Oskar, jakby co, czekasz w motelu dwie godziny. Czeka-

jącego muszą widzieć cię tam ludzie, abys miał alibi - wyjaśnił Fryst.

- A co z rozbitym tirem?

- Chwilę przed wypadkiem kierowca zgłosił kradzież i będzie siedział w knajpie — odparł Fryst. — To pewny człowiek.

- Jaka będzie w tym moja rola? — zapytał Matejko.

- A taka, aby w okolicy nie było patroli. A jak dostaniesz zgłoszenie o wypadku, to zrób wszystko, aby opóźnić wyjazd. Jasne? — zapytał senior.

- Jasne — odparł wystraszony Matejko.

- Kto pojedzie karetką? - zapytał Tołdi.

- Ty weź swojego szwagra Zająca - rozkazał senior Fryst i dodał: - Pozostali twoi ludzie, Dymitrij, ochraniają spotkanie w leśniczówce. Jutro o 14.00 mamy gości, od których zależy nasza wspólna przyszłość.

Kiedy wszyscy wyszli, ojciec zwrócił się do Maksa:

- Pamiętaj, kiedy tylko zobaczycie tego pismaka z kolesiami, masz wrócić do klubu. Nie możesz być łączony z tym zajściem.

## Rozdział XXI

Była godzina 22.00, gdy Maks z Tołdim dojechali do dyskoteki. Weszli do biura. Maks odkodował alarm na klawiaturze i wszedł do środka. Tołdi udał się do swojego pokoju. Fryst junior zamierzał zaserwować sobie właśnie jednego drinka, gdy usłyszał pukanie do drzwi.

- Proszę!

W drzwiach ukazał się Laluś, za jego plecami stał Narcyz, trzymający pistolet przy jego skroni.

- Tylko bez darcia mordy, bo inaczej twoja narzeczona i ty za aplikujecie po porcji ołowiu — powiedział Krystian.

- Odpierdoliło ci?! - wrzasnął Maks.

- Nie, to twojemu ojcu odpiardoliło. Myślał, że jak zapierdoli mi laptopa i twardego dysk, to będzie miał mnie w garści, ale się pomylił.

Maks oparł się łokciami o barek.

- Wiesz, że jeśli podskoczysz mojemu staremu, nie znajdziesz miejsca, w którym byłbyś bezpieczny? - powiedział spokojnie do policjanta.

- Już to przemyślałem. Domyślam się, po co wam ta ziemia. Ropy tu nie ma ani gazu, ale niedaleko jest rurociąg i po to wam ta gleba - odparł Krystian, trzymając pistolet przy głowie Lalusia.

- Czego chcesz? — zapytał Maks.

- Milion euro. Twój kochaś pojedzie do twojego tatusia i przywiezie milion euro. Jak pojawi się tam ktoś obcy, zabiję cię - powiedział Borkowski i rozkazał: - Na kolana!

Maks klęknął przed nim, gdy nagle rozległo się pukanie. Borkowski błyskawicznie pchnął przed siebie Lalusia i chwycił za głowę klęczącego Maksa. Warknął:

- Każ mu wejść!

- Właż! - krzyknął Maks.

W drzwiach ukazał się Tołdi, który z wrażenia zaniemówił i nie wiedział, co ma zrobić.

- Do środka - rozkazał Borkowski.

Tołdi wszedł i podniósł ręce. Borkowski wyjął kajdanki, podał je Lalusowi i rozkazał:

- Skuj go od tyłu!

Po chwili Tołdi leżał na brzuchu z rękami skutymi na plecach. Krystian kazał Lalusowi podejść do siebie i odwrócić się:

- Zadzwoń tylko raz i pamiętaj - poinstruował elegancika - jeżeli oprócz ciebie będzie ktoś jeszcze, to powiesz panu Andrzejowi, że urządzi huczny pogrzeb swojemu synkowi.

Kiedy chłopak odwrócił się, Krystian wyrznął go w głowę i podniósł z kolan Maksa:

- Twój ojciec może mi nie wierzyć — powiedział i wyjął nóż.

Położył na barze głowę Maksa i odciął mu końcówkę ucha z kolczykiem, po czym wyjął z apteczki plaster i zakleił ranę. Położył kawałek ucha przed Tołdim.

- Widzisz śmieciu? Powiedz swojemu panu, że jestem zdecydowany umrzeć, ale jego synalek umrze również. Ten cymbał ma być przy przekazaniu kasy! Czy to jasne?!

Tołdi pokiwał przytakująco głową.

W ciągu godziny Tołdi wraz z Lalusiem osobiście przekazali wiadomość o porwaniu syna seniorowi rodu Frystów. Ten usiadł przy swoim biurku, spojrzał tępo przed siebie i zaczął zastanawiać się, jak rozwiązać problem. Nagle Tołdi doznał olśnienia:

- Niech Laluś weźmie walizkę z kasą, a ja schowam się z UZI do bagażnika. Jak ten skurwiel wypuści Maksa, wyskoczę i zabiję gada...

Andrzej Fryst uśmiechnął się z przekąsem:

- Wiesz co jest najgorsze? — zapytał.

- Nie - odparł Tołdi.

- To, że ty i twoi chłopcy nadajecie się do obicia mordy chłopakom z dyskoteki, ale nie dorastacie do pięt Narcyzowi. Ten gość ma jaja i umie kombinować - skarcił go Fryst i dodał: - Kiedy zadzwoni, zgadzamy się. Weźmiesz kasę - wskazał na Lalusia — i zawieziesz mu. I bez żadnych numerów - rozkazał Andrzej.

Kiedy Tołdi i Laluś wyszli z pokoju, wyjął telefon i zadzwonił do Dymitrija:

- Nieprzewidziane komplikacje. Musisz być u mnie za pół godziny.

Odłożył komórkę i opuścił żaluzje tak, aby nikt z zewnątrz nie widział, co się dzieje w środku. Otworzył sejf, wyjął sześć walizek i zabrał z każdej po równej sumie pieniędzy, po 150 tysięcy euro. Schował je do starej walizki i dorzucił 10 tysięcy, które posiadał w sejfie.

Usiadł i zaczął obmyślać plan odbicia syna. Po chwili usły-

szał podjeżdżający pod posesję samochód. Do pokoju wszedł zdenerwowany Dimitrij.

—Szefie, co się stało?

—Ten gliniarz, który nam pomagał, porwał Maksa.

—Co robimy?

—Przymocujesz GPS-a do samochodu Lalusia i pojedziesz w odległości trzech kilometrów za nim. Laluś będzie miał telefon w samochodzie na głośnomówiący, więc będziemy słyszeć, gdzie jedzie. Jeżeli ta menda wypuści mi syna, poszukasz miejsca do strzału z karabinu snajperskiego i go zdejmiesz, jasne? Rosjanin przytaknął.

— Zajmij się przygotowaniem - rozkazał Fryst.

Zgoda z Siarczyńskim i Padowskim odwiedzili rodzinę trzeciej ofiary zatrucia alkoholem metylowym. W tym przypadku okazało się, że świętej pamięci Waldemar Łoś nie posiadał żadnych nieruchomości, natomiast całe dorosłe życie spędził na degustacji tanich napojów alkoholowych. Zatrucie w jego przypadku wchodziło faktycznie w rachubę. Przyjaciele postanowili ułożyć terminarz odwiedzin podejrzanych osób i rozdzielić się zadaniami na dzień następny. Padowski wykonał już kilka telefonów w celu ustalenia, kto jest właścicielem tajemniczej firmy deweloperskiej, której siedziba znajdowała się w Warszawie, a która wykupiła ogromny teren wokół S. W pewnym momencie zadzwoniła komórka Padowskiego. Dzwonił numer prywatny.

- Halo? - zapytał.

- Pan Padowski? - zapytał zdenerwowany rozmówca.

- Tak, przy telefonie - odparł dziennikarz.

- Tu Golonka, pan był dzisiaj u mnie - wyjaśnił notariusz.

- Słucham pana?

- Otóż, przemyślałem całą sytuację i doszedłem do wniosku,



że chciałbym z panami jutro porozmawiać. Tylko tak, aby nikt w S. o tym nie wiedział - oznajmił tajemniczo Golonka i dodał:  
- Proponuję jutro o 17.00 w Zajeździe w B. To 30 kilometrów od S.

- Dobra. A czemu szanowny pan chce rozmawiać? - zapytał dziennikarz.

- Ja proszę pana sporządzam akty notarialne. Jeżeli klient płaci za grunty, to moja rola sprowadza się do spisania aktu notarialnego i sprawdzenia prawidłowości dokumentów własności gruntu osoby sprzedającej. W żadnym przypadku nie złamałem prawa, więc nie mam się czego obawiać. Porozmawiam z panami bez ujawniania danych personalnych moich klientów - powiedział notariusz.

- Ok! To do 17.00 - odparł Padowski. Kiedy się rozłączył, poinformował kolegów: - Golonka zmiękła, puściła soki.

- A nie uważasz, że to może być podstęp? - zapytał Siarczyński.

Padowski spojrzał na niego zamyślony:

- No to może pojedę sam?

- Nie, pojedziemy w trójkę. Razem będzie bezpieczniej - powiedział Zgoda.

Gdy wreszcie postanowili rozejść się do pokoi i odpocząć po dniu pełnym wrażeń, nagle rozległo się pukanie do drzwi. Arek i Jacek odbezpieczyli broń i schowali się za załom pokoju. Do pokoju wszedł szef geodetów. Arek na jego widok schował pistolet i uśmiechnął się, wyciągając rękę na powitanie.

- Nie spodziewałem się pułkownika tutaj - odparł.

- Ja też nie spodziewałem się tego, że prowadzone przez ciebie śledztwo spowoduje takie zamieszanie - wyjaśnił pułkownik i przywitał się z Siarczyńskim i Padowskim.

- Co pana sprowadza do nas - zapytał Arek, wskazując fotel byłemu zwierzchnikowi.

Pułkownik usiadł i przemówił oficjalnym tonem:

- Panowie, jutro w drodze do motelu w B. wasz samochód zo-

stanie staranowany przez skradzionego białoruskiego tira, prowadzonego przez ludzi Frysta.

Trójka kolegów z niepokojem spojrzała po sobie.

- Ci ludzie nie cofną się przed niczym. Dlatego od tej chwili nie zrobicie niczego bez naszej wiedzy, rozumiemy się?

Padowski, Zgoda i Siarczyński pokiwali przytakująco głowami.

- Pan nie napisze żadnego tekstu do czasu zatrzymania głównych podejrzanych - oznajmił pułkownik Padowskiemu.

- Co mamy robić? - zapytał Zgoda.

- Od rana będziecie się afiszować twoim BMW po S. Tak, aby ludzie Frysta mieli was na oku. Wyjedziecie z S. o 15.30. Będą was śledzić - pułkownik rozłożył mapę na stole. - Na tym odcinku tir ma was staranować - wskazał palcem odcinek drogi. - Nasz człowiek obezwładni kierowcę tira i da wam znać światłami awaryjnymi. Zjedzie na pobocze drogi. Tam będą ukryci moi ludzie, którzy wyeliminują napastników. Macie kamizelki kuloodporne. Mój człowiek przywiezie wam jeszcze kilka i obłożycie nimi drzwi samochodu. Jak minie zagrożenie, pojedziecie jakby nic się nie stało na spotkanie z panem Golonką. Zadacie mu pytanie, czy wie, że jego brat jest już zawieszony w czynnościach sędziego. Czy wie, jaki mu grozi wyrok za udział w zorganizowanej grupie przestępczej, morderstwach i planowaniu następnych. Oczywiście rejestrujcie wszystko - rozkazał pułkownik. - No chyba, że chcecie, aby zastąpili was moi ludzie w waszym samochodzie?

Przyjaciele popatrzyli na siebie i pokręcili przecząco głowami.

- No, w takiej jeździe w kraju jeszcze nie uczestniczyłem - powiedział Padowski.

- Ja też - odparł poważnym głosem pułkownik i dodał: To telefon, przez który będziemy się kontaktować. Każdy następny wasz ruch chcę znać. Nie podejmujecie działań bez mojej zgody i z nikim nie gadacie. Gra musi się toczyć tak, aby Fryst myślał, że na razie ma nad wszystkim kontrolę i wszystko idzie

zgodnie z jego planem. Gra toczy się o wysoką stawkę, ale póki co nie możecie dowiedzieć się o jaką - zakończył pułkownik, po czym wstał, pożegnał się i wyszedł.

## Rozdział XXII

Narczyz po opuszczeniu dyskoteki skuł ręce Maksa do tyłu, wpakował go do bagażnika Audi i odjechał z piskiem opon. Kiedy zniknął za zakrętem, spod ogrodzenia wyruszył jego śladem człowiek na motocyklu, ubrany w czarny strój. Na rękawie kombinezonu miał przymocowany mały monitor, który dawał sygnał z czujnika GPS umieszczonego pod Audi. Motocyklista utrzymywał się w odległości kilometra za samochodem z Narczyzem i porwanym Maksem. Po piętnastu minutach jazdy auto minęło otwartą przestrzeń pól i wjechało w kompleks leśny. W końcu zatrzymało się przy ruinach spalonego w czasie wojny młyna, obok którego przepływała rzeka. Motocyklista ominął łukiem miejsce wjazdu Audi do lasu. Skręcił kilometr dalej. Kiedy samochód zaparkował, *zatrzyma!* motocykl. Postanowił, że dystans kilkuset metrów pokona pieszo. Po kwadransie ujrzał samochód stojący przed młynem i policjanta śpiącego w samochodzie. Postanowił poczekać do rana na rozwój sytuacji. Pomyślał, że wróci po motocykl i przyprowadzi go na miejsce, aby móc z niego skorzystać. Po drodze zameldował dowódcy o sytuacji. Cała okolica w promieniu półtora kilometra była obstawiona przez ludzi pułkownika.

Była dokładnie godzina 5.00, gdy Narczyz włączył komórkę ze świeżą kartą. Numer Maksa znał na pamięć. Wyszedł z samochodu i otworzył bagażnik. Fryst junior wyglądał jak wam-

pir. Ucho mimo opatrunku krwawiło niemiłosiernie. W nocy chyba nie mógł spać, bo oczy miał przekrwione.

- Połączę cię z tatusiem. Poproś, aby był rozsądny — rozkazał Krystian.

Po chwili w słuchawce odezwał się senior Fryst.

- Mamy tylko pół minuty - oznajmił Borkowski. Wyślij Lalusia z kasą w kierunku na Białą Podlaską. Ma mieć bańkę euro i jeden telefon Maksy. Jak zobaczę, że coś wykombinowałeś, kup czarny garnitur. Będzie ci w nim do twarzy na pogrzebie. Swoich troglodytów masz trzymać z daleka. Podał telefon Maksowi. Ten spojrział z lękiem na Narcyza.

- Wszystko jest ok! Tato, nie kombinuj, to świr - powiedział błagalnym tonem.

Policjant zamknął bagażnik i ruszył w stronę wyjazdu z lasu.

Motocyklista odczekał chwilę, odpalił motor crossowy i ruszył jego śladem. Po chwili gwałtownie zahamował. Narcyz zatrzymał się przy wyjeździe z lasu tak, aby nie było widać samochodu. Wyjął wojskową lornetkę i zlustrował teren. Po około godzinie zobaczył BMW Lalusia. Schował się do lasu, przepuścił chłopaka i sprawdził, czy jego śladem nie podążają ludzie Frysta. Po pięciu minutach pojawił się terenowy Mercedes ochroniarzy Frysta. Krystian wyjął telefon i wybił numer.

- Zadzwoń do tych dwóch ruskich zbirów i każ im zawracać. Ty stań na poboczu, nie wychodź z samochodu i czekaj na instrukcje — rozkazał Lalusowi.

Po minucie terenowy Mercedes z ochroniarzami jechał w przeciwnym kierunku. Narcyz poczekał, aż znikną z horyzontu, znowu wybił numer do Lalusia i rozkazał:

- Zawracaj!

Po chwili ujrzał BMW Lalusia, które było pół kilometra przed nim. Kiedy znalazło się w odległości stu metrów, Narcyz włączył telefon i rozkazał:

- Po hamulcach! W prawo do lasu, jedź prosto i nie stawaj!

Laluś wjechał do lasu i skierował się prosto leśną drogą. Po pewnym czasie zobaczył Audi Borkowskiego wyjeżdżające z bocznej drogi i podążające jego śladem. Po chwili usłyszał w telefonie:

- Jedź cały czas prosto, zaraz zobaczysz polanę. Na niej staniesz i łapy na kierownicy — rozkazał policjant.

Po chwili Borkowski wyskoczył z Audi, celując w kierowcę BMW.

- Masz kasę? - zapytał.

- Mam w walizce - odparł Laluś.

Borkowski wycelował z bliska pistolet i rozkazał:

- Otwórz drzwi, prawą ręką połóż walizkę na kolanach i otwórz ją-

Chłopak posłusznie wykonał polecenie.

- Teraz wyjdź i połóż walizkę przed sobą - rozkazał Krystian.

- Otwórz bagażnik, tylko pamiętaj, jeśli ktoś tam jest, to zginię - zapowiedział.

- Nikogo tam nie ma - odpowiedział Laluś i otworzył bagażnik.

- Włóż do środka - rozkazał Krystian.

Gdy Laluś znalazł się w bagażniku, Borkowski rozkazał:

- Za piętnaście minut, kiedy sprawdzę kasę, zadzwonię do szefa. Syn będzie o kilometr stąd, koło starego młyna, przykuty do drzewa. Jeżeli mnie oszukał, to będzie martwy — pogroził policjant.

Zatrzasnął bagażnik samochodu Lalusia i odjechał w stronę młyna. Z odległości stu metrów całość zdarzeń obserwował motocyklista, ale tym razem towarzyszyło mu jeszcze dwóch ludzi.

- Jedziemy za nim! Jak tylko zajmie się liczeniem kasy, spróbuję go obezwładnić. Tylko żadnych krzyków. Maks w bagażniku nie może zorientować się, że nie jestem sam. Jeżeli Borkowski zacznie strzelać, walcie w głowę i kończyny, bo ma na

sobie kamizelkę kuloodporną - powiedział motocyklista i po chwili trzy motory mknęły śladem Audi.

Po przejechaniu kilometra Borkowski zatrzymał się przy młynie. Wyjął walizkę, obejrzał banknoty i przeliczył paczki. Wydawało się, że senior Fzyst nie chciał ryzykować życia własnego syna. Przerzucił banknoty do przygotowanej torby podróźnej i wyrzucił walizkę. Kiedy wysiadł z samochodu i skierował się w stronę bagażnika, nagle z krzaków wyskoczył jeden z motocyklistów, celując z pistoletu w jego kierunku. Borkowski zauważywszy go, błyskawicznie wyciągnął pistolet i oddał strzał w stronę motocyklisty. Nie wiedział jednak, że drugi ze śledzących go ludzi wziął go na muszkę swego karabinu snajperskiego i w chwili, gdy Borkowski oddał strzał, został trafiony w szyję, zachwiał się i przewrócił. Trafiony przez Borkowskiego motocyklista miał na sobie kamizelkę kuloodporną i pocisk trafił w nią, nie przebijając jej. Trzeci z motocyklistów błyskawicznie podbiegł do rannego Borkowskiego i wyciągnął mu z ręki pistolet. Borkowski był nieprzytomny i krwawił obficie. Postrzelony motocyklista ściągnął kask, czarny mundur oraz kamizelkę kuloodporną i podał je partnerowi. Dwójka motocyklistów oddaliła się szybko w zarośla ze zdjętym sprzętem i ubraniem kolegi. Motocyklista, który został, otworzył bagażnik. Jego oczom ukazał się Maksymilian, który trząsał się jak galareta ze strachu.

- Już po wszystkim - powiedział spokojnie chłopak i pomógł mu wyjść z bagażnika. Pochylił się nad rannym Borkowskim, wydobył z kieszeni pęk kluczy i otworzył kajdanki Maksowi, który chwycił się za obolałe ucho, spojrzał na postrzelonego Narcyza i krzyknął:

- Załatwiłeś chuja, Zderzak!

Zderzak podszedł do Borkowskiego i strzelił mu w okolicę serca. Nieprzytomny drgnął, ale chłopak chwycił go za rękę, zawłókł do rzeki i wrzucił do niej bezwładne ciało.

- Dzięki - powiedział Maks.

- Spadamy stąd. Weź pieniądze, są w jego torbie. I walizkę ojca. Jedziemy motorem.
- Po chwili stali przy BMW Lalusia, uwalniając go z bagażnika.
- Spadajcie stąd - rozkazał Zderzak.
- Skąd się tu kurwa wzięłeś? - zapytał Lalus.
- Widziałem, jak wczoraj wieczorem ten pies wyprowadził pod lufą Maksa. A ty co robiłeś w tym czasie? - zapytał wściekły Zderzak.
- Skąd masz ten motor? - dopytywał Maks.
- Podpierdoliłem spod naszej knajpy. Odstawię go gdzieś w mieście i widzimy się za godzinę w lokalu. Nie chcę trafić z powrotem do pierdła. Ktoś będzie musiał spalić jego brykę, aby zatrzeć twoje ślady - powiedział do Maksa.
- Po godzinie Zderzak wszedł do klubu. Tam już czekał na niego Tołdi, który kazał mu jechać z nim do leśnej rezydencji rodziny Frystów.

Zderzak stał w gabinecie seniora Frysta, który z podziwem patrzył na niego i rannego syna. Po chwili podszedł do torby z pieniędzmi, wydobył z niej 50 tysięcy euro i wręczył je Zderzakowi.

- Jak tego dokonałeś sam? - zapytał senior Fryszt. Masz jaja!
- Zderzak wziął 50 tysięcy euro:
- Dzięki, ale jest mi pan winny jeszcze 8 tysięcy złotych.
- A za co? - zapytał zdziwiony Fryszt.
- Musiałem wyrzucić do rzeki moją lewą spluwę. Tyle dałem za nią w Warszawie - wyjaśnił.
- Andrzej Fryszt popatrzył na pieniądze i zapytał:
- Nie kusiło cię, aby podpierdolić kasę?
- To pana, nie moje. Przecież na życie zarabiam u pana. Muszę być lojalny — wytłumaczył Zderzak.
- Mam propozycję - oznajmił Fryszt senior. Za to, co zrobiłeś

dzisiaj i za to, co pomożesz nam zrobić, dostaniesz jeszcze 50 tysięcy euro.

- Co mam zrobić? - zapytał Zderzak.

- Pojedziesz z Tołdim wypożyczoną karetką pogotowia i po drodze weźmiecie trzy ciała z wypadku. Jak trzeba będzie ich dobić, to ulżycie im i zawieziecie w pewne miejsce, gdzie będą czekali ludzie, którzy przejmą ciała. Pozbędzisz się ich sprzętu. Tylko tak, aby nikt z niego nie mógł już skorzystać. Czy wszystko jasne? - zapytał senior Fzyst.

Zderzak pokiwał głową, że zrozumiał zadanie.

- Piękne dossier - powiedział senior Fzyst, pokazując ksero kartoteki przestępczej dostarczonej przez Borkowskiego i dodał: - Niestety to ostatnia rzecz, jaką pan Borkowski zrobił dla nas.

Wszyscy wybuchli śmiechem. Senior uciszył ich gestem i wyciągnął komórkę na kartę. Wybrał numer. Po chwili odezwał się:

- Sławek, to ty?

- Tak - odpowiedział głos po drugiej stronie.

- Czy ktoś zgłaszał dzisiaj lub wczoraj kradzież motoru crosowego?

- Tak, jakiś przemądrzały geodeta z Warszawy. Był u was w knajpie i ktoś wczoraj wieczorem podpierdził mu motor, ale właśnie chłopaki zgłosili, że ktoś tylko się przejechał i porzucił go w miasteczku - wyjaśnił rozmówca po drugiej stronie słuchawki.

- No i niech ktoś powie, że nasza policja źle działa - powiedział z powagą w głosie Fzyst senior. Wszyscy wybuchli śmiechem.

- No to do popołudnia i pamiętaj, co masz dzisiaj robić - rozkazał komendantowi i rozłączył się, wyłączając telefon.

Do pokoju właśnie weszli Tołdi z Dimitrijem.

- Tych trzech koleśi jeździ po miasteczku i wypytuje o pana - poinformował Tołdi.

- Niech wypytyują! Macie ich pilnować! Dimitrij, czy twoi lu-



dzie są już na miejscu? - zapytał Fryst Rosjanina.

- Za godzinę przyjeżdżają. Czterech zostaje ochraniać pana i rezydencję, a ośmiu jedzie ze mną rozprawić się z tamtymi.

- Tylko pamiętajcie! Tych trzech nie może przeżyć i macie mieć cały ich sprzęt. Czy to jasne? - zapytał senior Fryst.

Dimitrij i Tołdi pokiwali głowami.

- No to panowie, do działania! - rozkazał senior Fryst.

Kiedy wszyscy ruszyli do wyjścia, spojrzął w stronę Zderzaka i syna.

- Ty i Maks zostańcie - rozkazał.

Kiedy wszyscy wyszli, wyjaśnił Zderzakowi sytuację:

- Dzisiaj zaczęłeś pracować dla nas. Jeżeli będziesz pilnował bezpieczeństwa Maksa i naszych interesów, od następnego miesiąca dostaniesz 10 tysięcy miesięcznie. Zadowolony?

- W zupełności — odparł Zderzak, ale po chwili się zawahał i spytał wprost: - A co z Tołdim?

Fryst zaśmiał się.

- Wiesz, kupiłem dwa hotele. Zaproponowałem już Tołdiemu, że wyjedzie ze mną w cieplejsze strony — odparł senior. - Oko lica musi odpocząć od tej wstrętnej mordy.

Mężczyźni wybuchli śmiechem. Fryst popatrzył na chłopaka i ponownie zapytał:

- Dlaczego nie podpierdoliłeś tej kasy?

- Mam zasady. Babcia uczyła mnie jeść małymi łyżkami. Nie posłuchałem jej i osiem lat byłem w pierdłu. Drugi raz tam nie trafię - wyjaśnił Zderzak i dodał: — Musi pan pogadać z Lalusiem. Nie ufam temu gościowi, nie może zbyt dużo wiedzieć.

- Spokojnie, Lalusia biorę na siebie — wtrącił się Maks.

- On ma rację! Nie obchodzi mnie, co was łączy, ale ten cymbał mógłby wpakować nas do pierdła! - ryknął Fryst i dodał, kończąc rozmowę: — Dobra, mam mieć gości. A wy przygotujcie się, bo czeka was najbardziej niebezpieczna część zadania.

## Rozdział XXIII

Była godzina 15.00, gdy kierowca białoruskiego tira zostawił samochód na przydrożnym parkingu i udał się do baru na obiad. Pod tylnym lewym kołem naczepy zostawił zapasowe kluczyki. Wiedział, że przez najbliższe dwie godziny ma nie opuszczać lokalu, a później zgłosić kradzież na policji. Chwilę później na parking wjechał terenowy Mercedes. Siedziało w nim czterech mężczyzn. Jeden z nich o imieniu Sahar opuścił wóz, podszedł do tira i wyciągnął spod koła kluczyki, po czym dał ręką znać, że jest gotowy. Minęło piętnaście minut, gdy pozostała trójka otrzymała sms z wiadomością, że Siarczyński, Zgoda i Padowski opuścili S. i skierowali się w stronę motelu w B. Mercedes podjechał do Sahara. Kierowca opuścił szybę i rozkazał:

- Pamiętaj! Dimitrij śledzi ich. Jak dostaniesz sms, ruszasz. Oni wyprzedzą ich i dadzą ci znak długimi. Za nimi będzie BMW, które staranujesz. My jedziemy zająć pozycję. Powodzenia - rzucił kierowca i odjechał.

Sahar wyjął papierosa i zapalił. Sprawdził jeszcze, czy z telefonem wszystko w porządku, i zaciągnął się dymem. Podobne rzeczy robił wielokrotnie, więc nie robiły na nim większego wrażenia. Za dzisiejszą akcję miał dostać 100 tysięcy dolarów, sumę, na którą musiałby pracować przez całe życie. Ponownie zaciągnął się papierosem, gdy zauważył idącą w jego kierunku prostytutkę. Dziewczyna była atrakcyjna, ale nie chciał, aby zapamiętała jego twarz, więc obrócił się w kierunku kabiny i udał, że sprawdza stan techniczny opon.

- Hej! Kolego, nie chcesz skorzystać? - spytała dziewczyna.

- Nie, spadaj - warknął Sahar.

- No to odpal papierosa - poprosiła.

Sahar wyjął zapalniczkę, odpalił ją i wyciągnął rękę do tyłu. Zamiast podziękowania dziewczyna błyskawicznie wy-

kręciła mu prawą rękę do tyłu, a lewą chwyciła za włosy i wyrznęła z całej siły głową Sahara oabinę. Zanim zorientował się, co się dzieje, dwóch drabów wrzuciło go do bagażowego Mercedesa, którym odjechali zaledwie pięćdziesiąt metrów. W środku Mercedesa siedziało trzech mężczyzn, którzy błyskawicznie zrewidowali Sahara, odebrali mu pistolet i komórkę. Dowódca pochylał się i płynnie po rosyjsku zapytał:

- Będiesz współpracował czy chcesz, abym ci obciął twoje narządy. - Zerwał mu spodnie i przyłożył do przyrodzenia ogromny nóż zakończony szpicem. Sahara nie odzywał się, więc dowódca końcówkę noża wbił w jądro mordercy. Ten wydał przeraźliwy okrzyk.
- Teraz twoje prącie - powiedział dowódca i podniósł nóż, aby wbić go w męskość przesłuchiwanego.
- Nieee... powiem! — wykrzyknął Sahara.
- Jak się porozumiewacie i jak masz dokonać staranowania BMW? Jeżeli nas okłamiesz, odetnę ci chuja i wpakuję do gardła, abyś się nim udławił - powiedział dowódca i oparł nóż na przyrodzeniu Sahara.

Mężczyzna wiedział, że ludzie, którzy go porwali, nie żartują. Postanowił powiedzieć prawdę.

- Od S. ma jechać BMW. Na prostej ma wyprzedzić go nasz terenowy Mercedes i dać mi znać długimi światłami, że BMW jest tuż za nim. Moim zadaniem jest staranowanie BMW. Jak będą pięć kilometrów przede mną, wyślą sms, abym wyjechał. Drugi Mercedes czeka po prawej stronie drogi - zakończył Sahara.
- Skuć go! - rozkazał dowódca.

Po chwili w bagażówce zebrał się cały zespół uderzeniowy ABW. Dziewczyna była także. Zamieniła strój prostytutki na czarny mundur.

- Zaraz zaczynamy - zaczął dowódca. - Tutaj dwa kilometry przed nami, na prostej, ma dojść do staranowania BMW, które ma wyprzedzić Mercedesa bandytów i dać długimi światłami sygnał, że BMW jest tuż za nim. Zrobimy tak: ty Świr - wska-

zała na jednego z komandosów — wsiadasz do tira. Jak przyjdzie sms na ten telefon, ruszasz i jedziesz w miarę wolno. Jak zobaczysz Mercedesa, zajeżdżasz im drogę i walisz w nich. My jedziemy z tyłu dwoma samochodami, wyskakujemy i walimy do nich. To zawodowcy, więc nie sądzę, aby się poddali. Ty, Maja, bierzesz czterech ludzi i jedziesz do miejsca, gdzie stoi drugi Mercedes gangsterów. Jak się ruszą, walisz do nich. Pamiętajcie, to mordercy, nie miejcie dla nich litości, bo oni nie będą mieli jej dla was.

- A co ze Zderzakiem? - zapytała dziewczyna.

- Spokojnie. On ma najmniejszy problem z tym debilem. Za nim my skończymy, Tołdi będzie już zaobrączkowany.

Wszyscy połączyli prawe ręce w bojowym geście i krzyknęli:

- Naprzód!

Po chwili komandos zwany Świrem oczekiwał w uruchomionym tirze na sms. Tymczasem Maja z czterema komandosami bez trudu odnalazła drugiego terenowego Mercedesa, w którym czekało trzech bandytów, mających w razie czego dobić ofiary wypadku i pomóc przeładować ciała do karetki Tołdiego i Zderzaka. Karetka oczekiwała na leśnej drodze oddalonej o 200 metrów od miejsca zasadzki. Dziewczyna rozdzieliła ludzi tak, aby każdy siedzący w Mercedesie bandyta znajdował się na muszce, i czekała na rozwój sytuacji. W tym czasie dowódca zadzwonił do Zgody:

- Arek! Za wami jadą bandyci ciemnozielonym terenowym Mercedesem.

- Wiem, zauważyłem, że nas śledzą - odpowiedział Arek.

- Za dwa kilometry na prostej wyprzedzą was. Ty masz zwolnić i puścić ich przodem. Zobaczysz tira, którym pojedzie nasz człówek. On zajędzie im drogę i ich staranuje. Wtedy z tyłu wkraczamy do akcji. Wy skręcajcie w las i jakby coś zostawcie samochód i na glebę. Będzie gorąco! Czy to jasne? Tylko nie kozaczyć, oni są uzbrojeni po zęby. Powodzenia! — zakończył rozmowę pułkownik.

— Panowie dopnijcie kamizelki. Witek! Jak tylko nas miną, połóż się na tylnym siedzeniu, a ty odbezpiecz spluwę - powiedziało do Siarczyńskiego - i jakby co wał, nie pytaj o nazwisko. Będzie się działo! — powiedział podniecony Zgoda.

Po chwili na telefon leżący w tirze przyszedł sms. Świr rzucił okiem na wyświetlacz. Znajdowało się na nim tylko jedno słowo po rosyjsku: „Ruszaj”. Świr włączył kierunkowskaz i zaczął wyjeżdżać z parkingu. Tuż za nim ruszyły dwa Hummery z agentami ABW. Wkrótce wyruszył kolejny tir, który zablokował drogę, aby żaden inny pojazd nie mógł włączyć się do ruchu. Za nim agenci w uniformach służby drogowej ustawili świetlny znak informujący o wypadku, aby zatrzymać ruch. Mercedes bandytów wyprzedził BMW Zgody i znalazł się na prostej, gdzie miało dojść do wypadku. Dimitrij kątem oka zobaczył po lewej stronie drugiego Mercedesa ze swoimi ludźmi. W oddali ukazał się tir prowadzony, jak przypuszczał, przez Sahara. Kiedy ciężarówka znajdowała się trzysta metrów przed samochodem gangsterów, Dimitrij zaczął dawać sygnały długimi światłami. Zgoda zauważył znaki, więc zwolnił swoim BMW i czekał na rozwój wypadków. Dimitrij oczekiwał staranowania BMW przez tira, gdy nagle, ku jego przerażeniu, ten zjechał w kierunku Mercedesa i z impetem uderzył w gangsterów. Bandyci nie byli przypięci pasami, więc skutki zderzenia okazały się dla nich tragiczne. Wkrótce cała czwórka leżała ciężko ranna w zmiażdżonym samochodzie. Agenci ABW mierzyli do rannych z pistoletów.

W tym momencie ruszył drugi Mercedes. Maja wydała rozkaz i komandosi otworzyli ogień. Po chwili Mercedes zatrzymał się na pobliskim drzewie. Komandosi zbliżyli się do ostrzelanego samochodu. W środku, przez rozbite szyby ujrzeni zwłoki trzech bandytów.

W tym samym czasie Tołdi ze Zderzakiem oczekiwali w lesie w skradzionej karetkie na rozwój sytuacji. Kiedy usłyszeli odgłos zderzenia i po chwili odgłos strzałów, Tołdi od-

palił silnik karetki, włączył sygnały i zaczął wyjeżdżać z lasu na główną drogę. Ruszył w stronę widocznej ciężarówki, która staranowała samochód na drodze. Kiedy podjechali bliżej, w światłach karetki zobaczyli czarne stroje komandosów, mieżących z broni do rozbitego Mercedesa bandytów. Tołdi zaczął gwałtownie hamować. Udało mu się zatrzymać karetkę 50 metrów od wypadku. Kiedy próbował zawrócić, poczuł przy skroni lufę pistoletu.

- Na twoim miejscu baranie już bym nie kombinował - warknął Zderzak.

Po chwili Tołdi leżał skuty kajdankami, a agenci ABW przetrząsali mu kieszenie. Zderzak podszedł do pułkownika i spytał:

- Wyłowiliście Narcyza z rzeki?

- Tak. Nie martw się, kamizelka wytrzymała. Żyje, jest przytomny i zaczął już mówić. Chce być świadkiem koronnym - uspokoił go pułkownik.

- No to szefie daj mi w mordę i zasuвам do willi Frysta.

- Tylko uważaj na siebie! Tamci mogą stracić wszystko, nie cofną się ani na krok - powiedział pułkownik.

## Rozdział XXIV

Była dokładnie 14.00, gdy do leśnej rezydencji Andrzeja Frysta przybyły dwa samochody na dyplomatycznych numerach rejestracyjnych. Z pierwszego samochodu wysiadł Filip M., który oficjalnie pełnił rolę doradcy jednego z sześciu przybyłych ministrów energetyki z państw Europy Zachodniej. Gospodarz wyszedł przed dom, witając gości i przedstawiając się jako prezes spółki „N. Energia”.

Po kurtuazyjnym powitaniu goście wraz z gospodarzem spożywali obiad w sali gościnnej ozdobionej kominkiem i my-

śliwskimi trofeami, które zrobiły na przybyłych duże wrażenie. Ze ścian spoglądały wypreparowane głowy jeleni, dzików i dzikich ptaków, które zamieszkiwały tereny łowieckie gospodarza. Kiedy obiad dobiegł końca i goście zjedli deser oraz wypili kawę, gospodarz zaprosił zebranych do obszernego gabinetu, gdzie Lucjan zaproponował wszelkie trunki. Po chwili senior Fryst dał znak głową lokajowi i Lucjan opuścił pomieszczenie, zamykając za sobą drzwi. Gospodarz wziął do ręki pilota i w pomieszczeniu rozległy się dźwięki muzyki Chopina dobiegającej z ukrytych kolumn.

- Panowie! Jeszcze raz dziękuję za przybycie do mojej posiadłości i chęć odbycia ze mną rozmowy. Czy możemy prowadzić rozmowę w języku angielskim? - zapytał uprzejmie.

Wszyscy przybyli wyrazili zgodę skinieniem głów i zasiedli w skórzanych fotelach i na kanapach. Filip M. podniósł palec do góry, niczym uczeń w szkole, i zapytał:

- Czy uwzględnił pan kwestię...? - przerwał, kładąc wymownie palec na ustach.

- Ależ tak! Budynek ma specjalny system antypodsłuchowy i zagłuszający. Właśnie przed chwilą dokonałem jego uruchomienia. Jeśli pan chce sprawdzić, to niech pańscy ludzie spróbują go obejść - powiedział stanowczo gospodarz i dodał:

- Jedzenie lunchu i picie drinka nie jest jeszcze karalne, a rozmowy z prezesem firmy zajmującej się odsprzedażą energii w Unii Europejskiej tłumaczą panów obecność tutaj - mówiąc to, gospodarz otworzył drewniane pudełko i poczęstował zebranych oryginalnymi kubańskimi cygarami. Następnie wznosił toast za zdrowie gości i wspólne interesy. Kiedy atmosfera się rozluźniła, Filip M. zaproponował:

- Przejdźmy do sedna sprawy. Jako osoba pośrednicząca w temacie między zainteresowanymi stronami będę przedstawiał stanowiska stron.

- Czy przedstawił pan propozycje finansowe naszej strony? - zapytał Fryst.

- Tak. I rozmach zagadnienia. Także konsekwencje, które mogą na nie wpłynąć, każą nam dokładnie przeanalizować każdą płaszczyznę projektu z uwzględnieniem problemów, które ze sobą noszą — oznajmił Filip M. na wstępie.
- Zamieniam się w słuch — odparł przyjaźnie Fryst, w duszy wyczuwając, że nie wszystko idzie zgodnie z planem.
- Pierwszą część naszego projektu stanowi budowa zbiornika na skroplony gaz. I tutaj nasi przyjaciele widzą możliwość podjęcia szybkiej inicjatywy powstania kompleksu. Mało tego! Ze wszystkich miejsc, wskazanych przez państwa stronę, to które państwo najbardziej polecali i które znajduje się w nie dalekiej odległości, najbardziej spełnia oczekiwania tego projektu - mówił Filip M.
- Jak wiemy, możemy spotkać się ze sprzeciwem pańskiego rządu, ale argumenty „za” i nacisk polityczny z Unii przy poparciu naszych przyjaciół - wskazał ręką na pozostałych uczestników spotkania - daje nam nadzieję na przewyciężenie tego problemu w krótkim czasie.

Na twarzy Frysta pojawił się uśmiech zadowolenia. W pomieszczeniu zapanowała cisza. Filip M. postanowił skosztować odrobinę wyśmienitej whisky. Po chwili kontynuował:

- Niestety druga część projektu, czyli zakup 25% udziałów w każdej z czterech spółek, nie jest możliwy do zaaprobowania przez rządy czterech państw, które mają pakiety kontrolne w tych spółkach. Po wstępnych rozmowach wchodziłby w rachubę zakup nie więcej jak 5% udziału w każdej ze spółek - wyjaśnił Filip M.
- Dlaczego tylko 5%? - zapytał Fryst.

Filip M. spojrzał na pozostałych gości, licząc, że któryś z nich spróbuje wyjaśnić gospodarzowi zaistniałą sytuację.

- Widzi pan, każde państwo chce być uniezależnione od dostawców surowców strategicznych. Sprzedając wam 5%, każde z państw pozostawia sobie pakiet kontrolny. Jeżeli sprzedamy wam 25%, utracimy ten pakiet — wyjaśnił jeden z przybyłych.



- Panowie! Ale przecież oprócz waszych państwowych udziałów są inni udziałowcy gwarantujący przewagę nad naszymi udziałami - tłumaczył Fryst.

Zebrani wymienili spojrzenia i uśmiechy. Jeden z nich zdawał się być nieco rozbawiony:

- Niech pan nie żartuje. Kontrwywiady naszych państw wiedzą, że niektórzy z właścicieli akcji spółek przesyłowych są tylko figurantami, nad którymi macie już kontrolę. Jeżeli ktoś odda wam 25% udziału w spółce, to wkrótce wykupicie innych udziałowców. Ba, nawet oficjalnie nie będziecie tego robić, bo i tak będziecie dyktować warunki Europie - zakończył już zupełnie chłodnym tonem.

- A więc, co proponujecie panowie? - zapytał Fryst.

Goście powędrowali wzrokiem w kierunku Filipa M. „A więc wszystko uzgodnili razem” - pomyślał senior bez większego zdziwienia.

- Zebrani chcieli złożyć propozycję - powiedział Filip M.

- Słucham. - odparł Fryst.

- Załatwienie budowy zbiornika na gaz skroplony za cenę 18 milionów euro — zaproponował Filip.

- Dlaczego tak drogo?

- Unia musi wydać na budowę około 5 miliardów euro. To potworne pieniądze - wyjaśnił Filip i dodał: - Natomiast proponujemy lobbowanie na rzecz zakupu przez was 5% udziałów czterech spółek za kolejne 18 milionów euro.

Twarz Frysta poczerwieniała. Wiedział, że cena może pójść w górę, ale nie spodziewał się, że będzie to taka suma.

- Panowie wybaczą, ale muszę skonsultować się w dniu jutrzejszym z moimi przełożonymi. Jeżeli pozwolicie, to w piątek przekażę nasze stanowisko panu Filipowi — odparł Fryst chłodno. W duchu przeklinał ludzką pazerność.

Po wypiciu drinka oficjele poczęli opuszczać gabinet. Kiedy w drzwiach stał już jedynie Filip M., Fryst poprosił:

- Czy mógłbym z panem zamienić słowo?

- Ależ tak - powiedział lobbysta i zamknął drzwi gabinetu, aby pozostali uczestnicy nie słyszeli rozmowy.

- Czy pańska gaża również wzrosła? - zapytał wprost Fryst. Lobbysta uśmiechnął się, zmarszczył przekornie usta i odpowiedział bez wahania:

- Tak! Do 10 milionów euro.

- Widzi pan, że to biznes życia, a oddając kurek od gazu i ropy wam, ci ludzie - wskazał palcem drzwi - dobrze o tym wiedzą. Fryst zbliżył się do Filipa i powiedział z naciskiem:

- Wydaje mi się, że to pan podnosi poprzeczkę tak wysoko, tylko nie wiem, czy zdaje pan sobie sprawę z tego, co się stanie, gdy ją pan strąci. Drugiej próby już nie będzie. U nas w Polsce jest takie przysłowie: „Chytry dwa razy traci. Raz się przeżre, drugi raz zadławi”.

Filip M. spoważniał.

- Pan mi grozi? - zapytał.

- Ależ skąd, próbuję panu wytłumaczyć jedynie, z kim pan robi interesy.

Lobbysta popatrzył w oczy gospodarza i wzruszył ramionami:

- Nie ode mnie wszystko zależy. Inni też chcą żyć.

Fryst ukradkiem spojrzął na zegarek. Zegar wybijał właśnie 16.00. Zdał sobie sprawę, że za chwilę jego ludzie zlikwidują dziennikarza i detektywów.

- W piątek proponuję, aby pan zjawił się u mnie o 14.00. Przekażę panu odpowiedź naszej strony.

Po chwili gospodarz pożegnał gości i wszedł do domu. Maks zszedł z góry i stanął na progu gabinetu ojca.

- No i jak? - zapytał.

- Srak! - warknął Fryst i kopnął niedomknięte drzwi w gan-ku.

- Odwołaj dziwki! Następnym razem, jak tu przyjadą, zamów zarażone wszelkim paskudztwem, aby ci przemądrzalcy zamiast pierdziec w stołki, mieli zajęcie i drapali się po jajach w Brukseli! - warknął.

- Czyli nici?
- Nie wiem, czy góra zgodzi się na ich warunki. Dobra, zwijaj się, jedziemy na Białoruś. Mam dość tego dnia. - Zdjął krawat i cisnął nim o podłogę.

Po godzinie gotowy był do drogi. Maks z niecierpliwością czekał na przybycie chłopaków. Uzgodnili, że nie będą rozmawiać przez telefony komórkowe. Andrzej wyszedł przed drzwi wejściowe, kierując się w stronę samochodu. Wiedział, że wieści, które przywiezie z Polski rozzłoszczą mocodawców.

Nagle przy bramie zjawił się zakrwawiony człowiek. Fryst rzucił cygaro i podbiegł do bramy. Dopiero teraz rozpoznał zalaną krwią twarz Zderzaka.

- Co się kurwa stało? - zapytał.
- Tołdi to wtyka! Wszystkich zdjęła policja z Warszawy. Mnie wyrznął jakimś metalem w łeb. Myślał, że jestem nieprzytomny. Słyszałem, jak rozmawiał z jakimś prokuratorem, czy świadek koronny dla niego jest podtrzymany. Gość z Warszawy potwierdził. Kiedy brali mnie do karetki, wałnąłem gliniarza i sanitariusza i zwałem. - wyjaśnił Zderzak z ledwością łapiąc powietrze. Po chwili łąpczywie pił wodę podaną przez Maksa w budynku. Ręcznikiem ocierał rozbitą głowę.
- Tołdi świadkiem koronnym! - z niedowierzaniem wykrzyknął Fryst senior.
- Ja tego chuja każę oskalpować! Co jeszcze słyszałeś? - do pytywał.
- Mają z samego rana jechać szukać trupa jakiegoś dziadka, którego rąbnął Maks i zaraz pana zadrutują.
- Bierz chłopaków - rozkazał senior Fryst synowi. - Ja idę po paszporty i kasę. Jedziemy na bagna, musimy przenieść zwłoki i ukryć je gdzieś. Zadzwońię po samolot, przyleci po nas, bo inaczej jesteście spaleni - rozkazał.

Po paru minutach dwa terenowe Mercedesy gnały leśnymi drogami. W jednym znajdowało się czterech gangsterów ze Wschodu, w drugim siedział Maks, Andrzej i ranny Zderzak.

- Co ze mną? - zapytał Zderzak.

- Tutaj jesteś spalony, polecisz z nami - odparł Andrzej.

Minęło czterdzieści minut, gdy samochody dotarły na teren bagien. Fryst został z jednym z ochroniarzy przy samochodzie. Pozostali trzej wraz z Maksem i Zderzakiem wyciągnęli ponton i ruszyli przed siebie. Maks przyświecał wielką latarką, w drugiej ręce trzymał hak na długim kiju, używany kiedyś do rozbijania lodu. Z tyłu podążał Zderzak z trzema ochroniarzami niosącymi ponton. Dotarli wreszcie do bagien. Maks ze Zderzakiem weszli do pontonu i po dziesięciu minutach wiosłowania znaleźli się w rejonie, gdzie podmokły teren zmieniał się w bagno.

- To tam - powiedział Maks, wskazując latarką oczko wodne wśród bagien. Dotarcie do oczka wodnego zajęło im około kwadransa.

- Nie dało się gdzieś bliżej? - zapytał Zderzak.

- Właśnie dlatego tu, bo jest tak zajeźbicie trudno tu dotrzeć - powiedział Maks, który był już cały ubabrany błotnistą mazią. Zderzak zaczął penetrować hakiem dno oczka. Po pewnym czasie zaczęli o jakiś przedmiot.

- Coś jest - powiedział.

Następna próba udała się i wkrótce zaczęli wyciągać na powierzchnię znaleziony czarny worek. Mężczyźni chwycili za jego końce i wrzucili do pontonu. Z worka buchnął straszny fetor. Maks zaczął wymiotować, a Zderzak z trudem się powstrzymywał. Przez następny kwadrans przebijali się w kierunku wody, skąd mogli już wiosłować do brzegu. Po dziesięciu minutach dobili do brzegu. Trzej Rosjanie wzięli ponton ze zwłokami i ruszyli w kierunku samochodu. Kiedy znaleźli się w odległości dwudziestu metrów od auta, ujrzeni Andrzeja, który stał z ochroniarzem opartym plecami o maskę samochodu.

- Macie? - zapytał Fryst.

- Tak - odparł Maks i zapytał: - Gdzie go zakopać?

- Samolot przyleci za dwie godziny. Mamy czas, idźcie o kilometr stąd, wykopcie głęboki dół i jak już go zakopiecie, to dobrze zamaskujcie. Masz tu kanister z benzyną, polej grób i teren wokół. Psy zgłupieją od zapachu benzyny - rozkazał Fryst.

Kiedy trzech ochroniarze odeszli wraz z Maksem i Zderzakiem na odległość 50 metrów od samochodu, nagle rozbłysnęły światła reflektorów. Mężczyźni stali oświetleni niczym w dzień. Przez megafon rozległ się męski głos:

—Fryst! Jesteś otoczony. Jeżeli ktoś z was otworzy ogień, będziemy strzelać! Rzućcie spluwy i z rękoma w górze podejdźcie do nas.

Trzej Rosjanie, niosący ponton ze zwłokami, rzucili się do ucieczki w stronę bagien. Maks chciał uczynić to samo, ale Zderzak skoczył mu na plecy, przewrócił i błyskawicznie wyrzwał pięścią w twarz. Następnie, przewracając go na brzuch, skuł mu ręce z tyłu. Po chwili usłyszeli głos seniora Frysta:

- Maks, gdzie jesteś?

Ale Maks miał zakneblowane usta i był ciągnięty do tyłu przez Zderzaka w kierunku świecących lamp.

—To ja! Nie strzelać! - wrzasnął Zderzak i po chwili znaleźli się w rękach komandosów. Zderzak założył kamizelkę kuloodporną, hełm i poinformował: - Uciekają na bagna. Fryst ma mieć jakiś samolot za dwie godziny.

Komandosi zbliżali się tyralierą w stronę bagien. Tymczasem troje bandytów, niosących ponton, postanowiło przebiec się przez tyralierę na brzegu. Jeden z nich odbezpieczył granat i cisnął w policjantów. Rozległ się wybuch. Czterech policjantów znajdujących się najbliżej zostało poważnie ranionych. Bandyci wstali i ruszyli, aby sforsować linię. Nie spodziewali się, że pułkownik, dbając o zabezpieczenie akcji, podzielił podwładnych na dwie linie na wypadek przełamania pierwszej

z nich. Kiedy granat wybuchł, funkcjonariusze drugiej linii padli na ziemię. Nikt z nich nie został ranny. Dzięki noktowizorom widzieli wyraźnie trójkę przestępców szturmujących pierwszą linię. Wkrótce sześciu funkcjonariuszy wzięło na cel zbliżających się bandytów.

- Ognia! - wydał rozkaz dowódca komandosów i po chwili sześć peemów zasypało gradem pocisków trójkę bandytów. Dwóch zginęło na miejscu, a trzeci zmarł w drodze do szpitala.

Tymczasem Andrzej wraz z jednym z Rosjan wzięli pieniądze, które przeładowali do dwóch plecaków, i ruszyli w stronę bagien. Za nimi ruszyły psy tropiące. Senior zdawał sobie sprawę, że Maks został schwytany. Wiedział, że w śledztwie będzie zwał całą winę na niego. Musiał za wszelką cenę przejść przez bagna. Brnął wraz z Rosjaninem w czarnej mazi. Przewracał się i potykał, ale szedł naprzód. Za nimi rozległ się wybuch, a po chwili usłyszeli strzelaninę. Potem nastąpiła cisza i odgłos karettek pogotowia.

Zderzak kazał wyciągnąć zwłoki z pontonu i razem z pułkownikiem oraz Mają ruszył w stronę bagien.

- Dowódco, każ oświetlić teren - poprosił.

Po chwili dziesięć reflektorów przeszło ciemności bagien.

- Tam na prawo, sto metrów przed nami - Zderzak wskazał kierunek, gdzie dwóch mężczyzn brnęło przez bagna.

Po przewiosłowaniu 50 metrów musieli wyskoczyć do bagna i dalej poruszać się w cuchnącej mazi. Nagle rozległ się strzał i nad ich głowami świsnęła kula. Pułkownik wystrzelił racę oświetlającą i w jej blasku ujrzeli uciekinierów, z których jeden mierzył do nich z pistoletu. Cała trójka, jak na komendę, przywarła do błota i zaczęła strzelać w stronę bandyty z automatów. Bandyta chciał uciekać, ale miał pecha, gdyż jedna z serii dosięgła go. Runął martwy w bagno.

Dało to Frystowi chwilę na oderwanie się od pościgu. Trafił na suchą część bagien, zaryzykował i ruszył w kierunku brzegu. Szczęście mu sprzyjało, udało mu się wyjść z bagna

w nieobstawioną przez policję część lasu. Po dwóch minutach uciekał leśnym duktem przed pościgiem. Wiedział, że przepała część pieniędzy, ale nie było to przecież jego winą. W myślach zwał winę na Filipa M.

Tymczasem komandosi, brnąc dalej bagnem, nie zauważyli, że ścigany już je opuścił. Po jakiejś godzinie Zderzak pułkownik i Maja przez krótkofalówki zmieniali kierunek obławy. Fryst podążał w kierunku wschodnim. Do odlotu samolotu pozostało około pół godziny, a do pokonania miał 3 kilometry. Gdy dotarł na leśne lotnisko, zobaczył na nim mały sportowy samolot. Pilot zdziwił się, że mężczyzna jest sam i że przybiegł pieszo.

Zziajany Fryst rozkazał:

- Startuj! Nie lecimy na Białoruś, bo nad granicą nas zestrzela. Lecimy w okolice Warszawy - rozkazał. Fryst senior wiedział, że cała Straż Graniczna była już postawiona na nogi. Jeżeli poleciliby w stronę granicy, niechybnie zostaliby zestrzeleni. Jednak tak się nie stało.

\*\*\*

Zderzak wyciągnął zabitego Rosjanina z bagna. Kiedy zdjął jego plecak i go rozsunał, ich oczom ukazały się banknoty o nominale 500 euro poukładane w paczki.

- Kurwa, jak on mógł zwiać?! - zapytał pułkownika Zderzak.

- Spokojnie! Przetrzęsniemy teren, może go capniemy - odparł dowódca.

- Mamy rannych? - zapytała Maja.

- Tak, czterech. Na szczęście dostali tylko w kończyny. Kamizelki wszystko przyjęły, wyliżą się - odparł pułkownik.

Zderzak podszedł do Maksa. Ten spojrział na niego z wściekłością.

- Jesteś pieprzonym kundlem!

- Jestem, a ty wielki gangsterze, jesteś głupi i pusty jak beczka

po śledziach - oświetlił krocze bandyty. - Złałeś się bohaterze! Maks spuścił głowę.

- No za tego dziadka możesz nie wyjść na wolność - powiedział Zderzak.

Po chwili gdzieś w oddali usłyszeli ryk silnika startującego samolotu.

- Orzeł do bazy. To Fryst - podał pułkownik przez krótkofalówkę. - Uważajcie, może leci do granicy.

- Widzisz! Mój stary wam nawiał. Zatrąszy się o dobrego adwokata. Długo nie posiedzę - zaśmiał się Maks. - Zapomniałem ci powiedzieć, ale lecę się psychiatrycznie. - Zaczął się śmiać histerycznie.

Zderzak podszedł do Maksa i wymierzył mu silny cios w żołądek.

- Trochę powagi śmieciu. Tu są zwłoki bogu ducha winnego człowieka zabitego przez was, a także czterech rannych moich kumpli! - warknął.

Maks zakrztusił się po ciosie i uspokoił. Wiedział, że Zderzak nie żartuje i może się to skończyć dla niego bolesnym łomotem.

Tymczasem w Zajeździe w B. przesiadywał Oskar Golonka, sącząc kawę. Nagle na jego twarzy pojawiło się przerażenie. Zobaczył wchodzących do restauracji Zgodę, Padowskiego i Siarczyńskiego. Błyskawicznie wstał, wyjął telefon i ruszył w stronę ubikacji. Po drodze zaczął rozkładać telefon, aby wyjąć z niego kartę. Już otworzył drzwi ubikacji, kiedy jak z podziemi wyrosli funkcjonariusze ABW, krzycząc: Na glebę! Kładź się na glebę!

Oskar Golonka, nie zwracając na nich uwagi, wyjął kartę i już miał ją zniszczyć, gdy otrzymał potężne uderzenie pięścią



w nerki od Siarczyńskiego. Runął na podłogę. Jacek wyciągnął mu z ręki kartę telefoniczną, przygniótł kolanem i powiedział przez zaciśnięte zęby:

- Ty kurwa, chyba nie masz immunitetu, pajacu jeden.
- Żądam adwokata! Nie będę z wami gadał! - zaczął krzyczeć Golonka, przypominając sobie radę brata.

Po chwili skutu w kajdankach został wyprowadzony na zewnątrz Zajazdu.

- Co teraz? - zapytał Zgoda.
- Teraz musimy odnaleźć szanowanego obywatela miasta, który otrzymał do przechowania list i młotek, którym Tołdi zabił szwagra Marchewki.
- Kto to może być? - dedukował Zgoda.
- Mam pomysł. Przyjedziemy tutaj w niedzielę. Musimy być przed jedenastą - powiedział Padowski.

## Rozdział XXV

Samolot z Frystem na pokładzie wylądował na prywatnym lotnisku pod Warszawą. Kiedy wyhamował i skończył kołować, pilot otworzył kabinę. Fryst podał mu plik pieniędzy.

- Za to, co zrobiłeś, masz 20 tysięcy euro, ale musisz coś jeszcze dla mnie zrobić.

-Co?

- Musisz być gotowy, aby wywieźć stąd mnie i mojego syna - powiedział Fryst.

- Skąd mam go zabrać? - zapytał pilot.
- Spokojnie, wszystkiego się dowiesz. Na razie jest w więzieniu, ale uwolnię go. Jak wywieziesz nas z Polski dostaniesz 100 tysięcy euro - zaproponował Fryst.

Po chwili na lądowisko podjechało terenowe Audi Q7. Wysiadł z niego elegancki mężczyzna.

- Co ty, kurwa, Andrzej? Kapałeś się w szambie? — zapytał na widok Frysta.

- Tak kurwa, żebyś wiedział, że w szambie. Jedziemy! - rozkazał i bezczelnie wpakował się z plecakiem do samochodu.

Po godzinie, wykąpany, w pożyczonym dresie, pił drinka w willi swego przyjaciela Zenona Białego.

- Co planujesz dalej? - zapytał Zenon.

- Skontaktujesz mnie z generałem D. Tylko jak najszybciej - rozkazał.

- Na razie w telewizji nic o tobie nie mówią - stwierdził Zenon.

- Porządkują papiery. Pojedziesz jutro do mecenasa Trąbskiego i powiesz, że rano ma się dowiedzieć, gdzie jest mój syn. Dasz mu 25 tysięcy euro, ma jechać do aresztu i zapewnić go, że będzie go bronił - Fryst łyknął następny łyk whisky i dodał:

- Ma mu powiedzieć takie słowa, zapiszę ci na kartce.

- Chcesz go zamknąć w psychiatryku? - kombinował Zenon.

Fryst potakująco kiwnął głową:

- Dobrze dedukujesz! Pierwszy krok to umieścić go w psychiatryku, drugi to znalezienie ludzi, którzy go wyciągną. Zadzwoń do generała D. Muszę jutro z nim pogadać.

Rano Zenon pojechał do kancelarii mecenas Trąbskiego. Nie korzystał z telefonu komórkowego, gdyż Fryst mu tego zakazał. O 8.15 w kancelarii pojawił się Remigiusz Trąbski, właściciel znanej kancelarii prawnej, której oddziały znajdowały się w większych miastach Polski. Kiedy zobaczył Zenona, uśmiechnął się. Wiedział, że Biały pośredniczy w kontaktach z „grubymi rybami” półświatka i nie zajmuje się drobnymi sprawami.

- Witam mecenasie, musimy pilnie porozmawiać — poinformował Zenon.

- Zapraszam do gabinetu - uśmiechnął się mecenas Trąbski, otwierając drzwi przed gościem.

Po chwili siedzieli w gabinecie popijając kawę podaną przez sekretarkę.

— Sprawa wymaga natychmiastowego działania. Zależy mi,

aby pan ustalił, gdzie przetrzymywana jest ta osoba - mówiąc to, Zenon podał kartkę z zapisanym nazwiskiem.

Mecenas westchnął głęboko.

—Mam reprezentować tego człowieka, więc muszę wiedzieć, o co jest oskarżony - stwierdził.

—Nie musi pan na razie wiedzieć, ale musi pan zrobić wszystko, aby umieścić go ... — podał adwokatowi następną zapisaną kartkę.

Mecenas przeczytał i pokiwał głową.

—Ale to może zająć trochę czasu — dodał.

—Wiem, ale dzisiaj musi pan się pojawić w areszcie i przekazać mu te słowa - powiedział Zenon, podając kolejną kartkę.

—To wystarczy? — zapytał z niedowierzaniem mecenas.

—Klient zacznie zachowywać się co najmniej dziwnie. Jutro będzie wniosek o areszt. Prokuratura wystąpi o trzymiesięczny areszt. Pana zadanie to umieścić go jak najszybciej w tym miejscu — powiedział Zenon i wskazał palcem na drugą kartkę. Mecenas skinął głową, że rozumie zadanie i zapytał:

—A moje wynagrodzenie?

Zenon wyjął walizkę, otworzył ją i podał adwokatowi 25 tysięcy euro.

—Jeżeli będzie musiał pan go bronić, to proponujemy wynagrodzenie trzy razy tego, co pan otrzymał dzisiaj - wyjaśnił.

Mecenas pokiwał głową.

—Jak będziemy się kontaktować? — zapytał.

—Na razie nie będziemy się kontaktować — odparł Zenon, podając mecenasowi telefon komórkowy na kartę. — Wyśle pan z niego jedną wiadomość na ten numer, jeżeli klient znajdzie się tam, gdzie ma się znaleźć. Potem pozbędzie się pan aparatu. Mecenas pokiwał głową na znak, że akceptuje warunki.

—Niech pan rusza! Musi pan jak najszybciej ustalić w jakim areszcie znajduje się ten człowiek - rozkazał Zenon, po czym pożegnał się i wyszedł.

Po powrocie do willi Zenon właśnie zdawał Frystowi relację ze spotkania z mecenasem Trąbskim, gdy pod bramę podjechało białe Porsche Cayenne na warszawskich numerach. Zenon otworzył bramę:

- Wyczuł kasę i przybiegł jak pies do kości - skomentował, wyjaśniając natychmiastowy przyjazd generała D., któremu zostawił wiadomość w biurze raptem dwie godziny temu.

Do domu wszedł łysawy mężczyzna, lat około sześćdziesięciu, w eleganckim garniturze i ze złotym zegarkiem na ręku. Okulary z grubymi oprawkami dodawały mu powagi. Ktoś, kto pierwszy raz widział owego człowieka, nie wiedząc, czym się zajmuje, wziąłby go za profesora akademickiego. Lecz jego profesja nie miała nic wspólnego z działalnością naukową. Kiedy wszedł do domu Zenona i ujrzał Andrzeja Frysta, uśmiechnął się. Po przywitaniu gospodarz zaproponował drinka, ale przybysz odmówił stanowczo i przeszedł do konkretów:

- Słyszałem, że grunt się pod panem pali! Polują na pana jak na zwierzynę łowną.

Fryst spojrział na niego, potem przeniósł wzrok na Zenona, dając mu do zrozumienia, że chce zostać z gościem sam na sam. Po wyjściu Białego generał usiadł w fotelu, założył nogę na nogę i zaczął przyglądać się końcom swych paznokci, jakby ignorował Frysta.

- Poprosiłem o spotkanie z panem, gdyż jest pan jedyną osobą, która może mi pomóc. A właściwie to mojemu synowi - wyjaśnił senior. Generał nadal się nie odzywał. Fryst kontynuował:

- Mój syn jest w areszcie. Zrobimy wszystko, aby skierować go na obserwację psychiatryczną. Adwokat, który się dzisiaj z nim spotka, przekaże mu wiadomość o linii obrony. Jeżeli trafi do zamkniętego zakładu psychiatrycznego, chciałbym, aby zorganizował pan jego uwolnienie.

- Nieźle pan to wykombinował - powiedział generał.

- Czy podjąłby się pan organizacji i przeprowadzenia tej operacji?

Generał omiół salon spojrzeniem i zapytał od niechcienia:

- A ile szanowny pan zamierza przeznaczyć na tę operację?
- A ile pan generał życzy sobie za nią?

Generał zamyślił się.

- Milion.
- Milion złotych? - zapytał Fryst.
- Ależ... - uśmiechnął się generał. — Milion euro.
- Pięćset tysięcy - próbował targować się Fryst.

Generał pokręcił głową i wstał z fotela.

- Przykro mi, niech pan szuka pomocy u kogo innego.
- Spokojnie! Niech pan siada - uspokajał mężczyznę Fryst.
- Targować to pan się może o jabłka na bazarze. Obaj wiemy, co grozi pańskiemu synowi i panu! Pięćset tysięcy euro teraz, pięćset tysięcy po uwolnieniu syna. Płatne człowiekowi, który go przywiezie. I to są ostateczne warunki, nie podlegające negocjacji.

Fryst zaczął nerwowo uderzać lekko ręką o skórzane obicie fotela, na którym siedział.

- Widzę, że nie mam wyboru — powiedział zdenerwowanym głosem.
- Ma pan! Może pan poczekać na syna 25 lat, bo to chyba najmniejsza kara, jaką może dostać.

Fryst wstał i ruszył do półki. Odliczywszy 500 tysięcy euro położył je przed generałem. Ten wziął pieniądze i zaczął przeliczać paczki.

- Niech pan idzie do Zenka po reklamówkę. Nie będę tej kasy w zębach nosił - rozkazał generał.

Po chwili Fryst stał z torbą podrózną i czekał aż generał skończy liczyć.

- Może liczkę? Zenon może przynieść - zaproponował.
- Nie, liczenie pieniędzy sprawia mi nieopisaną radość - wyjaśnił generał i liczył dalej.
- Mam do pana prośbę! Czy w ramach tej kwoty nie załatwił-

by pan paszportów oraz dowodów dla mnie i syna? - zapytał Fryst.

Generał spojrział rozbawiony, roześmiał się i wypalił nieprzyjemnie:

- Trzyma pan w szafce parę baniek euro i pierdoli mi pan o dorzuceniu paszportów gratis! A co to kurwa, promocja butikowa?!

- Dwa paszporty, dla mnie i dla syna, najlepiej niemieckie, ale pewne.

- Dobra! 50 tysięcy euro teraz, 50 tysięcy gościowi, który przywiezie pańskiego syna. No chyba, że chce pan lipę na bazarze? Nawet po tysiąc euro już proponują. Tylko, że pierwszy lepszy policjant was zamknie. Do paszportów macie prawo jazdy, dowody tożsamości i możemy wyrobić wam niemieckie karty łowieckie - zaśmiał się generał.

Fryst podszedł do szafy, otworzył ją, odliczył 50 tysięcy euro i podał bez słowa generałowi. Ten przeliczył pieniądze i schował je do torby.

- Zenon przyjedzie do biura Firmy Ochroniarskiej i powie mi, gdzie znajduje się pana syn. W ciągu trzech dni po umieszczeniu go w psychiatryku uwolnimy go i dostarczymy panu. Tylko jakby co, nigdy w życiu nie widzieliśmy się i się nie znamy! Chyba, że zamiast balować na wolności z synem, chce pan urządzić mu pogrzeb - poinstruował seniora generał i wyszedł bez podania ręki.

Fryst wiedział, że generał nie kłamie.

## Rozdział XXVI

Była godzina 10.30, niedziela, kiedy Padowski ze Zgodą i Siarczyńskim zaparkowali samochód przed kościołem w S. o jedenastej miała zacząć się suma. Padowski wraz z przyjaciółmi ruszył do kościoła. Po chwili byli w zakrystii i stali w kolejce do proboszcza, który ustalał z wiernymi intencje mszalne i ich terminy. Kiedy wszyscy parafianie wyszli i w zakrystii został jedynie proboszcz z wikarym i ministrantem, Padowski rozpoczął rozmowę:

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Czy ksiądz prałat Gwóźdź dzwonił do księdza proboszcza wczoraj?

- Atak, na wieki wieków — odpowiedział proboszcz. - Pan jest tym dziennikarzem? Czytam pana felietony.

- To świetnie! Mam prośbę. Chciałbym na zakończenie mszy świętej zaapelować z ambony do parafian w pewnej sprawie, która może jednemu z parafian uratować życie - wyjaśnił Padowski.

- Ale ta sprawa nie ma nic wspólnego z polityką? - zapytał proboszcz.

- Nie! Raczej z sumieniem ludzkim - odparł Witek.

- Dobrze, na początku mszy powiem, że chce pan poprosić parafian o pomoc - powiedział proboszcz. - A na koniec mszy zapraszam na ambonę.

Kiedy wyszli z zakrystii Siarczyński, uśmiechając się zapytał:

- Jak myślisz, czy proboszcz może wiedzieć, o co chodzi?

- Myślę, że nie, ale lepiej zrobić to spokojnie, aby nikogo nie wystraszyć — powiedział Padowski.

Po godzinie suma dobiegała końca. Proboszcz parafii w S., zgodnie z zapowiedzią, poinformował parafian o tym, że znany dziennikarz chce zaapelować o pomoc w bardzo poważnej sprawie. Witek z Arkiem i Jackiem zajęli miejsca w pierwszej ławce. Wszyscy z obecnych w kościele, którzy podchodzili do

komunii, spoglądali na nich z zainteresowaniem. Po okolicy rozeszła się wieść o akcji ABW i aresztowaniu młodszego z Frystów, Toldiego, notariusza Golonki i gangsterów. Kiedy proboszcz zakończył mszę, dał znak ręką, aby Padowski podszedł do ambony.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - rozpoczął Witek.  
- Nie będę zabierał państwu czasu w niedzielę, więc przejdę od razu do rzeczy. Na pewno słyszeliście o ostatnich wydarzeniach w okolicy i aresztowaniu groźnych przestępców. Co prawda jeden z nich umknął, ale mam nadzieję, że niedługo dołączy do syna i gangsterów w więzieniu. Prowadzę dziennikarskie śledztwo i w jego trakcie dowiedziałem się, że niewinny człowiek, leśniczy, od 10 lat siedzi w więzieniu za zabójstwo, którego nie popełnił. Wiem, że świadek, który go obciążył, kłamał. Przed śmiercią miał wyrzuty sumienia i zdeponował u szanowanego obywatela miasta prawdziwe narzędzie zbrodni, którym jeden z gangsterów zabił szwagra leśniczego. Wiem, że napisał list, w którym wyznał prawdę - mówił Padowski. I zaapelował: - Proszę osobę, która ma te rzeczy, o przekazanie ich. Ten ktoś nie musi się ujawniać. Niech przekaże te rzeczy księdzu proboszczowi i zostawi je na parafii. Niewinny człowiek siedzi w więzieniu za coś, czego nie zrobił. Człowiek, któremu gangster porwał i zabił córkę. Myślę, że lada dzień poznacie państwo prawdę, a ludzie, którzy stworzyli sobie w S. prywatne miasto, odpowiedzą za to przed niezawisłym sądem. Dziękuję. Szczęść Boże - zakończył Padowski.

Po mszy podszedł do proboszcza.

- Dziękuję księdzu — powiedział.

- Panowie! Zapraszam na niedzielny obiad - zaproponował ksiądz.

- Ależ nie chcemy robić kłopotu - powiedział dziennikarz.

Ksiądz spojrział wymownie i z naciskiem w głosie ponowił za prośbienie:

- Nalegam i proszę, abyście przyjęli zaproszenie.



Przyjaciele spojrzeli na siebie porozumiewawczo, a Siarczyński zażartował:

—A ma proboszcz tyle jedzenia, żeby starczyło dla wszystkich?

—Jakoś damy radę — roześmiał się kapłan.

Usiedli w niewielkiej jadalni na plebanii i jedli tradycyjny, polski obiad niedzielny, składający się z rosółu, schabowego z ziemniakami i zasmażanej kapusty. Kiedy skończyli, gospodyni księdza podała ciasto i kawę. Padowski spojrział przez okno.

—Liczyłem, że ktoś zobaczy, że zostaliśmy i przyjdzie albo podrzuci coś - rzekł zawiedziony.

Proboszcz wstał, zamknął drzwi prowadzące do kuchni i, kiedy zostali sami, otworzył kluczem szafę stojącą w rogu. Po chwili postawił pudełko wraz z kopertą na stole.

—Tego szukacie? - zapytał. Mężczyźni oglądali ze zdziwieniem wyciągnięte rzeczy. Zgoda już miał zapytać, kiedy proboszcz uprzedził pytanie. - Byłem zobowiązany tajemnicą spowiedzi. Testament nieboszczyka mówił wyraźnie, że mogę to przekazać ludziom w stu procentach uczciwym, którzy wykorzystają to, by dowieść prawdy, w momencie gdy wpływy rodziny Frysta zmaleją na tyle, że będzie to możliwe - wyjaśnił proboszcz.

Kiedy wyszli już z plebanii, Zgoda wyjął telefon i zadzwonił do pułkownika:

—Szefie, mam coś, co pana zainteresuje. Za trzy godziny będziemy w Białymstoku.

Była godzina 11.00, gdy w areszcie śledczym w Białymstoku do sali przesłuchań wprowadzono Tołdiego. Kilkudniowe przesłuchania nie przyniosły do tej pory żadnych rezultatów. Bandyta nie chciał zeznawać. Po postawieniu zarzutów prokurator wystąpił o trzymiesięczny areszt. Sąd nie miał żadnych wątpliwości i przestępca najbliższe trzy miesiące miał spędzić w areszcie. Tołdi siadł na krześle przy stole i tępo patrzył przed siebie. Układał już odpowiedzi dla przesłuchujących go śledczych z ABW i prokuratora, gdy drzwi się otworzyły, sta-

nał w nich elegancki mężczyzna, lat około czterdziestu, w granatowym garniturze, znany gangsterowi z telewizji. Tołdi rozdziawił usta z wrażenia. Mężczyzna dał znak policjantowi w pomieszczeniu i zostali sami.

- Zdziwiony moim widokiem? - zapytał przybysz.

Tołdi pokiwał przytakująco głową.

- Przejdę do rzeczy! Tylko zanim kolejny raz zaczniesz gadać, że więzienie to twój drugi dom, chciałbym, abyś czegoś wysłuchał, bo drugi raz propozycji ci nie złożę - powiedział poważnie przybysz.

- Zamieniam się cały w słuch - odparł z ironią w głosie Tołdi. Przybysz przesunął komputer tak, aby gangster też widział ekran. Wsunął pendriva i po chwili dało się słyszeć podsłuchaną i utrwaloną rozmowę Andrzeja Frysta z synem. Kiedy padły słowa o konieczności pozbycia się Tołdiego i zabicia go na Białorusi, mina gangstera zmieniła się diametralnie.

- Może pan puścić jeszcze raz ten kawałek? - poprosił gangster. Gdy wysłuchał nagrania, wycedził przez zaciśnięte zęby:

- To skurwiel! Taka zapłata za lata wierności!

- To nie wszystko - powiedział przybysz i puścił jeszcze dwa urywki rozmów. W pierwszym Fryst senior proponował warunki pracy Zderzakowi i mówił o konieczność wyjazdu Tołdiego do ciepłych krajów. W czasie drugiej rozmowy senior wykrzykiwał, że postara się, aby Tołdi w więzieniu został oskalpowany.

- Te ciepłe kraje i hotel proponował ci faktycznie czy użył przenośni i miał na myśli tego gościa od wypalania drewna na Białorusi? - zapytał przybysz i wstał od stołu.

Tołdi siedział z czerwoną twarzą. Widać było, że bardzo przeżywa nielojalność szefa. Przybysz rozwiązał papierową teczkę i wyjął zdjęcia, które podał Tołdiemu. Ten popatrzył na fotokopię listu oraz zdjęcia młotka ubrudzonego krwią.

- Złożę ci jedną propozycję i dam ci kwadrans do namysłu. Za chwilę ujrzysz swojego przyjaciela Godzillę, który skorzy-

stał z naszego programu w zamian za złożenie wyczerpujących i prawdziwych zeznań. Prokurator zażądał dla niego 10 lat więzienia, po siedmiu wyjdzie na wolność i będzie mógł wyjechać do brata do Anglii - powiedział spokojnie przybysz.

- Co pan proponuje? — zapytał niepewnie Tołdi.

- Za morderstwo tego człowieka, w które wrobiliście leśnika, prokurator, jeśli złożysz obszernie, prawdziwe zeznania, zażąda 25 lat więzienia z prawem ubiegania się o zwolnienie po 15 latach. Masz 42 lata, a więc czasu niewiele. A tak, wyszedłbyś w wieku 57 lat. Jeżeli będziesz zgrywał chojraka, przybijemy ci zatrucia metylowe i nigdy nie opuścisz więzienia. Do końca życia będziesz żałował rzeczy, które zrobiłeś — powiedział przybysz.

- Ale tych ludzi truli ci ze Wschodu! O tym decydował Maks!

- wykrzyczał Tołdi.

- Powtarzam! 25 lat za wyczerpujące zeznania i wskazanie, gdzie są zwłoki córki leśniczego - powiedział twardo przybysz. - Jeżeli się zgodzisz, dołączysz do kolegi, który odsiaduje w Piotrkowie. To więzienie ma pięć gwiazdek, ale pamiętaj, jeżeli będziesz głupi, załatwię ci ciężki oddział w Sztumie - za kończył przybysz i uruchomił laptopa.

Po chwili Tołdi w kancerce zobaczył Godzillę w pomarańczowym, więziennym kombinezonie.

- Mariusz, to ty? - zapytał Tołdi.

- Siema, to ja - odparł Godzilla.

- Czy mogę zaufać temu gościowi? - zapytał Tołdi.

Godzilla skinął przytakująco głową i odparł:

- To twoja ostatnia szansa. Jeżeli odmówisz, zadrutują cię na amen, a Piotrków to hotel, a nie cuchnący, śmierdzący kibel jak Sztum - wyjaśnił.

Przybysz wyłączył laptopa, pochylił się nad Tołdim, spojrział mu w oczy i oznajmił:

- Masz piętnaście minut! Zabrał laptopa oraz zdjęcia i wyszedł z pokoju.

\*\*\*

Następnego dnia komandosi z ABW z ekipą ekshumacyjną przyjechali na bagna w okolice S. Prokurator przed kamerą rozpoczął wizję lokalną. Z jednego z samochodów wyszedł Tołdi ubrany w nowy, pomarańczowy kombinezon, z kajdankami na rękach i nogach. Dodatkowo jeden z komandosów założył mu na szyję obrozę przymocowaną do swojej ręki, dzięki czemu więzień był pod całkowitą kontrolą. Po rozpoczęciu wizji lokalnej Tołdi wprost do kamery powiedział:

- 12 lat temu pomagałem Andrzejowi Frystowi ukryć zwłoki na bagnach. Po tym, jak kłusownik zobaczył, że wyrzucamy zwłoki z Frystem, rozniosło się to po okolicy i dlatego wyłowiliśmy te zwłoki i przenieśliśmy je w to miejsce, odległe o dwa kilometry od poprzedniego miejsca.

Wkrótce ekipa ekshumacyjna przystąpiła do pracy. Po wybraniu ziemi, na głębokości dwóch metrów znaleziono szkielet dziewczyny, resztki czarnego worka i sznurka, którym związana była ofiara. Tołdi opowiadał ze szczegółami o zdarzeniach sprzed 12 lat. Prokurator dopytywał:

- Czy podejrzanemu wiadomo coś na temat innych zwłok ukrywanych przez poszukiwanego Andrzeja Frysta?

- Tak. Jak wybuchła afera z córką leśnika pomagałem odkopać dwa ciała z rogu działki, które znajdowały się w rozkładzie

- wyjaśnił Tołdi. - Wykopałem je z Frystem i przeniosłem do leśnej mogiły znajdującej się około półtora kilometra od tego miejsca. Postaram się wskazać to miejsce. Z tego, co wiem, osoby te zostały porwane i zamordowane przez Andrzeja Frysta.

## Rozdział XXVII

Była 13.00, kiedy w areszcie w Białymstoku pojawił się mecenas Trąbski. Po okazaniu pisemnego upoważnienia, podpisanego przez Maksymiliana Frysta, a datowanego na siedem dni wcześniej, zażądał widzenia z klientem. Po godzinnym oczekiwaniu został zaprowadzony do pokoju widzeń z zatrzymanymi. Po kwadransie wprowadzono aresztanta ubranego w pomarańczowy kombinezon. Mecenas pokazał upoważnienie i poinformował Maksa, pokazując podpisane upoważnienie:

- Będę pana reprezentował. Tydzień temu upoważnił mnie pan do tego na piśmie. - Maks rzucił okiem i nie odzywał się, gdyż obaj wiedzieli, że są podsłuchiwani i podglądani. Usiedli przy stoliku. Mecenas zaczął mówić do aresztanta powoli i dobitnie:  
- Razem udowodnimy bezsensowność... - na chwilę przerwał, jakby szukał w myślach odpowiedniego słowa, po czym wolno kontynuował: — wymyślonych argumentów. Razem inaczej analizujemy, tworzymy argumenty.

Maks popatrzył na niego i po chwili wybuchnął histerycznym śmiechem. Przerwał nagle i rzucił się na mecenasa, chwycił go za szyję i ugryzł w ucho.

- Pomocy! - zaczął krzyczeć mecenas.

Po chwili Maks leżał przewrócony przez strażnika na podłogę, wykrzykując:

- Ja ci kurwa dam argumenty, zajebię cię ty wredna papugo!

- krzyczał jak opętany.

Po chwili mecenas siedział w pokoju prokuratora.

- Nic się panu nie stało, mecenasie? - zapytał prokurator.

- To świr, trzeba go odizolować w psychiatryku! - krzyczał przestraszony mecenas. — Chciał mnie pogryźć!

Po godzinie Frystowi juniorowi postawiono zarzuty, a po następnej odbyła się rozprawa dotycząca zatrzymania Maksa w areszcie. Po wprowadzeniu do sali sądu przez agentów

ABW Maks, na widok mecenasa Trąbskiego, dostał białej gorączki.

—Ty śmieciu! Jak wyjdę zdechniesz, każę cię wypatroszyć, po siekam na kawałki, a potem będę wpierdalał jak tatarą.

Sędzia bezskutecznie próbowała uspokoić podejrzanego. Maks spojrział na nią groźnie i zaczął krzyczeć:

—Ciebie kurwo też wypatroszę i zjem kawałek po kawałku.

Próbował też pogryźć pilnujących go strażników, ale został po walony. Mecenas Trąbski wstał i powiedział:

—Wiem, że areszt dla mojego klienta jest bezsporny, ale wnioskuję o przebadanie go w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym. Przed chwilą omal mnie nie zagryzł - mecenas pokazał sądowi pogryzione ucho zaklejone plastrem.

Maks nie przestawał szaleć i krzyczał:

—Czy wy kurwa wiecie, jak wspaniałe jest surowe mięsoludzie?! - wykrzykiwał.

Sędzina nakazała wyprowadzenie go z sali. W chwili kiedy strażnicy wyciągali go, aresztowany oddał mocz, wydając dźwięki przypominające skowyt wilków. Po pół godzinie sąd wydał postanowienie o trzymiesięcznym areszcie i natychmiastowym skierowaniu Maksa na obserwację psychiatryczną do szpitala w T.

Mecenas zadowolony opuścił areszt. Wiedział, że wykonał zadanie, do którego został wynajęty. Maks znalazł się w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym, na czym tak bardzo zależało jego ojcu. Mecenas wyjął telefon, który otrzymał od Zenona Białego, i wysłał mu sms-a z nazwą miejscowości, w której znajdował się szpital, gdzie Maks miał zostać poddany obserwacji. Po chwili wiadomość dotarła do pułkownika.

Po godzinie od wydania postanowienia przez sąd zebrał się sztab ABW. Pułkownik oglądał kasetę z widzenia Maksa z adwokatem.

—Puśćcie nagranie rozmowy od początku w zwolnionym tempie - rozkazał.

- *Razem udowodnimy bezsensowność...* — pułkownik zatrzymał nagranie i zapisał „RUB”, po czym puścił rozmowę dalej i zapisywał pierwsze litery na pozór bezsensownych słów mecenasa Trąbskiego, z których wyłoniło się słowo „WARIATA”.

- O kurwa! Niezły cwaniak — warknął Zderzak.

- Co robimy szefie? - zapytała Maja.

Pułkownik wstał od stołu, zaczął krążyć po pokoju. Po chwili oznajmił:

- Chce iść do wariatkowa, to pójdzie! Przypilnujemy go. Oni będą chcieli go odbić i odbiją, a on zaprowadzi nas do tatusia.

- Jak nas doprowadzi? — zapytał Zderzak.

- Zobaczysz! Wezwij lekarza z aresztu - rozkazał.

W pokoju zjawił się naczelnik aresztu z lekarzem.

- Panowie, to, co powiem, musi pozostać między nami - powie dział pułkownik, patrząc na przybyłych.

- Szykuje nam się odbicie więźnia - oznajmił, puszczając na granie z wypowiedzią mecenasa Trąbskiego.

- Tutaj? - zapytał z niedowierzaniem naczelnik.

- Nie. Po przewiezieniu aresztanta do psychiatryka w T. - odparł pułkownik.

- Jak pan chce przeciwdziałać? To decyzja niezawisłego sądu

- zatroskanym głosem powiedział naczelnik.

- Spokojnie! Trzeba przebadać aresztanta przed przewiezieniem. Mam prośbę, aby zrobił to nasz lekarz i on podpisał papiery.

- Ale to mój obowiązek - upierał się lekarz.

Pułkownik spojrzał wściekle na lekarza i pokazał zdjęcia szczątków z ekshumacji.

- Ci ludzie to seryjni mordercy, chce pan, abym wykonał telefon do gościa, który był tu ostatnio? - zapytał groźnie.

- Dobrze! Nie będę się upierał - odparł lekarz.

- Ja też nie - odparł naczelnik.

Po trzech godzinach w gabinecie siedział już lekarz-dentysta ABW. Pułkownik zwrócił się do niego:

- Stasiu, musimy tego gościa uspić i w plombie w zębie musisz umieścić mu to - mówiąc to, pułkownik pokazał miniaturowy nadajnik GPS.

Dentysta wziął nadajnik do ręki i zapytał:

- A jeśli będzie miał zdrowe zęby?

- To nawiercisz mu zdrowy ząb. Tylko daj mu silne znieczulenie i niech śpi dwanaście godzin, aby opuchlizna mu zeszła - powiedział pułkownik - Drugi nadajnik podłożymy mu w piżamie tak, aby go znalazł. To uspokoi jego czujność.

Po dwóch godzinach Maksymilian Fryst był już po zabiegu. Okazało się, że nie dbał o zęby, więc z umieszczeniem nadajnika w plombie nie było problemu.

## Rozdział XXVIII

Minęło dziesięć dni od operacji przeprowadzonej w klinice MSWiA w Warszawie. Saszka był cały czas nieprzytomny. Lekarze wyjęli z jego oczodołu kawałek blachy. Na szczęście nie naruszył on mózgu, ale stan pacjenta z powodu wewnętrznego krwotoku i utraty krwi był nadal poważny. Przy rannym cały czas czuwał Scott Parker. Następnego dnia po przywiezieniu rannego z Mińska spotkał się z szefem polskiego wywiadu. Poprosił go o wywiezienie z Białorusi żołnierza, którego tożsamością posłużono się przewożąc Rosjanina. Oczywiście Parker nie ujawnił prawdziwej tożsamości rannego. Stał właśnie w korytarzu za szybą, przyglądając się ciężko rannemu, podłączonemu do respiratora Rosjaninowi, kiedy w korytarzu pojawiło się dwoje ludzi. Jednym z nich był szef polskiego wywiadu, drugim nieznany mężczyzna. Obaj ubrani w granatowe garnitury i szare płaszcze. Scott odwrócił się i wyciągnął rękę na powitanie. Generał przedstawił towarzyszącego mu mężczyznę jako pułkownika ABW i przeszedł do rzeczy:



- Panie kapitanie, wydaje mi się, że nie powiedział pan nam całej prawdy o rannym znajdującym się w naszej klinice.

Scott skrzywił usta jakby w grymasie i odparł:

- O pewnych rzeczach decydują moi przełożeni.

- Rozumiem. A więc najwyższa pora, aby mój odpowiednik w waszych służbach pofatygował się tutaj celem wymiany in formacji. Wydaje mi się, że gramy w jednej drużynie - powie dział generał.

- Dobrze. Zaraz skontaktuję się z moim przełożonym i osobiście powiadomię pana o jego decyzji - odparł Scott.

- Poczekamy na odpowiedź od pana. Tylko proszę powiedzieć, że mamy wspólny interes i musimy natychmiast szczerze porozmawiać — odparł generał i dodał: — Inaczej duża część Europy może przez najbliższe pół wieku kupować rosyjski gaz.

Parker udał się do ambasady brytyjskiej w Warszawie i przez bezpieczne łącze odbył rozmowę z szefem wywiadu Wielkiej Brytanii. Po jej zakończeniu udał się osobiście do siedziby polskiego wywiadu, gdzie poprosił o natychmiastowe spotkanie z jego szefem. Kiedy został poproszony do jego gabinetu i zamknął za sobą drzwi, przystąpił niezwłocznie do rzeczy:

- Zdaje się panie generale, że moi szefowie też mają interes do was i bardzo zależy im na natychmiastowym spotkaniu. Jutro 09.00 do Warszawy przyleci osobiście szef naszego wywiadu.

- To dobrze! Moi ludzie będą oczekiwać na lotnisku jego przybycia i przewiozą was do naszej tajnej bazy - wyjaśnił generał i podał rękę na pożegnanie.

Nazajutrz rano, punktualnie o godzinie 9.00 na wojskowej części lotniska Okęcie wylądował samolot ze znakami RAF, z szefem MI6 na pokładzie. Po chwili konwój złożony z pięciu limuzyn wyruszył z lotniska, by po dwóch godzinach jazdy dotrzeć do tajnej bazy polskiego wywiadu, położonej w odległości 150 kilometrów na wschód od Warszawy w dużym kompleksie leśnym. Samochody minęły bramę wjazdową i ogrodzenie

z drutu kolczastego, po czym podjechały pod pagórek. Zamaskowana brama rozsunęła się i pojazdy zniknęły pod ziemią. Po chwili szef brytyjskiego wywiadu i kapitan Parker siedzieli w obszernym biurze jego polskiego odpowiednika. Po kurtuazyjnym przywitaniu się i zapewnieniu, że obie strony liczą na szczerą rozmowę i nawiązanie współpracy, polski generał przeszedł do konkretów:

- Kim jest ranny człowiek, którego przetransportowaliśmy z Białorusi? - zapytał. W pokoju zapanowała cisza. Anglicy jeszcze raz wymienili spojrzenia i szef wywiadu oddał głos kapitanowi, aby zreferował sprawę.

- Ten człowiek podaje się za rosyjskiego oficera jednostki specjalnej — powiedział kapitan Parker.

Generał pokiwał głową i stwierdził:

- To tłumaczy rodzaj obrażeń, ślady wybuchu i odłamek blachy wyjęty z jego oczodołu.

- Czy wasi lekarze i specjaliści uważają, że obrażenia te mogły powstać na skutek zaplanowanej ingerencji chirurgicznej? — zapytał szef brytyjskiego wywiadu.

- Nie, z pewnością są wynikiem eksplozji - odparł generał i dodał: - Nie wiadomo tylko, czy ktoś zgodziłby się dobrowolnie odegrać taką ryzykowną rolę. Bardzo w to wątpię.

- Co z naszym człowiekiem w ambasadzie w Mińsku? - zapytał Parker.

- Jutro do waszej ambasady przyjedzie nasz oficer z odpowiednimi dokumentami. Jutro - szef polskiego wywiadu spojrział na zegarek — o godzinie 22.00 powinni być w Warszawie. Granicę przekroczy jako pracownik polskiego MSZ - wyjaśnił.

- To świetnie - odparł szef brytyjskiego wywiadu i kontynuował: - Wracając do pana pytania z początku rozmowy. Uważamy, że człowiek ten może mieć bezpośredni związek z próbą zamachu na gazociąg na Białorusi, o którym mówił minister spraw zagranicznych Rosji w Brukseli.

Szef polskiego wywiadu spojrzął na pułkownika ABW, uśmiechnął się i stwierdził:

- Widzę, że rozmowa zaczyna być szczerą. Czekałem na potwierdzenie przez pana tej informacji. My też mamy podejrzenia co do tego incydentu, a raczej jego przebiegu i roli biorących w nim udział ludzi - wyjaśnił.

- Widzi pan, generale - odparł Parker — jeżeli wierzyć temu człowiekowi, to cały incydent zaplanowały i przeprowadziły rosyjskie służby specjalne, a on z racji swego pochodzenia miał uwiarygodnić to przedsięwzięcie.

- W głowie nie chce się pomieścić, że byliby w stanie poświęcić swoich ludzi - odparł szef brytyjskiego wywiadu.

- Historia pokazuje jednak, że aby uwiarygodnić różne dziwne wypadki, zainteresowane strony potrafią poświęcić swoich żołnierzy — powiedział szef polskiego wywiadu w zamyśleniu.

- Choćby wypadek generała Sikorskiego w Gibraltarze.

Anglicy wymienili wymowne spojrzenia.

- Nie spotkaliśmy się, aby rozwiązywać sprawę sprzed siedemdziesięciu lat, tylko wspólne, bieżące problemy - odparł szef brytyjskiego wywiadu.

- Jasne, przejdźmy zatem do naszych wiadomości - odparł generał. - Otóż nasze źródła wywiadowcze poinformowały nas, że Rosjanie miesiąc przed opisywanymi wypadkami na Białorusi, informowali stronę białoruską o konieczności użycia ich jednostek specjalnych w akcji na terytorium Białorusi, określając im termin i miejsce przewidywanej akcji - powiedział.

- Dziwne. Rosjanie miesiąc przed rzekomym zamachem wie dzieli, gdzie uderzą terroryści? - powiedział z niedowierzaniem w głosie Anglik.

- Jeszcze dziwniejsze rozmowy miały miejsce w czasie przygotowywania rzekomego zamachu - odparł generał. - Nasze stacje nasłuchowe zarejestrowały rozmowy telefoniczne. Zwróciliśmy uwagę na cztery z nich. Wyglądają tak, jakby osoba koordynująca działania zdawała relację i wydawała rozkazy.

- Czy wasze stacje radarowe namierzyły przyłot samolotu przemytników i jego start? - zapytał szef wywiadu brytyjskiego.
- Tak i dzięki temu mogliśmy porównać rozmowy i wyłowić te najbardziej interesujące. Nasze służby ustaliły, badając głos nagrany przez nasłuch, że cztery interesujące nas rozmowy wykonał ten sam mężczyzna, Rosjanin, lat około czterdziestu, wojskowy. Z pewnością mógł on być koordynatorem operacji. Generał włączył monitor, na którym pojawiły się oryginalne oraz przetłumaczone na język angielski zapisy rozmów. Wszystkie były bardzo krótkie i brzmiały jakby rozmówca wypowiadał ustalone wcześniej formułki. Podczas pierwszej padło jedynie: *„flalo! Dostawa ziemniaków dotarła. Jak rozładuję dam znać.”* Druga była raptem dwuzdaniowa: *„Rozładowali i przewoźnik wraca do domu. Przywitajcie go i pomóżcie wrócić bezpiecznie.”* Podobnie zresztą jak trzecia: *„\dożesz zawieźć konserwy. Chłopy są głodne, szybko uwiną się przy rozładunku.”* Czwarta też była bardzo lakoniczna: *„Możesz ruszać. Zmęczeni się, trzeba szybko zatroszczyć się o nich.”*
- Nasze stacje radarowe wychwyciły helikopter, który przy leciał 30 minut przed wylądowaniem samolotu. Następny po starcie samolotu odleciał w stronę Rosji. Po dwóch godzinach przyleciał ponownie i wylądował nieopodal leśnego obszaru działań rzekomych terrorystów. Czas pobytu zgadza się z rozmowami prowadzonymi przez tajemniczego rozmówcę - wyjaśnił generał i przedstawił ostatnią rozmowę: - Piąta, najciekawsza rozmowa prowadzona przez wojskową krótkofalówkę samochodową po około pięciu godzinach od tajemniczych wydarzeń w bazie terrorystów: *„Melduje się wędrowiec, mam problem. Zgubiłem jedną z konserw, muszę wrócić na miejsce. Powtarzam, zgubiłem jedną z konserw, wracam do obozu.”*
- Niech zgadnę! To ten sam głos z telefonu komórkowego? — zapytał szef angielskiego wywiadu.
- Ten sam! Ponad wszelką wątpliwość.

- Czyli nasi przyjaciele postanowili nas nastraszyć? - odparł Parker.

- Nas i całą Europę - odpowiedział generał.

- Tylko po co? - zapytał szef brytyjskiego wywiadu.

- Chcą pokazać, że jako nasi przyjaciele pomagają pilnować nam bezpieczeństwa w Europie i dbają o nie - wytłumaczył generał. - W zamian za jeszcze większe powiązanie w handlu gazem i ropą.

Anglicy pokiwali głowami.

- Ale to jeszcze nie koniec - dodał generał. - Rozmowa jest szczerą, więc prześlemy wam materiał operacyjny, który zebrało nasze ABW. - Spojrzał w kierunku swojego współpracownika. - Pułkownik koordynuje i nadzoruje śledztwo w sprawie obywateli naszego kraju podejrzanych o pracę na rzecz obcego wywiadu i całkiem przypadkowo podsłuchał i nagrał pewne spotkanie. Proszę o prezentację.

Wkrótce odtwarzany był film ze spotkania w willi Andrzeja Frysta z lobbystą i urzędnikami reprezentującymi sześć państw Unii Europejskiej. Kiedy szef wywiadu Wielkiej Brytanii obejrzał film, wyglądał tak, jakby za chwilę miał wyruszyć do ataku.

- Ten człowiek to Filip M., belgijski lobbysta działający na styku polityki i biznesu. Pomaga firmom przepychać projekty energetyczne, głównie w sferze energii odnawialnej. To oczywiście jedna część jego działalności. Druga, ta niewidoczna, to forsowanie pozycji naszych wschodnich przyjaciół na rynku energetycznym - wyjaśnił szef brytyjskiego wywiadu.

- Co pan proponuje? - zapytał generał.

- Proponuję na dzień przed spotkaniem z Rosjanami spotkanie na szczycie 29 państw, a konkretnie ich premierów, szefów wywiadu i kontrwywiadu, aby uzmysłowić im zagrożenie - powiedział szef wywiadu Wielkiej Brytanii.

- Czy pokazujemy im ten materiał? - zapytał generał.

- Tak, utajniamy i pokazujemy, żądając natychmiastowego

rozwiązania zespołu fachowców - odparł Anglik.

- A odpowiedź dla przyjaciół ze Wschodu? - zapytał generał.

- Myślę, że jeżeli chcą mieć magazyn, to niech wybudują go na własnym terenie lub na terenie kraju, który się na to zdecyduje. Nie mają prawa wskazywać na was. Wszystko, co jest na tym filmie, udowadnia, że zaplanowali to dużo wcześniej - odparł Anglik.

- Myślę, że żaden z tych panów nie pozostanie na swoim stanowisku — powiedział dobitnie generał.

- Choć znając naszych przyjaciół, można założyć, że zażądają, aby wszystko utajnić i zmuszą ich do dymisji. Nie będą chcieli ryzykować wybuchu skandalu - rzekł Anglik.

Obaj mężczyźni zjedli jeszcze obiad w bazie. Szef brytyjskiego wywiadu odjechał na Okęcie, gdzie oczekiwał na niego samolot RAF-u. Kapitan pozostał w oczekiwaniu na żołnierza z ambasady w Mińsku, który miał być ewakuowany przez Polaków. Dokładnie o 22.00 w drzwiach ambasady brytyjskiej w Warszawie pojawił się Malcolm Smith.

## Rozdział XXIX

Pobudka Maksa w celi aresztu śledczego była koszmarna. Był w pojedynczej, monitorowanej celi. Ból rozsadał mu głowę, miał spuchniętą jamę ustną. Po chwili usłyszał odgłos otwieranych drzwi i ukazało się w nich trzech strażników, uzbrojonych w plastikowe pałki. Podeszli bez słowa. Jeden z nich bez ceregieli podsunął mu pałkę pod oczy i powiedział dobitnie: - Jak znów będziesz chciał mnie upierdolić zębami, to wsadzę ci ją najpierw do dupy, a później do wrednego pyska, psycholu. Ostrzeżenie poskutkowało i wkrótce aresztant został rozebrany z brudnego kombinezonu, umył się pod prysznicem i założył piżamę więzienną.

- Jedziesz do wariatkowa. I nie obiecuj sobie zbyt wiele, jesteś dobrze pilnowany - zaśmiał się jeden ze strażników.

Po trzech godzinach Maks znalazł się w zakładzie zamkniętym w T. Został umieszczony w izolatce monitorowanej przez 24 godziny. Po przywiezieniu do zakładu aresztant został przebadany przez lekarzy. W czasie badania doszło do kolejnego ekscesu. Fryst junior na początku robił wrażenie otępiełego. W pewnym momencie badająca go lekarka pochyliła się, aby obejrzyć jego obrażenia powstałe w areszcie w Białymstoku, gdy ten błyskawicznie rzucił się w kierunku jej szyi i próbował ją ugryźć. Na szczęście drugi z lekarzy z pielęgniarzem błyskawicznie wpakowali mu pałkę w zęby i obalili na łóżko.

- Spokój szczerze, bo poleję cię zimną wodą - krzyknął pielęgniarz.

Lekarz zaaplikował mu zastrzyk, po którym Maks zapadł w sen.

Zenon Biały pojawił się w siedzibie firmy ochroniarskiej, której współwłaścicielem był generał D. Wszedł do jego gabinetu i podał mu kartkę. Ten przeczytał, uśmiechnął się i skreślił parę słów. Zenon odebrał kartkę i przeczytał: „*Uwolnimy go w ciągu 48 godzin. Szykuj kasę i bądźcie cały czas gotowi, dostarczymy go wam na miejsce.*” Zenon oddał kartkę generałowi. Ten wyjął zapalniczkę i spalił kawałek papieru, po czym pożegnał gościa.

Pułkownik podzielił swoich ludzi na cztery ośmioosobowe zespoły rozmieszczone w odległości pięciu kilometrów od szpitala. Każdy zespół wyposażony był w specjalny monitor, który odbierał sygnał o położeniu Maksa. Szpital był zamknięty od

środku. Oddział całkowicie monitorowany i oddzielony potężną kratą, pilnowaną przez strażnika. Dodatkowo w pogotowiu znajdował się dron, który z powietrza miał śledzić ewentualną drogę ucieczki osadzonego.

- Myśli szef, że Fzyst senior zjawi się osobiście po syna? - zapytał Zderzak.

- Myślę że nie, ale na pewno oczekuje gdzieś w pobliżu i będzie chciał zwać od razu z kraju. To niezły cwaniak — odparł pułkownik.

Pierwszy dzień i noc minęły spokojnie. Maks robił wrażenie otępiałego. Nie przyjmował leków i płynów. Jadł tylko chleb, bojąc się podania środków usypiających. Leżąc pod kocem, zaczął obmacywać piżamę i w pewnym momencie wyczuł dziwne zgrubienie pod kieszenią.

„A więc tutaj schowaliście to sukinsyny” — pomyślał Maks i uśmiechnął się do siebie. Wiedział, że w chwili ucieczki będzie się musiał pozbyć całego ubrania, włącznie z butami. „Nie wiadomo, gdzie schowali GPS” - pomyślał.

\*\*\*

Była pierwsza w nocy, gdy nad szpitalem w T. rozległ się odgłos motolotni. Na dachu wylądował człowiek ubrany w czarny kombinezon i kominiarkę. Błyskawicznie zgasił silnik i uwolnił się z siodełka i pasów. Podczołgał się do rynny i wychylając się zlustrował teren. Nie zobaczył niczego podejrzanego. Po chwili ponownie wychylił się z dachu i zaczął liczyć okna. Kiedy doliczył do dwunastu, wstał, podszedł do komina, znajdującego się najbliżej okna, i przymocował linę, taką jakich używają żołnierze służb specjalnych do ataku z dachu budynku przez okno. Przez ramię przewiesił torbę i za-



czął opuszczać się w dół. Kiedy znalazł się przy zakratowanym dwunastym oknie na drugim piętrze, wyjął z torby akumulatorową piłę do cięcia krat i odciął kraty z lewej strony. Po chwili rozbijał się na linie, przeleciał na drugą stronę okna i odciął błyskawicznie kratę, która z brzękiem spadła na dół. Potem szybko nogą wybił szybę i w otworze okiennym ujrzał Maksa rozebranego do połowy.

- Wylaź! - rozkazał mężczyzna w kominiarce. — Chwyć się mnie i zjeżdżamy na dół.

Całą akcję śledziło dwóch strażników monitorujących obiekt. Jeden z nich wyciągnął krótkofalówkę i zameldował:

- Melduję pułkownikowi, że ptaszki odlatują przez okno.

- W porządku, nie przeszkadzajcie im. Jak będą przy ogrodzeniu, oddajcie strzały w powietrze — rozkazał pułkownik.

Po upływie pół minuty Maks ze swym wybawcą stali pod ogromnym balkonem obrośniętym bluszczem i szykowali się do ucieczki. Mężczyzna ubrany w czarny kombinezon wskazał kierunek i po chwili przechodzili przez wysokie grodenie, w którym ktoś przeciął druty kolczaste. Kiedy przeskoczyli przez betonowy parkan, podjechały dwa motocykle crossowe, które zabrały zbiega i jego oswobodziciela. W tym czasie rozległy się strzały.

Po dziesięciu minutach jazdy znaleźli się na leśnych terenach okalających T. Nikt ich nie gonił, więc na chwilę przystanęli. Maks szybko zrzucił więzienną piżamę i założył dres oraz adidas. Po chwili mknął z mężczyzną w czarnym kombinezonie i kominiarce leśnymi bezdrożami. Nie wiedział, że niewidzialna pogoń podąża za nim w odległości dwóch kilometrów.

Po półtoragodzinnej jeździe wjechali motocyklem na posesję Zenona Białego. Ktoś otworzył automatyczne bramy posiadłości i garażu. Mężczyźni wjechali do środka. Maks zeskoczył z motoru i wyciągnął rękę do wybawcy.

- Dzięki, nie spodziewałem się, że tak łatwo pójdzie! - powiedział z wdzięcznością.

Człowiek w kominiarce zszedł z motoru, zgasił maszynę i spojrzął obojętnie na Maksa. W tym momencie w drzwiach prowadzących z garażu do części mieszkalnej domu pojawił się Fryst senior z Zenonem Białym.

Maks ruszył w stronę ojca, ale mężczyzna w kominiarce chwycił go za kołnierz dresu, a w jego ręku pojawił się pistolet z tłumikiem.

- Pieniądze! - rzucił w kierunku Andrzeja Frysta.

Ten błyskawicznie cofnął się i po chwili wrócił z plecakiem, pokazując w nim paczki banknotów.

- 550 tysięcy euro, tak jak chcieliście — powiedział.

- Wyjmij te dwie paczki i przelicz! - rozkazał mężczyzna w kominiarce, trzymając Maksa cały czas za kołnierz dresu.

Andrzej przeliczył dwie losowo wskazane paczki. Obie zawierały po sto banknotów o nominale 500 euro.

- W porządku, ale przeładuj to do mojego plecaka. Mam tam dwa paszporty, dowody tożsamości i prawa jazdy na dwa różne nazwiska. Weźmiecie je.

Banknoty znalazły się w plecaku człowieka w kominiarce. Ten puścił Maksa, który rzucił się w objęcia ojca. Przybysz założył plecak, podszedł do motocykla, odpalił go i rozkazał:

- Otwórz bramę. Tylko bez numerów!

Po chwili wycofał motocykl z garażu, i ruszył błyskawicznie w kierunku bramy wjazdowej, która zaczęła się powoli otwierać.

Kiedy wyjeżdżał z podwórka, zwolnił, bo drogą jechał jakiś terenowy samochód. Był to ciemnozielony Land Rover. Mężczyzna zatrzymał się, ustępując pierwszeństwa, ale nagle terenówka skręciła w jego stronę, uderzając motocykl w przednie koło. Potrącony motocyklista runął na ziemię. Drzwi od strony pasażera otworzyły się i wyskoczył z nich komandos z bronią wycelowaną w motocyklistę. Ten po pierwszym szoku sięgnął po broń, ale nie zdążył wziąć na cel komandosa. Rozległ się huk wystrzału i mężczyzna osunął się martwy na ziemię.

Komandos podszedł do leżącego i zdjął zakrwawioną kominiarkę.

- Znam go. To jeden z nas - powiedział pułkownik i dodał: — Niedawno przeszedł na emeryturę. Szkoda, że na tak krótko!

Po chwili willa była otoczona, a pułkownik przez megafon rozkazał:

- Fryst stary i młody! Wyłazić z łapami do góry! Daję wam minutę. Odliczam, tylko pamiętajcie, gość z motoru jest już martwy. Z wami też nie będziemy się cackać.

Andrzej spojrzał wściekły na Maksa.

- Jak oni kurwa tu trafili?! Zdjąłeś wszystkie ciuchy?

- Tak, rozebrałem się do naga - wyjąkał przerażony chłopak. Senior przez chwilę myślał i w końcu wydał polecenie synowi:

- Poddajemy się! Zwalisz w śledztwie wszystko na mnie. Wszystko, rozumiesz! Ja nie mam szans, ale ty wyjdiesz góra po 10 latach. Pojedziesz do notariusza K. w Białymstoku. Tam dostaniesz zalakowaną kopertę do skrytki w banku w Szwajcarii. Jest tam równowartość 5 milionów euro w złocie. 500 kroków od ogrodzenia, na wprost czwartego okna na posiadłości, od północnej strony odnajdziesz dąb nacięty z czterech stron znakiem „X”. Odliczysz 50 kroków na północ i poszukasz zaplombowanych słoików. Tam są trzy miliony złotych - objaśnił synowi Fryst, po czym zwrócił się do Zenona Białego:

- W szafie leżą dwa miliony euro. Powiesz, że to twoje. Podasz nazwisko dewelopera Mirosława G. On potwierdzi, że ci to pożyczyl. Jeden milion jest twój, a za drugi masz zadbać o obrońcę dla nas i żarcie w więzieniu - rozkazał.

Po chwili obaj mężczyźni wychodzili z podniesionymi rękoma.

## Rozdział XXX

Spotkanie w Brukseli pomiędzy szefami polskiego i brytyjskiego wywiadu z udziałem sześciu ich odpowiedników z krajów, których przedstawiciele gościli w posiadłości Frysta, zaowocowało ich dymisją w dniu następnym. W czasie spotkania 29 państw z udziałem Rosji przedstawiciele Unii Europejskiej zaprezentowali jednomyślne oświadczenie mówiące o konieczności poszerzenia dostępu dla innych dostawców gazu do Europy w celu uniknięcia ryzyka zmonopolizowania rynku przez jednego dostawcę. Oświadczyli także, że budowa magazynu skroplonego gazu leży w interesie Rosji i powinna być sfinalizowana w całości przez stronę rosyjską, a o lokalizacji powinien zdecydować kraj, który dobrowolnie wyrazi na to zgodę, bez nacisków ze strony innych członków UE.

\*\*\*

Tołdi okazał się doskonałym współpracownikiem wymiaru sprawiedliwości. Ze szczegółami opowiedział o kulisach przestępczej działalności klanu Frystów. Został skazany na 25 lat więzienia za zabójstwo z prawem ubiegania się o przedterminowe zwolnienie po 15 latach.

Andrzej Fryst wziął całą winę na siebie, próbując całkowicie wybielić rolę Maksa. Sąd nie dał temu wiary i Maksymilian został skazany na 25 lat odsiadki. Andrzej za popełnione zbrodnie, kierowanie zorganizowaną grupą przestępczą i działalność wywiadowczą na rzecz obcego państwa dostał dożywocie.

Płatni zabójcy, którzy przeżyli wypadek z tirem, otrzymali kary dożywocia, a Oskar Golonka i komendant Matejko zostali skazani na 10 lat więzienia za przynależność do zorganizowanej grupy przestępczej i poświadczanie nieprawdy w aktach notarialnych. Brat notariusza, sędzia, który orzekał w sprawie zabójstw, został pozbawiony immunitetu. Zdołał jednak uniknąć skazania, gdyż zaczął się leczyć psychiatrycznie w zakładzie zamkniętym.

Wkrótce prokurator generalny wniósł o kasację wyroku niewinnie skazanego człowieka, który po 10 latach spędzonych w więzieniu wyszedł na wolność.

Krystian Borkowski, pseudonim Narcyz, poszedł na całkowitą współpracę z wymiarem sprawiedliwości. Chciał się dobrowolnie poddać karze 5 lat więzienia, ale sąd nie uwzględnił tej prośby i skazał go na 15 lat więzienia.

Andrzej i Maksymilian Frystowie zachodzili w głowę, jak możliwe było znalezienie laptopa i komputera świętej pamięci zięcia Jagielskiego w zabudowaniach gospodarczych przy dyskotece. Tajemnicę cudownego odnalezienia tej zguby znał szef geodetów, czyli pułkownik ABW i jego wtajemniczeni ludzie. W czasie trwania sprawy sądowej do siedziby ABW dotarła tajemnicza przesyłka zawierająca zdjęcia z biesiad w leśnej rezydencji Frystów. Na fotografiach było wielu wpływowych

ludzi. Dowodem na niebezpieczne związki panujące w S. i okolicach był fakt, iż po aresztowaniu Frysta, Koło Łowieckie w S. stopniało ze 120 członków do raptem 10.

Arek Zgoda wraz z Jackiem Siarczyńskim pojawili się u Jagielskiego, zdając mu relację z wyników śledztwa. Mężczyzna po zapoznaniu się z wynikami rozplakał się. Po chwili wstał, podszedł do szafki, otworzył ją, po czym z małego sejfu wyjął równo poukładane paczki banknotów. Policzył je i położył przed detektywami.

- To jest 150 tysięcy złotych. Plus to, co dałem panom wcześniej, razem 200 tysięcy. Tak jak się umówiliśmy - oświadczył. Arek popatrzył na Siarczyńskiego i odparł:

- Uważam, że mówiliśmy o kwocie 100 tysięcy złotych. Tyle nas w zupełności zadowala.

Jagielski chciał oponować, ale Siarczyński stanowczo mu przerwał:

- Ma pan wnuczkę. Musi pan pamiętać ojej przyszłości.

Kiedy wychodzili z domu przedsiębiorcy, wzruszony Jagielski oświadczył:

- Wiem, że mojej córce i zięciowi życia nie wrócę, ale mam spokój wewnętrzny, że sprawiedliwości stało się zadość. I mogę wierzyć, że sprawiedliwość istnieje.

Padowski napisał obszerny artykuł na temat przestępczej działalności klanu Frystów, co zaowocowało wieloma programami TV, w których wyjaśniał kulisy mafijnych przestępstw i powiązań przestępców z politykami, ludźmi wymiaru sprawiedliwości, prawnikami i biznesmenami.

W tym samym czasie Filip M. udawał się na kongres obrońców przyrody do Paryża, gdzie miał wygłosić expose na temat konieczności inwestowania w energię odnawialną. Wsiadł do szybkiego pociągu kursującego na linii Bruksela-Paryż, wszedł do przedziału pierwszej klasy, zdjął płaszcz i oddał się lekturze najświeższej prasy. Nagle jego uwagę zwróciła młoda, powabna blondynka o długich kręconych włosach. Dziewczyna uśmiechnęła się do niego zalotnie. Filip zapytał, czy może się przysiąść, na co odczłapliwie wyraziła zgodę. W czasie rozmowy dowiedział się, że Sylwia - bo tak miała na imię - jest studentką jednego z paryskich wydziałów sztuki. Wystarczyła chwila rozmowy, by Filip zaprosił dziewczynę do przedziału restauracyjnego, gdzie zjedli razem lunch i wypili kawę. Zaintrygowany mężczyzna nie zwrócił uwagi, jak szybko dojechali do Paryża. Osmielony zaproponował Sylwii wspólną kolację w hotelowej restauracji, na co ta chętnie się zgodziła. Filip już układał sobie w głowie scenariusz wieczoru w towarzystwie nowej znajomej, gdy za oknem zobaczyli perony i zabudowania stacji końcowej. Kiedy mieli wysiadać z pociągu, nowo poznana dziewczyna poczęstowała Filipa czekoladką znanej, belgijskiej firmy. Pożegnali się na peronie, umawiając na wieczór.

Filip udał się w kierunku postoju taksówek, wsiadł do pierwszej z brzegu i podał kierowcy adres hotelu. Ledwie samochód ruszył, pasażer poczuł narastający ból w klatce piersiowej. Nie mógł złapać oddechu. Wkrótce serce Filipa M., znanego europejskiego lobbysty, przestało bić. Późniejsza sekcja zwłok wykazała, że przyczyną śmierci był gwałtowny i rozległy zawał. Tylko starszy mężczyzna, który zlecał Filipowi ostatnie zadanie, wiedział, dlaczego znany lobbysta musiał umrzeć.

## Rozdział XXXI

Był wczesny sobotni wieczór, kiedy do nowo otwartej dyskoteki „Rytm” w S. wjechała na parking czarna, terenowa Toyota Land Cruiser na warszawskich numerach. Wysiadł z niej wysoki mężczyzna w skórzanej, czarnej kurtce i czarnych dżinsach. Stał w kolejce oczekujących na wpuszczenie i po dziesięciu minutach znalazł się przy wejściu. Z kieszeni wyjął banknot dziesięciozłotowy i po chwili stanął przed trzema mężczyznami pilnującymi wejścia.

- Dziesięć złotych - powiedział jeden z nich i zamilkł w pół zdania, odwracając się w stronę potężnego łysego mężczyzny z rudą brodą.

- Jakiś problem? - zapytał przybysz.

Łysy ochroniarz z rudą brodą podszedł do niego i zapytał:

- A ty dzisiaj tu jako kto? Pies czy gangster?

- Ja dzisiaj jestem tu prywatnie - odparł przybysz - ale jeżeli masz problemy, mogę pojawić się służbowo. Zdaje się, że któryś z was pomógł nawiać Lalusiowi z towarem.

- Wpuście pana władzę - odparł z pogardą Żubr.

Przybysz podszedł do niego.

- Niczego nie nauczyłeś się na poprzedniej lekcji, co? Chcesz powtórzyć materiał? - zapytał dobrotliwym tonem. - Ponoć żubry z wiekiem stają się inteligentniejsze, a przebyte doświadczenia życiowe każą im dobierać sobie odpowiednich przyjaciół. Ale widzę, że są nieedukowalne wyjątki, niektóre osobniki nigdy nie mądrzeją. - Żubr spuścił głowę, zacisnął zęby i nic się nie odezwał. Mężczyzna spojrział na niego i powiedział spokojnie: - Nie chcę robić zadymy. Wiem, że jesteś współnikiem w tym lokalu, ale jeśli mnie wkurzysz, to zaproszę tu moich przyjaciół na imprezę, której głównym punktem będzie ogolenie pewnego łysego barana z rudą brodą. Wiesz o kim mowa? Żubr spojrział na niego ponurym wzrokiem.



- No dobra! Ja... ja też nie chcę problemów — powiedział pod nosem.

- To zajmij się interesem, żeby ludzie czuli się bezpiecznie u ciebie, a nie szukaj guza. Chyba, że chcesz potowarzyszyć w celi swojemu szefowi Toldiemu — powiedział przybysz. - Stęskniłeś się za jego piękną twarzą?

Po chwili stał przy barze, gdzie liczni młodzi ludzie zamawiali piwo, drinki i napoje. Poczekał aż kolejka się rozładuje, przepchnął się do kontuaru i stanął przed piegowatą blondynką.

- Piwo czy... — Dorota nie dokończyła pytania.

- Kolacja! Zapraszam panią na kolację. Zgodnie z obietnicą - odparł przybysz

- Ale... Zderzak? — odparła zaskoczona dziewczyna.

- Nie Zderzak, tylko Michał - odparł przybysz i wyciągnął rękę na powitanie.

- Ale to mój pierwszy dzień w pracy — odparła dziewczyna.

- To dzisiaj ci potowarzyszę, a na kolację pojedziemy jutro.

- Jak podoba ci się obecny lokal? — zapytała dziewczyna.

- Ładny, tylko trochę mniejszy od lokalu Frysta - stwierdził chłopak.

- Miał być dom weselny, ale jak wsadzili... jak wsadziliście Frysta, to właściciel dogadał się z Żubrem i z domu weselnego jest dyskoteka. Cała załoga przeszła tu do pracy.

- Szkoda, że nawyki u niektórych pozostały stare - rzekł Michał i palcem wskazał na przechodzącego Żubra.

- Coś potrzebujesz? - zapytał Żubr.

- O! Widzę, że nauka nie idzie w las. Jak chcesz to potrafisz. Chyba zaproszę tu kumpli, może napijemy się razem - odparł uprzejmie Michał.

Żubr wyciągnął rękę i przedstawił się:

- Czesiek jestem.

- Michał — odparł przybysz i podał rękę.

Nazajutrz zabrał Dorotę na kolację do Białej Podlaskiej. Noc spędzili u niej w domu w S. Tym razem nie dosypywał dziewczynie już żadnego środka nasennego.

We wtorek zameldował się w Warszawie w siedzibie ABW. Kiedy wszedł do gabinetu pułkownika, zauważył, oprócz gospodarza, mężczyznę w szarym eleganckim garniturze o włosach krótko ostrzyżonych na jeża. Michał pomyślał, że garnitur nie pasuje do aparycji tego człowieka. Wyglądał raczej na wojskowego niż cywila. Kiedy się zameldował, pułkownik przedstawił swego towarzysza:

- Poznaj majora Jana Pawelca, to człowiek z naszego wywiadu wojskowego.

Michał podał rękę mężczyźnie i usiadł przy stole. Pułkownik spojrział z uwagą na przybyłego i zapytał:

- Słyszałem, że w weekend odwiedziłeś S. I jak tubylcy przyjęli cię w nowej roli?

- Ok! Na początku dopytywali się, czy przyjechałem udawać bandziora, czy oficjalnie jako policjant, ale po wyjaśnieniu sobie paru szczegółów zaakceptowali mnie w nowej roli - wyjaśnił Michał.

- Chcesz kawy? Wyglądasz na przemęczonego - zapytał pułkownik.

- Nie, dzięki. Jestem po trzech. Wyjechałem z S. dzisiaj o czwartej, więc jestem niewyspany - wyjaśnił Michał.

- Ale mam nadzieję, że nie zbiłeś nikogo? - zapytał pułkownik.

- Nie, tylko przyjemne chwile i relaks - odparł chłopak.

- To dobrze! Bo pan major chce złożyć ci pewną propozycję - oświadczył pułkownik i dał znak ręką, aby major przejął rozmowę.

- Panie poruczniku, chciałem zaproponować panu pewne zadanie - rozpoczął major.

- Na czym miałyby ono polegać? - zapytał Michał.

Major otworzył skórzaną teczkę i wyjął zdjęcia, które podał Michałowi.

- To materiały z operacji niemieckich służb specjalnych z grudnia ubiegłego roku - zaczął major. - Ze względu na rozmiar i specyfikę udaremnionego zamachu postanowiono nie ujawniać informacji, aby nie wywoływać paniki wśród ludności.

Michał przeglądał zdjęcia tira wypełnionego materiałem wybuchowym, butlami gazowymi i paczkami gwoździ, śrub i na krętek. Na zdjęciach widoczni byli dwaj skuci ludzie, wyglądający na południowców.

- Gdzie miał być zdetonowany ten tir? - zapytał Michał.

- Miał eksplodować w momencie opuszczania przez kibiców stadionu w Monachium, po meczu Ligi Mistrzów w grudniu zeszłego roku. Siła rażenia ładunku mogła doprowadzić do masakry. Do śmierci i ranienia tysięcy ludzi.

Zdjęcia robiły wrażenie. Porucznik pokiwał głową i zapytał:

- Co to za zadanie i dlaczego ja?

- Pułkownik powiedział, że jest pan jego najlepszym człowiekiem. Zna pan niemiecki, angielski i nieźle sobie pan radzi z tirami - powiedział major i dodał: - No i umie pan zachować zimną krew.

Michał spojrzał badawczo na majora, a po chwili uśmiechnął się do pułkownika i powiedział wprost:

- Tylko że nasi gangsterzy, to nie terroryści. Nie wiem, czy pan pułkownik nie przesadza i nie przecenia moich umiejętności. No i musiałbym poznać szczegóły.

Major spojrzał w stronę pułkownika, chrząknął i powiedział z niepokojem w głosie:

- Dobrze, pozna pan szczegóły. A jeśli nie wyrazi pan zgody..?

- To wszystko zostanie między nami, panie majorze - odparł z nutą irytacji w głosie pułkownik. - Za kogo pan nas ma?

- Rozumie pan, te informacje... — zaczął major.

- Dobra! Nie traćmy czasu - zniecierpliwiał się pułkownik.

Konkrety.

Major odchrząknął i zaczął referować:

- Rok temu chcieli użyć tira. W ostatniej chwili zostali obez-

władnieni. Strona niemiecka nie udzieliła informacji, w jaki sposób udało im się wpaść na trop zamachowca i udaremnić zamach. Niemcy są przekonani, że ładunek został wykonany i uzbrojony przez polskiego obywatela, który jest członkiem ISIS.

- Przedstawili dane personalne i dowody potwierdzające winę tego człowieka? - zapytał pułkownik.

- Dali nam tylko zdjęcia z kamer na jednej ze stacji kolejowych, na których widać tajemniczego mężczyznę w czarnej kurtce i szarej czapce - mówiąc to, major pokazał zdjęcia. Porucznik obejrzał je i podał pułkownikowi, który rzucił na nie okiem i zapytał:

- I co? Udało się wam kogoś wytypować?

Major uśmiechnął się tajemniczo:

- Nam też się czasem coś udaje - powiedział i podał zdjęcie łysego mężczyzny.

- Kto to? - zapytał porucznik.

- To Janusz Kostrzewski, trzydziestoosmioletni mieszkaniec Warszawy. Na co dzień ochroniarz w jednym z klubów nocnych. Jako dwudziestolatek wyjechał z kraju i przepadł bez śladu. Udało nam się ustalić, że ten człowiek przez dziesięć lat służył w Legii Cudzoziemskiej. Tam miał poznać członków ISIS, którzy zwerbowali go do swych szeregów. Później przez pięć lat jest czarna dziura. Pojawił się w kraju trzy lata temu, nie ma przyjaciół, odciął się od rodziny. Trzy dni przed udaremieniem zamachu w Niemczech opuścił Polskę i wrócił po czterech dniach. Nikogo nie informował, gdzie jedzie. Z delikatnego rozpoznania wynika, że ten człowiek jest jak robot, pojawia się w klubie, pilnuje porządku, nie zawiera przyjaźni. Wraca do mieszkania, nie chodzi po restauracjach, nie utrzymuje z nikim kontaktów - zakończył major.

- To skąd pewność, że to on był w Niemczech? - spytał porucznik.

- Niemcy są pewni, że to on - odparł major.

- Czy Francuzi przekazali jakieś informacje? - zapytał pułkownik.

- Potwierdzili, że przeszedł przeszkolenie dywersyjno-minerskie, ale odmówili przekazania jego dokumentów — powiedział major i dodał: - Być może robił w Legii rzeczy, o których nasi francuscy przyjaciele woleliby zapomnieć.

- Wiadomo, gdzie był między służbą w Legii a powrotem do kraju? — zapytał pułkownik.

- Niemcy twierdzą, że przebywał wśród bojowników ISIS w Afryce Północnej, w Syrii, a później w Turcji - odparł major.

- A na czym miałyby polegać moja rola? — zapytał ponownie Michał.

Major otworzył kopertę i podał pułkownikowi zdjęcia, a ten po przejrzeniu podał je Michałowi.

- Wiemy, że nowy zamach ma być przeprowadzony na stadionie po meczu piłkarskim. Mają do niego posłużyć cztery karetki pogotowia. Czterech zamachowców jest już w Niemczech, niestety nikt nie zna ich personaliów. Mają zameldować się i odebrać ładunek przywieziony przez tira, który wyruszy z Turcji. Część ładunku ma zostać wyładowana w Polsce, reszta ruszy do Niemiec. Według Niemców nasz znajomy - major popukał palcem w zdjęcia łysego Polaka - odludka - ma przekazać materiał wybuchowy do tego zamachu i przeładować go na tira.

- Ale przecież na wykonanie takich ładunków trzeba mieć czas - powiedział pułkownik.

- Zgadza się i wiemy, że obserwowany mężczyzna nie działa sam - mówiąc to, major wyjął kolejne zdjęcie mężczyzny o śniadej karnacji w wojskowym mundurze.

- To kolega naszego rodaka z Legii. Z pochodzenia Algierczyk. Naser Oftajach. Według Niemców jest już w naszym kraju.

- Pan major nadal nie sprecyzował mojego zadania.

Wojskowy uśmiechnął się i powiedział:

- Przechodzę do konkretów. Niemcy wiedzą, kiedy wyjedzie tir

z Turcji. Przyślą swojego człowieka, który dzięki znajomości języka będzie odgrywał rolę kierowcy.

- Nie rozumiem - powiedział pułkownik.

- Ja też nie kumam - rzekł Michał.

- Tir rozładuje część towaru w Polsce i wyruszy do Niemiec z resztą towaru. Po drodze pobierze materiały wybuchowe. Niemcy uważają, że Janusz Kostrzewski pomoże załadować i zmontować materiał koledze Naserowi Oftajachowi z Le-gii. W momencie otrzymania adresu, skąd ma być pobrany ładunek wybuchowy, trzeba będzie podmienić kierowcę tira. Niemiecki specjalista od języków przez specjalny modulator mowy będzie udawał kierowcę. Chcemy, aby pan zastępował go fizycznie. Niemcy są pewni, że po załadunku kierowca otrzyma adres dostarczenia przesyłki - wyjaśnił major.

- A dlaczego nie poczekamy na ładunek materiałów do tira?

- zapytał Michał.

- A co się stanie, gdy terroryści zorientują się, że są obserwowani i zdecydują się na wysadzenie go w naszym kraju? - zapytał major.

- A skąd pewność, że po przejściu przesyłki dostaniemy prawidłowy adres dostarczenia jej do Niemiec? I że terroryści nie posługują się hasłami? - zapytał Michał.

- Ależ naturalnie, że się posługują. W tirze zamontowana jest specjalna kamera, która przesyła obraz do Turcji, do siedziby organizatorów zamachu - odparł major.

- Jak sobie z tym poradzimy? - zapytał pułkownik.

- Od dwóch tygodni znajduje się w Polsce specjalny zespół niemieckiego wywiadu i jednostki antyterrorystycznej. Mają sposób, aby przekazywać odpowiadający nam obraz do Turcji. Jeżeli chodzi o hasła i zabezpieczenia, musimy je wyciągnąć od kierowcy, Algierczyka lub od naszego rodaka - powiedział major. - Stawka jest wysoka. Cztery takie karetki wypełnione materiałami wybuchowymi mogą spowodować śmierć i ciężkie rany nawet dziesięciu tysięcy ludzi wychodzących z meczu.

Tak więc środki, jakie musimy zastosować, by uzyskać szyfry i hasła, będą musiały być bezwzględnie skuteczne. Oczywiście nie poinformujemy o tym prasy i mediów - powiedział major z kpiącym uśmiechem. Michał spojrzał na pułkownika i westchnął:

- Musiał pan wybrać akurat mnie? Nie miał pan pułkownik innego kandydata na kierowcę?

Pułkownik pokręcił głową z angielską flegmą i odpowiedział:

- Ano nie.